

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/191

1963



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

W. GOMBROWICZ : **TANDETA**

J. MIEROSZEWSKI :
**“ OTWARTY KATOLICYZM ” CONTRA
“ OTWARTY MARKSIZM ”**

K. A. JELEŃSKI :
**O KILKU SPRZECZNOŚCIACH SZTUKI
NOWOCZESNEJ**

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	<i>Tandeta</i>	3
Juliusz Mieroszewski:	„Otwarty <i>katolicyzm</i> ” <i>contra</i> „otwarty <i>marksizm</i> ”	9
Aleksander Wat:	<i>Klucz i hak</i> (dok.)	17
Czesław Miłosz:	<i>O Tomaszu Mayne Reid</i>	41
K.A. Jeleński:	<i>O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej</i>	51
◆		
Tadeusz Nowakowski:	<i>Rzut oka na Niemców</i> (dok.) ..	70
Hans Weber Richter:	<i>Koniec okresu „i”</i>	70
Siegfried Lenz:	<i>Arbatzki w jabłonce</i>	76
Johannes Bobrowski:	<i>Wiersze</i>	81
◆		
Maciej Morawski:	<i>Jacek</i>	85
WIERSZE		
Czesław Miłosz:	<i>Gucio zaczarowany</i>	100
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Aleksander Kawalkowski:	<i>Bitwa o Europę</i>	104
Włodzimierz Ledóchowski:	<i>Perspektywy afrykańskie</i>	115
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	122
Damian S. Wandycz:	<i>Kontrapunkt amerykański</i>	127
SPRAWY I TROSKI		
(m.l.d.):	<i>W oczach Londynu</i>	131
KSIAŻKI		
Andrzej Korboński:	<i>Gospodarka polska na bezdrożach planowania</i>	138
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Wielka Encyklopedia Powszechna</i>	144
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	147
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	149
◆		
Zb. Jasiński, W. Jedlicki, T. Maciejczyk, A. Polakiewicz, St. Stok, K. Zamorski:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
◆		
—	<i>Komunikaty</i>	158
	a) <i>Polski Instytut Naukowy w Ameryce</i>	
	b) <i>Polskie Two Naukowe na Obczyźnie</i>	
	c) <i>Nagroda Literacka Anny Godlewskiej</i>	

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1963

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ KULTURY

K. S. M. (W. Brytania)	13,80 F
Mirek C. Wierzbicki, Brighton, Mass. (USA) po raz siódmy ..	48,08 ,,
Irena Nawrot, Buenos Aires (Argentyna)	15,00 ,,
Czytelnik z Philadelphii, Pa (USA)	24,00 ,,
Janusz Laskowski, Paryż — po raz czwarty	10,00 ,,
Dr Jan Bogusław Kon, Montevideo, (Uruguay)	30,00 ,,
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria) po raz czwarty	62,00 ,,
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz jedenasty	48,08 ,,
Anna Heydenkorn, Toronto, Ont. (Kanada) po raz trzeci	48,08 ,,
Ks. Józef Lach, N. Tonawanda, N.Y. (USA) po raz drugi	24,00 ,,
Paul C. Supiński, Venice, Fla. (USA) po raz czwarty	29,00 ,,
Irena Dyrzc, Gloversville, N.Y. (USA)	38,00 ,,
Celem uczczenia pamięci poległego w Powstaniu Warszawskim w dn. 3-5 września 1944 r., 22-letniego Stefana Bronimira S.	48,08 ,,
Anonimowo z Cypru	27,50 ,,
Dr Stanisław N. Korzeniowski, Ladd. Ill. (USA) po raz siódmy	80,31 ,,
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (USA) po raz siódmy	32,00 ,,
Wł. Brochwicz, Knutange (Mos.) Francja	11,00 ,,
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA)	24,00 ,,

DZIĘKUJEMY

DARY DO BIBLIOTEKI „KULTURY”

Serdecznie dziękujemy za nadesłane dary do naszej biblioteki, a mianowicie:

Redakcjom: „*Kuriera Polskiego*” w Buenos Aires i „*Tygodnika Katolickiego*” w Melbourne za roczniki ich pism;

p. Aleksandrowi Idzikowi z Londynu za komplet wydawanego przezeń miesięcznika „*Od A do Z*”;

mjr. Mieczysławowi Młotkowi z Londynu za wydawnictwa samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz

p. Tadeuszowi Świącickiemu z Paryża za stałą pamięć o naszych zbiorach.

Tandeta

A więc w Polsce wykończono resztki zdychającej od paru lat wolności słowa. Wypowiedzi towarzysza Gomułki i innych towarzyszy nie pozostawiają w tym względzie żadnych wątpliwości: dość tego tam gadania, od dziś znowu ma zapanować zdrowa jednomyślność i konstruktywny zapał, pisarze i dziennikarze niech kroczą dziarsko i karnie ku „światlanej przyszłości” — a styczność z Zachodem ma być zerwana, lub ograniczona do zupełnie nieszkodliwego minimum.

To wszystko — na drodze łagodnej perswazji i bez uciekania się do dawnych, stalinowskich, metod. Perswazji, co prawda, nie znoszącej repliki — chociażby dlatego, że ewentualny śmiałek mógłby tę swoją replikę wyszeptać jedynie w gronie rodzinnym, lub najbliższych przyjaciół. Śmiałek, przypuszczam, nie będzie prześladowany, po prostu zamkną się przed nim gazety i wydawnictwa, odstawiony zostanie do życia prywatnego i niech w inny sposób zarabia na utrzymanie. Póki co władze zlikwidowały dwa największe tygodniki literackie, w których kołatało się jeszcze trochę swobody, a na ich miejsce powstał organ oficjalny pod ironiczną nazwą „Kultura”, komunistyczny, urzędowy, urzędowo-ideologiczny, biurokratycznie heroiczny, administracyjnie entuzjastyczny. To urzędolenie ma zastąpić narodowi słowo, które mówi...

Zatrzasnęły się tedy ostatnie drzwi wschodniego hermetyzmu, jeszcze nieco uchylone, i przekreślono klucz w zamku. Polska przeszła znowu w sferę inteligencji dyktowanej, premedytowanej, programowej — martwej. Tych dwadzieścia z górą milionów dusz będzie musiało recytować Marksa — tych dwadzieścia z górą milionów zostanie podporządkowanych całkowicie myśli jednego

człowieka, który nazywa się Marks. Kiedyż odkryjecie, komuniści, że to jest „kult jednostki” niegorszy od kultu Stalina?

Mnie nie zależy na atakowaniu komunizmu, niech to robią inni, trzymam się jak najdalej od polityki. Tak (możecie mieć mi to za złe) mnie polityka nudzi! Jako artysta nie jestem w stanie pisać na tematy, które mnie nie biorą, a do nich należy ten nieszczyśny komunizm, obgadany doszczętnie tam i z powrotem. Niezależnie od groźnej aktualności dylematu, przesył coraz bardziej daje się we znaki i chyba nie ja jeden wyglądam z upragnieniem chwili, w której wchodzące pokolenie powie „dość” i stworzy sobie nowe niepokoje, nowy styl, nowe zagadnienia. Pewien hreczkosiej pytał z oburzeniem, gdy mu wyrzucano niewierność małżeńską „cóż to, ja krowi ogon jestem, żebym zawsze przy jednej... wisiał?!”. Ufam przeto, że ludzkość przestanie wisieć u jednej antynomii, nie wierzę aby jakikolwiek problem, choćby najbardziej fundamentalny, mógł wchłonąć wszystkie energie duchowe człowieka... stać nas na dziesiątki i setki różnorodnych zmagani o niezmiernym napięciu... a znużenie, przesył, są potężnymi demonami pobudzającymi do nieustannego odświeżania sobie świata.

Nie zabierałbym więc głosu i na ten temat polityczny — ale tym razem przyplątała się tutaj pewna logika silniejsza ode mnie. Zabieram głos po prostu dlatego, że im odbiera się głos. Zaczynam mówić dlatego, że oni zaczynają milczeć... czyż to nie wystarczający sylogizm dla mnie, literata polskiego na Zachodzie?

Europa chyba bardzo zdawkowo wyobraża sobie dzisiejszy stan rzeczy, umysłowy i duchowy, w Polsce. W istocie kryzys jest o wiele głębszy, wykracza daleko poza ramy tego, co zwykliśmy oglądać w kinematografach jako „walkę o wolność” szlachetnych demokratów. Oto kilka zdań z mojego dziennika, napisanych dwa lata temu:

„Parcie podziemne ich niespokojnej, tragicznej, brutalnej, rozczarowanej inteligencji wydaje mi się nieskończenie silniejsze, niż przed wojną...”

„Przebudowa społeczna musiała pociągnąć za sobą zmiany w perspektywach intelektualnych i duchowych. Nowa ewangelia materialistyczna była szturchnięciem, wytrącającym z ciasnej, katolickiej tradycji... Tak to marksizm skompromitował kościół, ale sam uległ też kompromitacji objawiając się niemniej ciasno i dogmatycznie. A z drugiej strony Naród także został opatrzony znakiem zapytania, ponieważ ujawniła się jego słabość i ponieważ w nowej konstelacji politycznej Polski coraz mniej ma do powiedzenia. Zdawałoby się zatem, że na trupach Wiary, Narodu, tudzież

Marksizmu, na trupach zarówno Dogmatu, jak Filozofii, jak Ideologii, jedynie Nauka z Technika mogą ogłosić swoje królestwo”.

„Ale Technika z Nauką ledwie się w tym kraju ruszają... zbyt niezdarnie aby mogły stać się chociażby namiastką głębszej treści życiowej. Kompromitacja jest powszechna, objęta wszystkie dziedziny i rozprawiła się ze wszystkimi bogami — stąd ich rozczarowanie, stąd ich mądrość”.

Mądrość? Owszem, mądrość na pustyni, mądrość wisielcza... Zaskakiwał mnie ten gatunek mądrości sparzonej na wszystkim, wszystkiemu zaglądującej w zęby, gdy mnie odwiedzali ludzie z Polski, studenci, artyści, czy medycy, ba, nawet księża! Jest to stan ducha bardziej radykalny, niż na Zachodzie, mogłoby się zdawać, że jedyne co się utrzymało, to jakaś generalna kpina zrodzona z impotencji, która jeszcze nie stała się rezygnacją. Ta inteligencja polska to nie są na pewno ludzie łatwi do prowadzenia, a zwłaszcza do wodzenia za nos. A jednocześnie tej swoistej mądrości, urobionej dotkliwymi doświadczeniami, towarzyszy zadziwiająca naprawdę świeżość, szczególnie entuzjazm do tego co jest „wyższym” życiem duchowym, kulturą — z tym entuzjazmem turyści zachodni spotykają się także w Rosji. Ten głód ducha, nieznaną zachodniej Europie, powstał w wyniku długoletniej diety, jest to łapczywość, rzucająca się na wszystko śmiało, bezwzględne, swobodne... i na finezje, luksusy swobodnej twórczości. Gdy jednak entuzjazm Rosjan jest bardziej naiwny, w Polsce idzie on w parze ze zrozpaczonym sceptycyzmem.

Tak wygląda warstwa oświecona, której reżym postanowił przywrócić utraconą od 1957-go konstruktywną „jednomysłność”. Jest że to możliwe? Jakie będą skutki?

Kiedy zaraz po wojnie pojawił się na ziemiach polskich ponury zamordyzm stalinowski, miał za tło miasta jeszcze nieostygłe od pożarów i patos wzburzonej historii — mogło się zdawać, że w owym brutalnym fałszerstwie rzeczywistości zawiera się jakaś wola przemożna na miarę piorunujących wydarzeń. Miasta jednakże powoli ostygły i ostygli ludzie, od dawna po dramatycznej nocy nastał dzień codzienny, żmudny... jakimże sosem przyprawicie dziś waszą fikcją, żeby ona w ogóle miała smak jakiś? Przecie w tym świetle zimnym zwyczajnego dnia objawia się całe błazeństwo tej farsy i nawet komunistom dobrze wiadomo, że to nic więcej, jak tylko biurokracja, okólniki, bzdura, na całym świecie nie ma już nikogo, kto by to widowisko brał poważnie. Jeden tylko sposób pozostał by zastrzyknąć nieco krwi bladej bzdurze waszej... ale to byłoby zbyt okropne... i jest na szczęście więcej niż wątpliwe aby rewolucja powróciła do dręczenia i mordowania ludzi w lochach więziennych, do tortur policyjnych,

które dzisiaj ją samą przerażają. Więc co? Tyrania anemiczna, prześladowanie miękkie, lękliwa stanowczość — ależ to się kupy nie trzyma i skończyć się musi jedną więcej kompromitacją, to są kpiny z rzeczywistości i wywołać mogą tylko kpiny.

Mówiąc „rzeczywistość” dotykamy centralnego punktu zagadnienia. Nie ulega kwestii, że jakość rządu, doktryny, polityki, człowieka, idei, mierzy się przede wszystkim ich stosunkiem do rzeczywistości, to tylko jest w dobrym gatunku, co się nie uchyla od tej konfrontacji. Gdyby rząd czerwony w Polsce nie próbował kluczyć, kręcić, łątać, a podjął rzetelną rozgrywkę, cóżby miał do zrobienia? Czy mogłby, na przykład, zarządzić zupełną likwidację klasy oświeconej, czyli wyższej, w imię świętych interesów proletariatu? Czy może być jeszcze mowa o wprowadzeniu kultury wyłącznie chłopsko-robotniczej, z zupełnym pominięciem nadrzędnej warstwy? To jest już nie do pomyślenia. To mogłoby się stać tylko za pomocą fizycznej zagłady, jak w swoim czasie w Rosji, ale o czym tu marzyć, rok 1963 to nie rok 1918, historia się ustatkowała. A jeśli to jest niemożliwe, czy można na serio wyobrazić sobie, że się zlikwiduje wpływ warstwy wyższej na społeczeństwo odbierając jej prawo pisania do gazet, lub wydawania książek, urządzania wystaw czy koncertów? Dzieciństwo. Ci ludzie oświeceni, czyli wyżsi, są, oni nie przestali istnieć dlatego, że nie piszą artykułów, oni przenikają całe społeczeństwo — jest to udawanie, że kogoś nie ma, gdy ten ktoś jest, jad zakłamania wżera się nie tylko w naród, ale i w samych komunistów. Nic bowiem nie może się zdarzyć bardziej fatalnego komuniście, niż podejrzenie, stopniowo rosnące, że komunizm jest sztucznością, która utrzymać się może tylko w sztucznych warunkach.

Ale nie dość na tym, że ten człowiek wyższy istnieje i będzie istniał w jakimkolwiek ustroju — on nie może, choćby chciał, zrezygnować ze swojej wyższości. Nie ma siły, która by mogła zmusić autentycznego artystę lub intelektualistę do pisania szereże poniżej swojego poziomu, redukcja duchowa jest niemożliwa, to mogłoby się stać tylko w zakłamaniu. Gdyby teoria nie wypaczała widzenia marksistom, dawno by pojęli, że ani zmiana struktury społecznej i systemu produkcji, ani dyktatura proletariatu, ani jakakolwiek inna próba przetworzenia naszej świadomości, nie zdołają w praktyce oswoić i okiełznać wyższości. Wyższość pozostanie dzika. Wyższość jest jak ziele, które plenić się będzie w każdym systemie i będzie piąć się do góry nie pytając o nic, posłuszna jedynie prawu własnej ekspansji. Idylla, w której wyższy byłby „nauczycielem i przewodnikiem” niższego, gdzie by te stosunki układały się słodko, niczym w niedzielnej szkółce, nie jest z tego świata. Wprost przeciwnie, pomiędzy wyższą a niższą świadomością walka jest nieunikniona (czymże jest mar-

ksizm, jeśli nie gwałtem dokonany w imię wyższej świadomości?).

Nie ma więc mowy o tym, aby ta sprawa z dna samego natury ludzkiej mogła zostać załatwiona ot tak sobie, na urzędowym papierze. A jednak, gdyby Gomułka i inni towarzysze mieli nieco szacunku dla realiów, zrozumieliby że mimo wszystko ten wspaśniały skądinąd postulat (zarówno głęboko sprawiedliwy, jak potężnie dynamiczny) ograniczenia człowieka na wyższym stadium rozwoju na rzecz młodszych jego braci, bynajmniej nie jest bezna dziejny... tylko, że zamiast tłumić owe sprzeczności trzeba właśnie pozwolić, aby one jak najsilniej dały znać o sobie. Pozwólcie temu wyższemu aby on sam w swobodnym zetknięciu z chłopem, robotnikiem, związał się z nim, oraz odkrył i uznał swoją zależność, która przecież naprawdę istnieje, która jednak urzeczywistnia się w opozycji, nie zaś w mdłej harmonii. Ta choroba zawiera w sobie pierwiastki lecznicze, pozwólcie jej działać, innych lekarstw w ogóle nie ma. Nie dokażecie niczego ogłupiając inteligenta i przystosowując sztucznie jego świadomość do proletariackiej normy, wręcz przeciwnie, tylko zmuszając go do jeszcze ostrzejszej świadomości, wprowadzając go w ostrzejszą styczność z życiem i rzeczywistością zdołacie go zmusić do odkrycia czegoś, co jest — co tylko musi zostać uświadomione. Twierdzicie, że superstruktura jest zależna od bazy — nic słuszniejszego — ale żeby ta dialektyka wyższość-niższość naprawdę się urzeczywistniła potrzeba jednego: wyższy musi być sobą, to jest wyższym, i niższy musi być sobą, to jest niższym. Rzeczywistość musi naprzód się objawić, wtedy dopiero stanie się nieodparta dla coraz bystrzejszych umysłów. Nie ulega kwestii, że inteligent tysiacyznymi węzłami — ekonomicznymi, biologicznymi, psychologicznymi, estetycznymi nawet — związany jest z dołem, ale musi się dowiedzieć o tym w swobodnej grze sił, w rzeczywistym kontakcie, w walce nawet. Wyrażając się po prostu, ogłupianie ludzi nie jest właściwą metodą gdy trzeba, żeby oni o czymś się dowiedzieli.

Żałosne, że komunizm tak zmiękcza sobie swoje trudności. Sposób w jaki oni w praktyce, jako dyktatura proletariatu, doszli do zdewaloryzowania sobie inteligencji, jest godny uwagi, jest to nader specyficzna dialektyka oscylująca pomiędzy pojęciem inteligencji, jako władzy człowieka i inteligencji, jako klasy społecznej. Naprzód ustanawia się prymat pracy robotniczej nad wszelkim bardziej lotnym wysiłkiem duchowym. W imię tego prymatu lekceważy się literaturę, sztukę, filozofię, zaprzęga się tych ludzi do propagandy, demoralizuje zasiłkami, prebendami, wprowadza się i tutaj „demokrację” produkując sztucznie możliwie największą ilość miernot. Gdy ta kulturalna polityka, oparta na lekceważeniu, doprowadzi do zamierzonych rezultatów, już nie-

trudno wyrażać się o malarstwie w stylu Chruszczowa, lub o literaturze słowami Gomułki. Owszem, takie, jakie są, są godne lekceważenia — tylko że wyście je sobie naprzód odpowiednio przyrzadzili.

Zapytuję siebie, na zakończenie, czy ja tu atakuję komunizm, czy też ja go *bronię*. Mam wrażenie, że nie ma tutaj ani jednego słowa, które by nie mogło być wypowiedziane na Plenum... gdyby naturalnie tym sesjom przyświecała intencja *urzeczywistnienia* komunizmu, nie zaś wprowadzenia go w *niereczywistość*.

I jeszcze jedno: jak to się potoczy, jaką przyszłość rokować nowemu kursowi w Rosji i w Polsce? Och, nic. Będzie się to jakoś ślimaczyło, słabe, niezgodne zresztą z tendencją pojedynczą obecnej polityki sowieckiej na gruncie międzynarodowym, wytworzy się zapewne coś w rodzaju jełkiej zupy, będzie lepkie, grzaskie, i może jakoś rozlezie się... albo nie rozlezie...

Witold GOMBROWICZ

(Powyższy artykuł ukaże się jednocześnie w zachodnio-niemieckim periodyku „Akzenten”. Red.)


PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYŚLĄKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



« Otwarty katolicyzm » contra « otwarty marksizm »

Prof. St. Ossowski w swojej książce „Class Structure in the Social Consciousness” (Routledge & Kegan Paul, Londyn, 1963) pisze między innymi: „Gdy Chrześcijaństwo stało się religią klas panujących — nie usiłowano usunąć z pisma świętego i tekstów ojców kościoła ustępów głoszących zasady równości i braterstwa pomiędzy ludźmi”.

Ponieważ mam wielką słabość do „Pana Tadeusza” — trudno mi powstrzymać się od zacytowania słów Podkomorzego: „...jacyś Francuzi wymowni zrobili wynalazek, że ludzie są równi. Choć o tym dawno w Pańskim pisano zakonie. I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie. Nauką dawną była, szło o jej pełnienie!”.

Do dziś dnia chodzi o jej pełnienie.

W roku 313 — pisze prof. Ossowski — Kościół w porozumieniu z cesarzem potępił tych, którzy powołując się na pismo święte odmawiali służby wojskowej. Z upływem stuleci doktryna chrześcijańska została rozbudowana w wielki system, który stał się fundamentem nowego porządku. Lecz wszystkie ustępy pisma świętego, które mogły okazać się niebezpieczne dla klas uprzywilejowanych, hierarchii kościelnej i ustroju feudalnego — zachowały w pełni swą moc obowiązującą. Tak więc patrząc na Chrześcijaństwo z historycznej perspektywy — wyodrębnić w nim można dwa główne prądy: Chrześcijaństwo oficjalne, które nauką Chrystusa osłaniało istniejący porządek rzeczy — oraz Chrześcijaństwo średniowiecznych heretyków i chłopskich buntów, które z tych samych tekstów uznawanych przez Kościół czerpało natchnienie do walki przeciw klasom uprzywilejowanym i państwu feudalnemu.

Z identycznej historycznej perspektywy spojrzeć można na rozwój marksizmu. Pisma Marksa i Engelsa — uzupełnione i skomentowane przez Lenina — po zwycięstwie rewolucji stały się doktryną państwową i przedmiotem powszechnego nauczania.

Marksizm instytucyjny — włącznie ze swoją potężną rewolucyjną dynamiką przekształcił się w instrument stabilizujący nowy reżym i ochraniający nową, uprzywilejowaną klasę.

Oficjalny marksizm cechuje z jednej strony dogmatyzm — z drugiej strony giętkość ilekroć wchodzi w grę interes nowej klasy uprzywilejowanej. W okresie stalinowskim „dialektyką” usprawiedliwiano wszystko — nawet odmowę wydawania kart żywnościowych dzieciom, których rodzice nie byli dobrze widziani przez partię.

Na marginesie pragnę zaznaczyć, że tylko pogląd na „dwoistość” Chrześcijaństwa zaczerpnięty jest z doskonałej książki prof. Ossowskiego. Wszystko inne obciąża wyłącznie autora niniejszego szkicu. Tego typu uwaga jest konieczna, by uchronić wybitnego uczonego przed zarzutem, że „dostarcza amunicji wrogiej propagandzie”. Prof. Ossowski nie tylko nie dostarcza amunicji wrogiej propagandzie — lecz przeciwnie, wysuwa pogląd, którego nie podzielam. Prof. Ossowski sądzi, że spetryfikowany, instytucjonalny marksizm skończył się wraz ze Stalinem i stalinizmem. Niestety po XIII Plenum KC PZPR — skłonny jestem przypuszczać, że spetryfikowany urzędniczy marksizm przeżył Stalina i dławi wszelkie przejawy niezależnej myśli. Zmieniły się tylko metody, co oczywiście posiada swoje znaczenie.

Lecz wróćmy do głównego toku tych rozważań. Reformacja w 16 wieku w Polsce nie przyniosła rezultatów, które można by porównać z przemianami w innych krajach Europy. Należy przyjąć, że od połowy 17 wieku Kościół utrwalił swoje monopolistyczne stanowisko spychając inne wyznania na pozycje marginesowe.

Andrzej Krasieński, członek zespołu redakcyjnego katolickiego miesięcznika „Więź” — pisał w jednym ze swych artykułów: „w 17 wieku katolicyzm związał się z naciemniejszymi i wstecznymi kołami polskiej szlachty. Anachronistyczny ustrój społeczny, nieograniczone przywileje szlachty i magnaterii — znalazły najgorętszego obrońcę w Kościele... Przez cały wiek 17 Kościół był rzecznikiem konserwatyzmu i wstecznictwa. Chociaż wielu przedstawicieli Kościoła przyjęło ideę Oświecenia i popierało reformy społeczne — ogólny charakter kleru i Kościoła polskiego nie uległ zmianie”.

Następnie przychodzi okres dwudziestolecia z „z wiejskimi parafiami o charakterze zacofanych przed-kapitalistycznych struktur społecznych” i wreszcie dobijamy do roku 1945.

Krasieński pisze w cytowanym artykule: „Oczywiście z chwilą pojawienia się na widowni ruchu klasy robotniczej Kościół Katolicki w Polsce przyjął wobec tego ruchu zdecydowanie wrogą postawę. Kościół nie ograniczył się do polemik ideologicznych, lecz stał się głównym motorem ostrej politycznej walki i uruchomił w tym celu wszystkie środki jakie miał w swojej dyspozycji”.

„Ruch klasy robotniczej”, który zawitał do Polski reprezentowali Stalin, Bierut i „doradcy sowieccy”. Lecz nie to jest istotne. Istotne jest, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Jeżeli p. Zawieyski zasiada w tej samej Radzie Państwa co p. Zawadzki

— oznacza to, że ortodoksyjny katolicyzm znalazł — jak zawsze w przeszłości — wspólny język z oficjalną polityką.

W państwie o ustroju z definicji ateistycznym Kościół katolicki siłą faktu reprezentuje opozycję ideologiczną. Nie reprezentuje jednak opozycji politycznej. I to stanowi istotę jednostronnego kompromisu.

Kościół w aspekcie politycznym jest ważniejszy od nauki, literatury czy sztuki. Można mieć sztukę kierowaną, można mieć naukę kierowaną, lecz nie można mieć katolicyzmu kierowanego. Nawet Piasecki nie odstąpił na jotę od żadnego dogmatu.

Komuniści liczą na uwiad katolicyzmu poprzez laicyzację społeczeństwa. Uprzemysłowieniu, urbanizacji, zmianom strukturalnym na wsi — towarzyszył zawsze zmierzch religijności w tradycyjnych formach. Lecz Europa jest ciągle chrześcijańska. Można zaryzykować pogląd, że kościoły pustoszeją w tych krajach w których chrześcijańska myśl społeczna została najpełniej zrealizowana. Za czasów Dickensa kościoły były pełniejsze, lecz Anglia była mniej chrześcijańska w swojej strukturze społecznej i praktyce. Choć wydać się to może paradoksem — ustrój realizujący postulaty „rewolucyjnego Chrześcijaństwa” — ma większe szanse zlaicyzowania społeczeństwa niż państwo autorytatywne, dyktatorskie, niezdolne do złagodzenia różnic społecznych. Z socjologicznego punktu widzenia pełne kościoły świadczą zawsze o biedzie i o krzywdzie społecznej. Odnosi się to zarówno do arcy-katolickiej Hiszpanii jak do komunistycznej Polski Ludowej.

Rewolucyjny społecznie prąd w Chrześcijaństwie jest starszy od wszystkich lewicowych programów w Europie. Że „ludzie są równi” — „każdy ksiądz toż samo gada na ambonie” od dziesięciu wieków. Gadał to pańszczyźnianym chłopom i robotnikom ze „slums’ów” Manchesteru za życia Engelsa i toż samo gada dziś w Polsce Ludowej. I nie gada na wiatr. „Slumsy” Manchesteru znikły a na Maitland Park Villas, gdzie mieszkał Marks — stoją dziś luksusowe domy, zamieszkałe przeważnie przez klasę robotniczą. Sto lat temu żaden arystokrata nie mógł marzyć o takim komforcie.

W tym miejscu spotykają się owe dwa prądy rewolucyjne — chrześcijański i socjalistyczny. Spotykają się w ramach następującej analogii: W dzisiejszej Anglii pustką świecą nie tylko kościoły. Nie mniejszą pustką świecą i lokale brytyjskiej partii komunistycznej. I te ostatnie świecą pustkami z analogicznych przyczyn. Postulaty Marksa w znacznej mierze zostały spełnione — nie przez marksistów. I w ten sposób brytyjska klasa robotnicza uległa laicyzacji w stosunku do marksizmu. Innymi słowy, marksizm można przezwyciężyć realizując jego istotne postulaty. Chrześcijaństwo można usekularyzować realizując jego główne tezy społeczne.

W oficjalnym żargonie termin „klasowy” oznacza „partyjny”. Klasowy punkt widzenia w gruncie rzeczy oznacza partyjny punkt widzenia. W wielu wypadkach termin „klasowy” używany jest jako równoznaczny z określeniem „marksistowski”.

Otóż trzeba powiedzieć, że robotnicy jako klasa społeczna nie wykazywali nigdy skłonności ani do teoretyzowania ani do ideologizowania. Stulecia twardego życia wpołyły w robotników poczucie praktyczności i pragmatyzmu. Nasz rodak prof. dr Zweig, który ogłosił jedno z najlepszych studiów o robotniku brytyjskim, nie dopatrywał się w klasie robotniczej żadnego ideologicznego mesjanizmu. Socjologowie angielscy w recenzjach zwrócili uwagę na fakt, że robotnicy mówili z Zweigiem bardziej otwarcie, właśnie dla tego, że był kimś z zewnątrz, że był cudzoziemcem bezinteresownie badającym problemy brytyjskiej klasy robotniczej.

Sto lat temu postulaty marksistowskie posiadały w Anglii dynamikę konkretnego zagadnienia. Lecz dziś utraciły powiązanie z praktycznym problemem i przekształciły się w teoretyczną anachronistyczną ideologię. Rewolucja komunistyczna w Anglii nie poprawiłaby losu klasy robotniczej — stworzyłaby natomiast nową warstwę uprzywilejowaną, niepomniecznie trudniejszą w negocjacjach niż kapitaliści.

Marks i Engels przepowiadali, że rozwojowi kapitalizmu towarzyszyć będzie polaryzacja i zanik tzw. *middle class*. Niczego podobnego nie obserwujemy. Polaryzacja nie nastąpiła a *middle class* zamiast zanikać, rośnie jak na drożdżach. Rośnie kosztem klasy robotniczej. Obserwujemy natomiast w Anglii zanik proletariatu, jeżeli przez „proletariat” rozumieć fizycznie pracujących, niewykwalifikowanych robotników.

W wysoko uprzemysłowionych krajach Zachodu — jak Anglia, Szwajcaria, Francja czy Niemcy Zachodnie — proletariat importuje się w coraz większym stopniu z zagranicy. W miarę jak tubylcza klasa robotnicza przekształca się w *lower middle class* do pracy fizycznej, niewykwalifikowanej, względnie semikwalifikowanej, sprowadza się robotników z krajów o nadmiarze siły roboczej a niedoborze kapitału. Statystyczne cyfry, którymi nie zamierzam obciążać niniejszego artykułu, są w tej materii niezmierzenie pouczające.

Dziewiętnastowieczne koncepcje rozwoju społecznego utraciły swą przydatność i jest oczywiste, że Marks co innego rozumiał przez „klasę robotniczą” czy *middle class* niż my dzisiaj znamy. W czasach Marksa i de Tocqueville'a — amerykańska *middle class* składała się z mniejszych i większych właścicieli, którzy pracowali na swoim. Dziś mówiąc o *middle class* mamy przede wszystkim na myśli miliony urzędników, techników, inżynierów, pracowników w białych kołnierzykach itp. Powstania tej nowej *middle class* która w latach 1870-1954 powiększyła się pięciokrotnie — Marks nie przewidział i przewidzieć nie mógł.

Nie ma dziś żadnego dynamizmu w ideologii marksistowskiej. Dynamizm — jak sok żywotny — ideologia czerpać musi z konkretnej sytuacji społecznej. Komuniści brytyjscy w większości są przekonanymi ideowymi działaczami — lecz nie są w stanie zbudować potężnego ruchu społecznego, ponieważ robotnicy nie są zainteresowani ideologią tylko codzienną praktyczną problematyką. Po Marksa, podobnie jak po pismo święte, sięga się w

momentach głębokiego kryzysu — masowego bezrobocia, biedy i niepewności. Sytym, zamożnym, pewnym jutra — Marks nie ma niczego do zaferowania.

Wpływ intelektualistów maleje w stosunku wprost proporcjonalnym do wzrostu społecznego dobrobytu. W Londynie można bezpiecznie wydawać „Daily Worker” — lecz w Polsce musi być cenzura. Nawet gdyby naczelnym redaktorem „Daily Worker” był intelektualista na miarę Lenina — niczego by nie działał. Nie działałby niczego, bo w Anglii ideologia rewolucyjna nie ma z czego czerpać swej dynamiki.

W Polsce intelektualiści są potencjalnie groźni albowiem mogliby (potencjalnie) wykrystalizować polityczno-społeczny program, który znalazłby oddźwięk w masach społecznych. Społeczeństwo — jak wiemy — jest niezadowolone, przeżarte frustracją, poczuciem tymczasowości i nękanie trudnościami gospodarczymi. Gdyby większość obywateli PRL była zadowolona, zamożna, materialnie zabezpieczona — można by znieść cenzurę i pozwolić intelektualistom pisać co się im podoba.

Cenzura, ograniczenia, komenderowanie intelektualistami — oznacza zawsze, że w masach społecznych istnieje ferment opozycyjny. Ci co są przy władzy nie mogą dopuścić do krystalizacji owego fermentu. Krystalizatorami niepokojów społecznych są zawsze intelektualiści. Przywódca polityczny, który ma tłumy za sobą — intelektualistami może się nie przejmować. Jeżeli jednak postawa tłumów jest niepewna — intelektualistów trzeba trzymać w garści:

Przemówienie Ochaba na XIII Plenum jest pod tym względem bardzo charakterystyczne. Kapitaliści rządzą ponieważ są właścicielami środków produkcji. KC rządzi ponieważ dysponuje „środkami konsumpcji”. Nieposłusznego pisarza czy nakowca wysłać można „na pustynię” i wówczas o chleb z masłem jest trudno. Istnieje na szczęście strefa „tematów bezpiecznych”, które do złudzenia przypominają prywatne poletka kołchoźników. „Kołchoz” oficjalnego socrealizmu produkuje miernotę, lecz na poletkach „bezpiecznych tematów” rodzą się dobre książki.

Ochabowi wydaje się, że cały problem polega na zjednaniu intelektualistów dla socrealizmu. Batalia z intelektualistami musi być rozegrana zupełnie w innej płaszczyźnie. Partia musi wpięty zdobyć poparcie większości społeczeństwa — by móc z kolei ustawić intelektualistów na ich funkcyjnych pozycjach. Gdyby za partią opowiadała się większość społeczeństwa — intelektualistom można by bezpiecznie przywrócić ich naturalną funkcję społeczną — tj. funkcję inspiratorów i krytyków. Tylko wówczas można by powiedzieć, że intelektualiści są w pełni włączeni w krwioobieg Polski Ludowej.

Polska jest największym katolickim krajem, któremu narzucono ustrój komunistyczny. PRL podzielona jest na 24 diecezje

zarządzane przez 59 biskupów. Przed wojną mieliśmy tylko 46 biskupów. W roku 1960 było w PRL 15.645 księży w porównaniu z 11.394 w roku 1937.

W wielu wypadkach poziom wydawnictw katolickich w porównaniu z okresem przedwojennym znacznie się podniósł. Pojawiała się również a-tradycyjna postawa intelektualna określana mianem „katolicyzmu otwartego”.

Zarówno w Chrześcijaństwie jak i w marksizmie istnieją prądy rewolucyjne, socjalistyczne w najrzetelniejszym tego słowa znaczeniu. Czy istnieje możliwość choćby ograniczonego porozumienia pomiędzy tymi dwoma historycznymi prądami?

Mamy w Polsce „otwarty katolicyzm” — ale gdzie szukać „otwartego marksizmu”?

Jest rzeczą interesującą czytać w „Nowych Drogach” o o.P. Teilhard de Chardin i o wielu innych katolickich myślicielach, którzy zbliżyli doktrynę katolicką ku naukowemu pogładowi na świat. Ale czy nie byłby czas i doktrynę marksistowską oczyścić z dogmatyzmu i zbliżyć do naukowego, nowoczesnego poglądu?

Sytuacja lewicy katolickiej we Francji czy w innych krajach Zachodu — jest nieporównywalna z sytuacją katolików w Polsce. Koncepcje wysuwane przez personalistów nie mogłyby u nas znaleźć praktycznego zastosowania. Nie chodzi o to by marksizm był chrześcijański — jest natomiast nieodzowne, by marksizm przestał być anty-chrześcijański. By to nastąpiło, ewoluować musi nie tylko katolicyzm, lecz również i marksizm od ciasnego dogmatyzmu ku pozycji „marksizmu otwartego”.

„Marksizm otwarty” musiałby odrzucić monizm filozoficzny i przyjąć zasadę „wieloświatopoglądowości”, którą akceptuje „katolicyzm otwarty”. Na pytanie czy istnieje możliwość uczciwej współpracy pomiędzy katolicyzmem a marksizmem należy odpowiedzieć, że byłaby możliwa rzetelna współpraca pomiędzy lewicowym „otwartym katolicyzmem”, a „otwartym marksizmem” — gdyby ten ostatni kiedyś doszedł do głosu.

Jest rzeczą zdumiewającą, że w Polsce te koła katolickie, które wysuwały postulat wieloświatopoglądowości, popierają równocześnie nie „marksizm otwarty”, lecz przeciwnie, jak najbardziej udogmatyzowany. W pewnej mierze dotyczy to wszystkich ugrupowań katolickich a w każdym razie tych, które reprezentowane są w Sejmie. Czytając wypowiedzi katolików — zwłaszcza po encyklice „Pacem in terris” — należałoby dojść do wniosku, że w oficjalnym marksizmie nie ma powodu czegokolwiek unowocześniać. Trzeba natomiast unowocześnić katolicyzm, by mógł spełnić rolę służebną w budowie już nie laickiego, lecz programowo ateistycznego „socjalistycznego ładu”.

Chrześcijaństwo w Polsce istnieje od tysiąca lat — komunizm od lat dwudziestu. Przekonanych komunistów są w najlepszym razie tysiące — katolików są miliony. Niemniej prasa katolicka jest w ustawicznej defensywie, a działacze katolicycy reprezentują dziś typową mentalność mniejszościową. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Partia i koła bezpartyjne górują intelektualnie nad śró-

dowiskiem katolickim. Marksizm posiada w oczach intelektualistów pewną *snoob value* — „wartość snobistyczną”, podczas gdy katolicyzm, nawet „otwarty”, uważany jest za synonim reakcji i konserwatyzmu. Tym należy tłumaczyć, że wielu intelektualistów bezpartyjnych i tych, którzy z partii wystąpili — w konflikcie kościół-partia nie zajmuje żadnego stanowiska albo pro-partyjne. W rezultacie mobilizacja intelektualna katolicyzmu polskiego stoi w rażącej dysproporcji do jego liczebnej siły. Miliony dusz — ale mózgów tylko garstka.

Najodważniejsze wypowiedzi ukazywały się w „Przeglądzie Kulturalnym” i w „Nowej Kulturze” a nie na łamach prasy katolickiej. Mam na myśli artykuły i utwory literackie A. Ważyka, prof. Kotarbińskiego, Leszka Kołakowskiego, Woroszyńskiego, Jasienicy, Słonimskiego, Aleksandra Małachowskiego, Władysława Bieńkowskiego i wielu innych. Prasa katolicka nie dysponuje takim wachlarzem nazwisk.

W ostatnich dniach czerwca br. odbyła się w Warszawie sesja na temat: „Encykliki społeczne Jana XXIII, a postawa katolików polskich”. Sesję zorganizował Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie oraz redakcje „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” i „Znaku”.

W „Tygodniku Powszechnym” z 14 lipca br. ukazała się deklaracja złożona z dziesięciu numerowanych paragrafów pt. „Na Drogach Odnowy”. Deklaracja nosi charakter „konstytucji” polskiego „otwartego katolicyzmu”.

Rezygnację z wszelkiej działalności politycznej podniesiono w omawianym dokumencie niemal do rangi dogmatu — powołując się w każdym określonym wypadku na autorytet Papieża.

A oto charakterystyczne punkty „Na Drogach Odnowy”:

„...Kościół nie proponuje żadnych konkretnych rozwiązań ustrojowych. W encyklice „Pacem in terris” Jan XXIII niezwykle dobitnie mówi: „nie da się raz na zawsze określić, jaka jest najodpowiedniejsza forma rządu, lub w jaki sposób władze cywilne mogą najskuteczniej wykonywać właściwe sobie funkcje”.

„...Ze strony kościoła uczyniony został duży wysiłek do oderwania się od kategorii politycznych. „Kościół nie jest wrogiem nikomu” — stwierdził Jan XXIII, który w swej wielkiej mądrości i realizmie wiedział, że istnienie krajów socjalistycznych jest faktem, a istnienie Kościoła i ludzi wierzących w krajach socjalistycznych drugim faktem i że negowanie tych faktów i izolowanie się nie zmienia w niczym rzeczywistego stanu rzeczy.

„...Państwo ma prawo żądać od Kościoła respektowania swych praw, nieingerowania w życie polityczne oraz współpracy w sposób zgodny z jego misją — gdy chodzi o dobro wspólne wszystkich obywateli”.

Wydaje się, że niewątpliwy realizm Jana XXIII interpretowany jest w cytowanym dokumencie raczej dość swoiście.

Jest oczywiste, że hierarchia kościelna nie powinna uprawiać konkretnej działalności politycznej. To jest, i zawsze było, zadaniem katolików świeckich. Od działaczy katolickich kościoł nie wymaga abstynencji politycznej, lecz przeciwnie oczekuje, że walczyć będą na arenie politycznej o realizację podstawowych idei chrześcijańskich.

Wprawdzie „nie da się raz na zawsze określić, jaka jest najodpowiedniejsza forma rządu” — ale nie oznacza to, że każdy rząd jest dobry i godny poparcia.

„Kościół nie jest wrogiem nikomu” — lecz ateistyczny „zamknięty marksizm” jest nieprzejednanym wrogiem kościoła.

W tej sam sposób jak encyklikę „Pacem in terris” — „otwarty katolicyzm” interpretuje polską zagraniczno-polityczną rację stanu. Fundamentem owej racji stanu jest sojusz z Sowiecami. Lecz nawet gdyby się przyjęło, że sojusz z Rosją Sowiecką stanowi alfę i omegę polskiej racji stanu — nie wynika z tego, że katolicy winni raz na zawsze zrezygnować z wewnętrznej działalności społecznej, zmierzającej do przebudowy obecnego ustroju. Racją stanu na zewnątrz — choćby zasadniczą — nie można legalizować compromisu w sprawach zasadniczych na wewnątrz. Gdyby za lat 10 doszła w Moskwie do steru frakcja pekińska czy i wówczas należałoby w imię racji stanu akceptować biernie co cesarskie i pekińskie?

W nowoczesnym państwie (i to nie tylko komunistycznym) cesarskie jest niemal wszystko. W państwie totalistycznym typu PRL, gdyby ktoś chciał oddać cesarzowi wszystko co cesarskie — dla Pana Boga nie zostałyby dosłownie nic. Ponieważ cesarz zgłasza wyłączne prawo do ludzkich przekonań i sumień i jest dawcą nie tylko obowiązującego systemu społeczno-gospodarczego, lecz i obowiązującej doktryny filozoficznej. Cesarz orzeka w sprawach literatury, nauki, sztuki, filozofii, teatrów, kabaretów, architektury, farmaceutyki, kontaktów z zagranicą — a gdyby doktryna dopuszczała istnienie świata pozagrobowego z całą pewnością i tam sięgnęłaby kontrola cesarska.

Lecz to wszystko przeminie z wiatrem. Gomułka w swoim przemówieniu na XIII Plenum zapewnił nas uroczyście, że „z czasem ograniczenia wolności znikną”. Tow. Wiesław przypomniał nam również, że „treść wolności jest zawsze treścią klasową”. Dopóki istnieje reakcja — muszą istnieć ograniczenia wolności dotyczące reakcjonistów. Innymi słowy gdy będzie jeden „pasterz” Gomułka i jedna „owczarnia” — 30 milionów polskich komunistów — wówczas będzie można znieść cenzurę i wszystkie inne ograniczenia wolności. Na zawadzie do raju powszechnej wolności stoją tacy lojalni panowie jak prof. Stomma i J. Zawieyski, którzy z definicji są reakcjonistami. Nie dla nich wolność o treści klasowej! I dlatego „Tygodnik Powszechny” po kres swego istnienia będzie poddawany co tydzień „koniecznym ograniczeniom wolności”.

Katolicyzm polski nie jest aktywną polityczną siłą ponieważ brak mu intelektów, odwagi i koncepcji. W Polsce byłoby miejsce

na potężny, lewicowy, otwarty ruch katolicki, który koncepcji lojalistycznego „dożywocia” „Tyg. Powszechnego” przeciwstawiłby ewolucyjny program przebudowy ustroju. Katolicy mają prawo pozostać katolikami a marksiści marksistami. Lecz przyjęcie postawy „otwartej” musi dotyczyć tak katolików jak i marksistów. Postawa „otwarta” oznacza rezygnację z monopolu. Oznacza rezygnację z mitu „jednej owczarni” w czymkolwiek i jakimkolwiek i jakimkolwiek wydaniu. „Otwarty marksizm” i „otwarty katolicyzm” muszą przyjąć zasadę pluralizmu, co nie oznacza rezygnacji z własnych przekonań tylko szacunek dla cudzych przekonań.

Juliusz MIEROSZEWSKI

TOM LXXXIX

BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA „DOKUMENTY”

WITOLD JEDLIICKI

KLUB KRZYWEGO KOŁA



Str. 176

Cena 10 F (dol. 2.25; 15/-)

Hak i klucz (dok.)

VI. O REALIZMIE W ROSJI*)

R o z d z i a ł I I I

27. Jesienią ub.r. w pewnym paryskim salonie byłem świadkiem rozmowy Robbe-Grilleta z głośną powieściopisarką sowiecką. Dama układała się na kanapie, niby moskiewska pseudo-barynia z powieści quasi-Tołstoja. Zapytała śpiewnie: *qu'est ce que c'est ça, la Nouvelle Vague?* Na co Francuz: „w powieści treść jest bez znaczenia, decyduje język; tylko przez odnowę języka (*en réinventant le langage*), pisarz jest rewolucyjny”.

Robbe-Grillet niechęć dotknął sprawy dla literatury sowieckiej najważniejszej: sprawy języka. Najważniejszej nie w sensie potrzeby jego „reinwencji”. Wręcz przeciwnie: potrzeby powrotu do dawnego naturalnego języka ludzi, do jego semantyki sprzed stalinowskiej „reinwencji”. Kiedy to słowa „chleb”, „człowiek”, „lud”, „dobrobyt”, „wolność”, „pokój”, znaczyły tylko to, co zawsze i powszechnie bez mędrkowania znaczyły, kiedy prawda znaczyła banalnie prawdę, a kłamstwo tylko kłamstwo i nic innego. (Patrz paragraf 20).

28. Jest rzeczą wątpliwą, czy jutrzejsza literatura rosyjska, uwolniona od krytyka-inkwizytora, (a nie jest utopią mówić o niej, skoro dziś już wyłania się jej pierwszy zarys, (p. rozdział IV) — jest tedy rzeczą wątpliwą, czy przyszła wolna literatura rosyjska stanie przed potrzebą włączenia się w ruch poszukiwań, prób, nieustającej dekompozycji i odnowy, który opanował ambitniejsze piarstwo zachodnie.

Na Zachodzie przyjęto do wiadomości, że nie ma nawrotu

(*) Patrz „Kultura” nr 7-8, str. 55-75.

do wieku XIX. Zapadł on w czyściec dziejów, gdzie cienie wszystkich epok wloką się po społu i skąd totalitaryzmy wydobyły archetypy epoki żelaznej. Widocznie, bieżąca historia przyciąga z tej strefy nie to, co bliższe jej w czasie, ale co pokrewniejsze w kształcie, w fizjonomice sytuacyjnej oraz w natężeniu i w fazie energii zbiorowej.

Bowiem w przeciwieństwie do w. XIX, który widział siebie w postępowym marszu ku jedności (patrz p. 3), znaleźliśmy się w geografii rozdwojeń, w świecie nieustającego przepoławiania się. By uprzytomnić sobie po krótko rzeczy ogólnie znane: świat myśli ubezwłasnomysłonej i praktyki ubezwłasnowolnionej — i świat ludzi, którzy nie wiedzą, jaki użytek zrobić ze swojej wolności. Świat wiekowych bied — i mały świątek, który wynajduje wciąż nowe potrzeby, nękania nudą istnienia, ponieważ nie umie już ich dalej wynajdować. Świat na haku i pod kluczem (*La vertu appétitive d'une clé, la vertu attrayante d'un croc* — Pascal), regulujący się wedle najprostszego ze stosunków życia społecznego: Pan i Poddani (określenie Hegla) — i świat samoczynnej regulacji. Świat, który podoba się sobie w urozmaiceniach, rozszczepiony w kontrowersjach swych myśli i obrazów — i świat jednej myśli i jednego obrazu itd., itd.

29. I właśnie w tej geografii rozdwojeń mieści się wybornie mikrowidzenie, innowidztwo, optyka rozszczepień dzisiejszych awangard literackich Zachodu.

Utracono zaufanie do wszystkich danych bezpośrednich i pośrednich i do wszelkich sposobów ich wyrażania, do treści i do słów, i oto w tej sferze totalnej nieufności słowa w zdaniach i zdania między sobą wiążą się w stosunku wzajemnej nieufności. Ucieka się od sztampy i komunału, ale gdy cenzura ich przekracza pewną granicę, wszystko momentalnie staje się sztampą i komunałem w rękę artysty, jak wszystko stawało się złotem w rękę Midasa (który podobnie zgrzeszył nadużyciem mowy). A kiedy zamykamy się w mikrorealizmie intro- czy ekstrawertywnym, cóż może on dać więcej niż mikroskop: skrzydło komara, architekturę ziarenka piasku, incydenty pamięci i powikłania czasu — próbki nieznaney dotąd urody. To niemało, zapewne, to nawet wiele, ale zostawia nas z naszym głodem świadomości rzeczy ludzkiej, która jest zawsze makroskopiczna.

30. Potrzeba uświadomienia sobie rzeczy ludzkiej: oto czemu pisarze sowieccy, najbardziej rzetelni z nich, przywiązują taką wagę do książek Kafki i Camusa (patrz p. 1). Symboliczne przeobrażenia tamtych przedstawiają się im jako parabele własnej ich egzystencji, a egzystencjalny pesymizm rzuca szlachetniejszy blask na nędzę i hańby ich doli ludzkiej i proponuje filozoficzne pocieszenie za losy ich, tragicznie chybione. Ale — trzeba podkreślić — wypracowywanie nowego stylu, nowego „języka”, potrzeba odnowy formalnej jest im z gruntu obojętna.

31. Parabole, przenośnie, aluzje.

W Polsce, w latach najbardziej ponurych, z chichotem czytano przygody Guliwera i w rojeniach Swifta znajdowano wytłumaczenie nonsensów gospodarki planowej (kraj Laputów). A „Lewiatan” Melville’a dawał pisarzom-konformistom usprawiedliwienie: daremność, patetyczna śmieszność wszelkiej walki o cele niemożliwe do osiągnięcia. Tymże literatom w epoce ich buntu „Stary Człowiek i Morze” uwznioślił powinność ludzką oporu. A recepcja aluzyj? W 1949 w Zakopanem kino dostało „Hamleta” z Olivierem na trzy dni. Kierownik musiał wyświetlać go przez trzy doby, z najodleglejszych wiosek nadciągały rodziny ze starcami i dziećmi. „Co wam się tak podoba? Przepych dworu królewskiego?” — spytałem znajomego górala. — „Jaki przepych? Bodajby się nawzajem powyrzynali!”.

W Polsce aluzja jako sztuka kontrabandy prawd i półprawd posiada długą, subtelną i swoistą historię. To w Polsce symulacja polityczna znalazła swego wzniosłego pozytywnego bohatera, dzieci w szkołach uczą się jego tyrad, i niejeden „tragediante” z bierutowego dygnitariatu widział siebie (oczyrna duszy) w roli Konrada Wallenroda. Już przed wojną niedorzeczna powieść Bohdana Ronikiera nie inaczej kreowała samego Dzierżyńskiego: Polak, patriota, potomek zesłańców, który bierze odwet na Moskalach. „Póki był w okuciach, Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despote. Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach” (1).

32. Aluzje, słowa mrugające, pół-prawdy, przypowieści — rodzina pojęć odrębnych, choć spowinowaconych, krzewiących się wszędzie tam, gdzie „krytykę sprawuje inkwizytor i kat” (Gobineau). Ale też tylko tam, gdzie inkwizytor jest jeszcze, albo już jest nie dość katem.

O polskiej odmianie zniewolenia umysłów pisano już wiele Anatomii jej dał Miłosz. Pamiętać trzeba, że *na ogół* było to raczej samo-zniewolenie, przy czym wyraz „samo” — należy tu rozumieć wspaniałomyślnie, podobnie jak rozumie się „autosugestię”, tj. jako proces psychiczny w dużej mierze uchylający się autokontroli. W p. 26 (ib. str. 72) próbowałem sformułować przepłyty wiary i wiedzy, do których można się łatwo przymusić, albo dać się przymusić, nie tracąc mimo to czystego (względnie) sumienia: zatem, można szczerze uwierzyć, że się nie wie tego, co się wie itd. Naturalnie, jest rzeczą podejrzaną, gdy te wiary samo-zniewolenia i autosugestii są w zgodności z osobistym interesem, i w Polsce stalinowskiej, jak i wszędzie na świecie, nie brakło po prostu cyników, karierowiczów i ciurów, a różnica polegała tu na swoistych determinizmach nikczemnienia, które stalinizm narzucał ich karierom. Zastanawiać się nad nimi nie warto: bynajmniej nie oni stanowili o istocie rzeczy.

Pewien intelektualista polski wysokiej inteligencji i poczci-

(1) Pedantyczny moralista mógłby spytać: czy ten, kto pełzał jak wąż, póki był w okuciach, jest uprawniony z wolności „wylewać kielich trucizny” nie tylko na okowy, jak mniema, ale przecie, koniec końców, i na tych, którzy jeszcze są w okuciach?

wego koniec końców serca, tłumaczył swój dawny fanatyzm stalinowski: „w tym czasie jeszcze wierzyłem”, a że łatwo było temu zaprzeczyć, poprawił się: „cierpiałem na rozszczepienie jaźni”. Gdybyż to tak było! W istocie, ten świetny skądinąd analityk nie potrafi, a i nie chce, zdać sobie sprawy z ówczesnego stanu swego umysłu i duszy. Jeżeli przez „rozzszczepienie jaźni” rozumie — niewłaściwie — stan, o którym *później* mniema się, że (*wówczas*) „nie było się sobą”, albo było się „nie-sobą”, to można się z tą diagnozą od biedy zgodzić. Gdzie indziej cytowałem (z książki M.H. Johnsona „British Central Africa”) wypadek ludożercy, który w dżungli czatował na swoje ofiary, a przed angielskim sędzią tłumaczył się: „Tego dnia byłem lwem i musiałem zachowywać się jak lew”.

Rzeczy to zagadkowe i ciemne, przez psychologów niedość zbadane, jakieś szczątkowe prawdy znajduje się w wyznaniach „renegatów”, ale — albo ci apostości przeżyli stalinizm poza jego granicami i jego powszednią praktyką, albo — jak w Polsce paździenikowej, nagle obudzeni i postawieni wobec swego zniewolenia i hańby, okazali się dymem mitologizujących samo-usprawiedliwień (dr Faul, „oni”, „tragedia komunistów” itd., itd.) — rzecz to przecie normalna, ludzka.

Sprawy to zatem ciemne i wymagają osobnego potraktowania. Niemniej naszkicuję tu w schemacie sytuację polskiej literatury, by tym wyraźniej wypuklić gruntowną odmienność sytuacji Rosjan. Jak wszelkie schematy, będzie on jednostronny, jeden z wielu możliwych.

33. Rozstrzygającym wydaje się fakt, że *na ogół* i *na dobrą sprawę* w Polsce nikt „nie musiał”. Dowodem jest postawa ogółu klasy robotniczej i chłopstwa, i dużego odłamu inteligencji. Nieugięta, niekiedy aż do fanatyzmu niemniej irracjonalnego jak fanatyzm stalinowski. Ale właśnie ten irracjonalny fanatyzm, polskie „warcholstwo” i fanaberie, ba „kruchta” i „magiel”, w normalnych warunkach tak szkaradne, zmuszały sowieckich taktyków do zwolnienia tempa stalinizacji i oględniejszego obchodzenia się z Polakami, niż z Czechami czy Niemcami. Jerzy Borejsza miał względną (i straszną) rację, gdy mówił o polskiej „łagodnej rewolucji” — w istocie łagodnej w zestawieniu z Rosją — chociaż rodzony jego brat — może w tym już czasie? — wybijał zęby i łamał kości w Bezpiece.

„Nie musieli” też literaci, mimo presji szczególniejszej, a dowodem jest liczba krnąbrnych, większa niż wiadomo, skoro najlepszym w tej sytuacji azyłem była anonimowość.

Co więcej nie literaci, ale właśnie Faulowie et Co. byli pod mieczem Damoklesa nieustannie, i gdy w literaturze rozlegały się lamenty, plankty i treny na śmierć despoty, niejeden z tamtych „tańczył” (2) z radości nie tylko na Kremlu, ale i w warszawskim białym domu.

(2) Chruszczow o Berii.

34. Zaczęło się w Polsce od słów mrugających. Nie były to bynajmniej aluzje. Wszystkie ówczesne słowa — zawołania, słowa — teorie estetyczne: plebejski optymizm, wielka metafora, realizm wielki i mały, socjologiczna konstrukcja losu ludzkiego, powieść jako podręcznik życia, bądź jako zwierciadło poznawcze a zarazem katechizm politycznie wychowawczy, wiersze, które mają pomagać w wykonaniu pięciolatki, w budowie socjalizmu itd., itd. — to słowa mrugające. Ex-wyznawcy Carnapa, Apollinare'a, Alaina pojmowali te słowa w przenośni i — *zarazem* — najdosłowniej; ezoterycznie dla wtajemniczonych, egzoterycznie na placach — rze czy to dobrze znane z tradycji grecko-judejskich, z teologii chrześcijańskiej. Jedno i drugie *jednocześnie*, z tym samym szczerym (mniej-więcej) akcentem przyświadczenia. W każdym razie, nie było w tym schizofrenicznego rozszczepienia. I wymagająca nieład ekwilibrystyki myślowej gra w prostactwo-finezje (oraz finesy), w dosłowność-alegorie ostrzyła inteligencje i pióra. Pisarze polscy, którzy tej szkoły nie przeszli, mają poważny handicap.

Rzecz w tym, że pierwszy komunistyczny Parnas zrekrutował się z ludzi jeszcze młodych, utalentowanych i sprawnych, których uformowała druga połowa lat trzydziestych, kiedy i reżym, i tak zwane stateczne społeczeństwo, i dynamiczny odłam młodzieży stopniowo ulegały urokom faszyzmu i coraz bardziej stosowały je w praktyce (Bereza, bojówki, Ozon, przesładowania mniejszości narodowych). W tej części świata fałszywa alternatywa: „albo komunizm, albo faszyzm”, miała koniunkturalnie pozory słuszności. Toteż katastrofa narodowa, spowodowana przez faszyzm, sprawiła, że młodzież myśląca, niezależnie od tego, ku której z obu stron alternatywy skłaniała się dawniej, znalazła się w sposób naturalny i konsekwentny w polu magnetycznym zwycięskiego komunizmu. I któregoś z pierwszych dni, powołani i wybrani gromadą, jak do pierwszej komunii, przystąpili do partii.

Oczywiście, działały też strachy. Raczej zastrachanie, jeżeli słowo „strach” zachowamy dla przeżyć doznawanych przez podanych sowieckich, przeżyć nie tylko cięższych, ale wręcz odmiennych. Działo się wtedy zastrachanie tych, którzy wrócili ze Związku Sowieckiego i widzieli albo i odczuli go na własnej skórze; niekiedy łącznie z fascynacją, jaką groza i przemoc wywiera na słabeuszy, „miękkociątych inteligentów”. Działo też zastrachanie innych przed odwetami narodu (czy choćby motłochu), ponownie stopniowo niewolonego, który pod stalinizmem z dnia na dzień ponownie endeczał i bardziej niż kiedykolwiek nienawidził „żydokomuny” itd., itd.

Ale chociaż każdy z nich komunizował na swój własny sposób i wedle swoich własnych racji, przecież za tej wiosny Polski stalinowskiej godzi się przypisać im filozofię „grekulów”, którzy, jak Boecjusz czy Kasjodor, poszli w służbę barbarzyńskich najeźdźców, aby ich *zhumanizować* i ratować co się da. I to jest istotne w ocenie tych czasów.

Skończyło się to dość szybko. Determinizmy stalinizacji działały wolniej albo szybciej, ale niepomamowanie. Grupy literackie

porozpraszano (3), zabrano się do instauracji socrealizmu, i wygi z aparatu puścili na „grekulów” swoją młodzież „janczarską”.

35. Przymiotnik ten jest z gruntu niesprawiedliwy. Była to z kolei młodzież, uformowana przez podziemie, rozmiłowana w bezwzględnych prawach walki na śmierć i życie i w brutalnym rachunku sił. W r. 1946 nawet o asonansach dyskutowali z pepeszami na stole. Stalinizm polski postawił ich w sytuacji wyjątkowej. Aspiracja wszelkiej ambitnej młodzieży: buntować się, walczyć z filisterskim społeczeństwem ojców i profesorów, a przy tym „maszerować razem” z kumplami, („razem młodzi przyjaciele”, zawsze dziwiłem się, że „Oda do młodości” nie stała się — w skrócie — hymnem ZMP), poruszać z posad bryłę świata a zarazem — rzecz to dawniej niebywała — właśnie dzięki temu uzyskać władzę nad ojcami i profesorami, zaszczytu, apanaże: to pułapka, w jaką młodzież wciągał także faszyzm. Pomyłka wyjaśniała się stopniowo w miarę stalinizacji, i młodzi entuzjaści terroru, Rewolucji i Majakowskiego (4) przekonali się o przepaści, jaka dzieli ich aspiracje od idealnego modelu: sfunkcjonalizowanego, czynowniczego Komsomołu. Ale było już za późno.

Rzecz znamienita: ci sfanatyzowani symplaczkowie, „pryszczaci”, autorzy grafomańskich zbiorów, którzy — tak się wszystkim zdawało, — świata nie widzą poza końskimi okularami „politgramoty”, nagle w okresie przedpaździernikowym, dosłownie z nocy na dzień, okazali się subtelnymi publicystami, wyrafinowanymi poetami, filozofami o rozległych horyzontach. Jak się to stać mogło? Jeszcze w roku 1955, ten i ów z nich pisał o filozofii np. Zachodu w duchu i kategoriach „Filozoficznego Słownika” sowieckiego, gdzie hasło „kolchozy” zajmowało dziesiątek stron, a Kartezjuszowi przydzielono kilka cierpkich linijek, i gdzie różnicę między Leibnizem a Spinozą tłumaczono — nieomal — różnicą agentur, którym służyli. W rok potem ci młodzi ludzie okazali się świetnymi komentatorami Heideggera i św. Anzelma.

Czyżby po kryjomu, jak we wczesnym średniowieczu, albo pod pozorem demaskowania wroga od lat, wczytywali się w zakazane teksty? Zresztą, w tym samym czasie, gdy oni czytali ojców kościoła, młodzi księża polscy studiowali „klasyków marksizmu”, i niejedna siostra zakonna zapędzała w kozi róg oficjalnego agitatora. Oczywiście na tej wymianie stracili księża.

A może twarda szkoła podziemia i późniejszej dysymulacji tak usprawniała umysł, że ledwo „słoneczko” zgąsło, przemiana poczwarki w motyla odbyła się błyskawicznie? Wystarczy porównać ich energię i wyrafinowanie myślowe w okresie Października z obecnym stanem umysłów literackiej młodzieży w Rosji, która dziś dopiero przeżywa sytuację analogiczną, z tą jej nieporadnością i zagubieniem — by zmierzyć głębie spustoszenia, jakie stalinowska „pierekowka” poczyniła w samej Rosji. W każdym razie była to generacja wartościowa i bieda polega na tym, że gdy w Październiku wzięła ona piękny wzlot, została zwichnięta, zdegustowana i pomarnowana przez partyjne konwulsje de- i re-stalinizacji.

(3) Złagodzona to postać pogromu ugrupowań literackich w ZSSR w 1932-34 r.

(4) W Rosji taki zlepek kultu Majakowskiego z mitem „czytej rewolucji” od dawna prowadził do łagrów.

36. Przyjęli oni socrealizm z początku z entuzjazmem, co prawda wyczuwało się już wtedy w tej aprobacie sporą dawkę nihilizmu („nad wszystkim co było, postawiłem nihil” — Majakowski), kiedy został oficjalnie wprowadzony, w 1949 r.

Gdy na Zjeździe szczecińskim sowiecki emisariusz prof. Anisimow, po obleśnej obietnicy milionowych nakładów, „dacz” i Zisów ostrzegł: „A kto nie pójdzie z nami, będzie unicestwiony, a imię jego zostanie wykreślone z książek i pamięci na zawsze”, a polscy literaci oklaskiwali do paroksyzmu, przy zsiniałych twarzach, Jerzy Borejsza powiedział mi na uboczu: „meta jest wiadoma i socrealizm — nieunikniony. Ale my, bolszewicy, jesteśmy taktami, tempa i etapy dostosowujemy do stopnia napotykanego oporu. Pan widzi: oni sami domagają się socrealizmu”.

Tempo zostało w istocie przyspieszone i na zmianę „pryszczających”, przyszła trzecia fala, każdy rok przywołał nowy zastęp, prowadził ich tym razem ludzki — arcyłudzki heliotropizm: uczulenie na powodzenie sławę, życie ułatwione. Zbieranina przebie-rańców, „robotników ostatniej godziny”, katachumenów z dobrych rodzin a także wychowanków szkółek partyjnych, nawet funkcjonariuszy Bezpieki, którzy mieli „żyłkę literacką”, właśnie zbieranina, bo taką najłatwiej w polityce dyrygować. Im błahsza była literatura, tym cięższa stawała się Instytucja, która szybko zdążyła do swojego sowieckiego modelu.

Już po upadku Borejszy (5), bardzo wówczas ważny członek KC tak zainaugurował w Warszawie Plenum Literatów, w 1950 czy 51: „My, wydawcy, będziemy wam pomagać. Naturalnie, jeżeli pisarz polski zechce pisać *ale*, to my nie zmusimy go do *lecz* czy *aliści*”. Wielka Karta swobód pisarstwa polskiego!

„Historia arcana” tych lat nadaje się tylko do groteski. Nic np. bardziej groteskowego niż kiedy stary endeck X... na zebraniu „sekcji”, pod okiem jednej z meger, które później przewano wdowami po Berii, wytykał starymu komuniście Lucjanowi Rudnickiemu, — czy może jednemu z „pryszczających”? — że „nie docenia roli partii”.

Tak, ale w tymże roku 1951, wysoki dygnitarz, rozdając nagrody na Festiwalu Dramaturgii — powiedział: „Dajemy wam tym razem nagrody i sceny, ale pamiętajcie, jeżeli szybko nie nauczycie się pisać, nie będzie ani nagród ani scen”. Bo polska elita partyjna brutalnie narzucając socrealizm, bez skrępowania wyrażała ogrom pogardy dla jego produktów i producentów.

37. Październik dokazał cudów, chociaż nie mało namitologizowała wtedy w głowach Polaków i zachodnich progresistów. Okazało się wtedy naocznie, że stalinowska „pierekowka soznania” w Polsce była imitacją i symulacją. Obnażyło się dno powszechnego wśród literatów zakłamania i rozpętała się literatura aluzyjna. Potyczki aluzjonistów z upartymi czy tylko ostrożnymi iluzjonista-

(5) Stylem osobistym nie pasował do nowego etapu, a poza tym za wiele tworzył, a za mało burzył.

mi były pozorne — rozgrywki osób, a nie zasad i wiar, które w istocie mało czym się różniły (6). Szybko też uformowała się kategoria pisarzy, którzy umieścili się na finezyjnym pograniczu, słowa ich mogły oznaczać to i owo, i coś wręcz przeciwnego, zarówno dogmat, jak i bluźniercze z niego szyderstwo. Były to znów jak gdyby „słowa mrugające”, tylko że bez dawnej teologicznej wiary i przyświadczenia, raczej słowa, z przymrugnięciem.

Zarówno „słowa mrugające”, jak aluzje, i przenośnie, i przypowieści posiadają wyzwalający walor, gdy stają się sztuką przemytu cząstki prawdy, lub sygnałem pozwalającym czytelnikom dośpiewać sobie resztę. Ale mają niemniejszą przywarę, bo obok prawd przemycających mity, i niesposób odróżnić jednych od drugich w mgłę ogólnej nieoznaczoności i powszechnego niedomówienia. Język zachowuje się wtedy, jak gdyby był negatywem stalinowskiego: jest równie plastyczny, każde słowo może oznaczać każdą rzecz, tyle że z odwrotnym znakiem, niekiedy tylko podpiś autorą zezwała ów znak określić.

Co więcej, gdy zrazu sztuka aluzji wyzwała i pobudzała afektywne energie, dziś po przekroczeniu progu nasycenia, umacnia już tylko — nawarstwienia zniechęceń, apatii, powszechnego poczucia daremności wszystkiego, które są wielką biedą dzisiejszej Polski. Zużyła się jak narkotyk, bo w istocie, tam „gdzie krytykę sprawuje inkwizytor”, sztuka aluzji działa jak narkotyk. Poutracała swój sens, energię, wymowę i działanie. A przecież nie ma na razie w Polsce innego sposobu wypowiadania prawd.

38. Godzi się tu dodać najogólniej, że kto pod stalinizmem chciał w ogóle działać, robić, drukować, robić coś, wciągany był siłą rzeczy w dialektykę stalinizmu. Sprawdziły tu się maksymy (w „Enneadach”, ks. V) Plotyna (7): człowiek akcji zawsze podpada sedukcji magicznej, wolna od nich jest tylko czysta kontemplacja.

W 1950 r. krytyk X. namawiał mnie: „Dlaczego nie wzoruje się pan na mnie? Przyjąłem ich terminologię i parę paradygmatów, w ten sposób przemycam trochę prawdy: pół prawdy — pół kłamstwa, fifty-fifty. I niech pan na mnie popatrzy: prosperuję”. W domu zanotowałem: „Charakteryzować Ygreka: Y jest łysy, do-broduszy, otyły i hojny — to fifty-fifty prawdy i kłamstwa, bo Y jest chudy i skąpy — przeoczyło się tylko, że Y wyprzedaje żonę i donosi na przyjaciół”.

Fifty-fifty to nawet nie wynalazek epoki stalinowskiej. Przy-lega do dobrze znanej techniki np. Jezuitów, ojca Escobara czy O. Sancheza tak, jak ją przedstawił Pascal w „Prowincjałkach”: „odwrócone intencje”, „najbliższe okazje” itp.

(6) W toku dyskusji ktoś bardzo bystry powiedział: „Poglądy moje i N... są we wszystkim identyczne, ale ja jestem postępowcem, gdy N... jest wstecznikiem”.

(7) W epoce, pod niejednym względem analogicznej do naszej, jeżeli zgodzić się z koncepcjami Hilferdinga o pretorianach komunizmu.

39. Naszkicujmy tu jeszcze jedną postawę. Nie uczynimy tego lepiej od taoisty Czuang-Czu (p. L. Giles „Musings of a Chinese Mystic Chiang-Chou”). Gdy Yen-ho miał niebezpieczne kłopoty ze swoim złośliwym a despotycznym wychowankiem, młodym księciem, doświadczony kanclerz pouczył go: „Musisz zacząć od własnej reedukacji. Na zewnątrz możesz się przystosować, ale na wewnątrz powinieneś zachować własny wzorec moralny. Ale przy tym masz się strzec dwóch rzeczy: Nie wolno, by zewnętrzna adaptacja przenikała do twego wnętrza, i nie wolno, by twoje wewnętrzne mierniki ujawniły się na zewnątrz”. Postawa, może i mniej rozpowszechniona w Polsce wśród literatów, typowa dla najrzetelniejszych spośród pisarzy sowieckich, którzy zdołali przeżyć stalinowskie masakry.

40. Tu zbliżamy się do podstawowej różnicy między sytuacją polskich a sowieckich pisarzy. Polskim — wybito (metaforycznie) zęby i wstawiano protezę z cudzej gęby, głów nie ucinano. Byli zastrachani, ale nie żyli nieustająco pod Grozą i Strachem. Pewnie, dla wrażliwca zastrachanie bywa niekiedy nieznośniejsze. Sam to odczułem, gdy po kilku tygodniach lęków przed nieuniknionym aresztowaniem, obudziłem się w nocy w więzieniu na Zamarstynowie (24 stycznia 1940) z koszmaru, reprodukującego z całą meskinierią snu moje złowróżbne lęki. Obudziłem się z uczuciem ulgi: „Nareszcie, siedzę”. Strach bywa niekiedy bardziej dławiący, gdy się czeka na upiora, niż gdy ten zainstalował się w domu na dobre. Wiedzą o tym poddani sowieccy, którzy latami czekali na upiora. Ale upiór był tam nie ten sam co w Polsce, i zaciągał ofiary do swego domu. Groza stalinizmu na literatów polskich działała, mimo wszystko, jak bajki Grimma na dzieci. Infantylicyzacja uczuć i wyobraźni współżyła z myślą zawsze czujną i biegłą w adaptacji „zewnętrznej”. Próżno dzieciom tłumaczyć literackie chwytły Grimma. Próżno było tamtym tłumaczyć stalinowskie mechanizmy zastraszania.

41. Mówiłem o samo-zniewoleniu umysłów w Polsce stalinowskiej, ale w takich warunkach kładka między zniewoleniem a samo-zniewoleniem bywa „subiektywnie” mało dostrzegalna dla tych, których na nią siłą rzeczy i okoliczności popchnięto. Zwłaszcza dla umysłów wychowanych w racjonalizmie lewicowym. I zwłaszcza dla „wyznawców”, dla natur w istocie religijnych, które stanowią najlepszą klientelę komunizmu.

W Polsce tedy stalinowska restrukturalizacja dusz nie miała władzy nad świadomością narodu, choć prowadziła do bogatej morfologii innych zniekształceń, jako też do upodobień *à rebours*, wedle prawa: gwałt gwałtem się odciska. Była ona też powierzchowna także wśród komunizujących intelektualistów. Ledwo co wykraczała poza dno zakłamania, od którego Stalin tak genialnie ją w ZSSR oderwał, tworząc świat semantyki nie-naturalny ale autarkiczny, przymusowy, ale głęboko zakorzeniający się w głę-

biach świadomości. Świat semantyki, gdzie, powtarzam, każde słowo uplastycznionego języka mogło oznaczać każdą rzecz, gdzie wszelkie sensy nadawał wyłącznie Właściciel Wszystkich Słów i Rzeczy a dusze zostały ubezwłasnomysłone i były afektywnie pobudzane właśnie przez socrealistów. Co dało artystom tak doniosłą rangę polityczną, że jeszcze dziś pogrobowcy (i mimo wszystko grabarze) stalinizmu, chociaż w przeciwieństwie do Stalina gardzą literaturą i sztuką, ją przecież wybierają jako manometr, by wskazywał masom nieprzekraczalne granice, etapy i manewry destalinizacji.

W Polsce zatem stalinowska pierekowka była imitacją i symulacją. Wszakże nie należy rozumieć tych słów w sensie potocznym, pejoratywnym. Naturaliści i pediatrzy znają rozległość działania imitacji, jej funkcje kształtujące i bogactwo jej postaci. Aktorzy wiedzą, że skoro latami gra się wciąż tę samą rolę i skoro od szczerości każdorazowego zagrania zależy kariera, rola staje się drugą naturą. Psychiatrzy dawno przekonali się, jak głębokie, bezwiedne, nieświadome są korzenie symulacji i jak paradoksalna bywa gra ich objawów. Dawniejsi przypisywali ją historii, ale dziś zdajemy sobie sprawę, że osobnik może być „normalny” i rozzumny, „zdrowy” i trzeźwy, itd. wybornie adaptowany do otoczenia, ale gdy warunki otoczenia (historia) stają się historyczne, wtedy — chociaż on sam nie przestaje być racjonalny i zdrowy, przeciw działają w nim i poprzez niego mechanizmy i objawy choroby (tak czy inaczej racjonalizowane). Przekonał się, co gorzej, że im bardziej historia staje się historyczna, tym „normalniejszy” i trzeźwiejszy musi być osobnik, by jej sprostać tzn. by nie zginąć. W Rosji stalinowskiej neurotycy, wrażliwcy ginęli jak muchy — właśnie ta warstwa, która na Zachodzie tworzy wartości duchowe. Stalinowski dobór nie-naturalny zdołał za to wyhodować rasę o grubej skórze, stalowych nerwach i „białych oczach”, o fantastycznej zdolności adaptacji do wszystkiego. To oni, a nie sentymentalni humanitaryści, rządzą obecną Rosją.

Wiedza nasza o ludziach i czasach zyskuje na tym, gdy głównym przedmiotem psychiatrii jest nie chory, ale człowiek zdrowy w chorej historii, w czasie, który się obłąkał. Tak samo jak historia i socjologia zapewne nie mała by zyskały, gdyby były głównie patologią historii i patologią socjalną.

(Z czego bynajmniej nie wynika, np. że Stalin był kiedykolwiek obłąkany. Wręcz przeciwnie, mimo kompleksów i resentymentów, które umiał zresztą kontrolować, był to umysł zadziwiająco jasny, zdrowy — istny (plugawy) Tytan logiki. Jak twierdzi, przy innej okazji, psychiatra Henri Ey, maniacy nie tworzą wielkich Imperiów. Maniak Hitler nie jest tu wyjątkiem, bo i jego imperium było efemeryczne, i wcielał on napady zbiorowego obłąkania, które co pewien czas zdawały się nawiedzać Germanów. Czego nie można powiedzieć o narodzie rosyjskim, bo nawet jego rewolucja w największym swoim rozpętaniu była uwarunkowana kompletnym przegnięciem starego reżymu. A Stalin dlatego właśnie, że sam był zimnym kalkulatorem, umiał tak skutecznie wzbudzać i organizować wśród swoich poddanych zbiorowe manie (np. szpiegomanie). Rzecz znana

z demonologii; wedle zgodnych zeznań czarownicy diabeł-inkub jest zawsze wstrząsająco zimny).

Teraz dopiero, kiedy wielki Terror Stalinowski jest pogrucho-tany i żadna siła nie potrafi go w Rosji wskrziesić w owym *ma-jestacie* oraz *integralności*, które były warunkiem jego funkcjo-nowania; kiedy zredukował się do terroru po prostu państwa su-perpolicyjnego, teraz zatem, kiedy poddani budzą się jeszcze nie-mrawo z ubezwłasnomyslenia, stan umysłów zaczyna tam upodob-niać się do stosunków polskich za ostatnich lat Bieruta. Spod szczytków „pierekowki” wyziera dno zakłamania, zwykłego już na szczęście, ludzkiego-arcyludzkiego kłamstwa. I niepowstrzy-manie fermentuje ludzki-arcyludzki bunt przeciwko zniewoleniu umysłu, i młodzi poeci sowieccy są tylko mediami tego fermentu.

42. Krótko mówiąc, stalinizm został Polsce narzucony już w fazie jego konwulsyjnego schyłku (spowodowanego przez wojnę), i przybrał tu postać superpolicyjną, ale nie demoniczną. Mimo wielu tysięcy zamęczonych w Bezpiece, mimo że naród był w opresji, terror stalinowski nie zdążył w Polsce przybrać i uzyskać owego masowego, wszystkim nieustająco zagrażającego, wszech-obecnego, totalnego i żywiołowego jak mór i tajfun charakteru, a bez tego restrukturalizacja (pierekowka) dusz zdeprawowanym słowem jest mało skuteczna. Sądzić o Rosji stalinowskiej według jej odwzorowań w Polsce, to jak odtwarzać bal w pałacu z odbicia jego iluminacji na ciemnej sadzawce. A poczucie wyższości, z jakim liczni literaci w Polsce, a także na Zachodzie, osądzają swoich sowieckich kolegów (8) jest nieuzasadnioną pychą.

Sam nią grzeszyłem niekiedy, i krótka opowieść o jednym z tych incydentów będzie tu nie bez pożytku, zarysuje bowiem moralne dno egzystencji, na które stalinizm spychał swoich poddanych w ZSSR.

Na Łubiance siedziałem z literatem Dunajewskim, tłumaczem per-skiej poezji. Był to człowiek piękny, o wrażliwości moralnej, jaka niegdyś cechowała najlepszą warstwę inteligencji rosyjskiej. Siedział w tej celi już trzeci rok, i miałem okazję obserwować na nim, jak wariuje się w warunkach szczelnej izolacji (puszki konserw), sekretu kafkowskiego oraz tortury pustego trwania — jak wariuje się dosłownie, stopniowo, z dnia na dzień. Niedługo po moim przybyciu, poradził mi: „Niech pan od razu podpisze wszystko, czego zażądamy”. Odburknąłem, że my, Polacy nie podpisujemy, i coś tam, arogancko, o niewolniczych nałogach Rosjan. Później opowiedział mi swoją historię. Na długo przed aresztowaniem, żona opuściła go: odeszła do jego najbliższego przyjaciela, mimo to wszyscy troje zachowali na wzajem dla siebie najczulszą przyjaźń. Po uwięzieniu zażądano od niego, by obciążył tamtych dwoje. Odmawiał. „Gdy-bym to był wtedy zrobił, siedzielibyśmy już dawno wszyscy troje w łagrze, i byłoby po wszystkim. A teraz wydałem już jedenastu, i nie wiem, czy na tym koniec”.

(8) Obecna np. kampania intelektualistów zachodnich przeciw Eren-burgowi, o tyle lat spóźniona. Czciłi go, gdy ich oklamywał (chcieli być oklamani), potępiają go, gdy stał się w Rosji „łamaczem lodów” stalinow-skich i rozpętał przeciwko sobie najciemniejsze siły reżymu.

Dwóch contra jedenastu — tak oto moralność staje się ilościowa, bu-chalterią moralną. (A wiedziałem już, kiedy przestaje się odmawiać: napatrzyłem się na więźniów, których przyrządzano „na kotlietku”).

43. Parabole literackie — dla odtworzenia takich zjawisk, bywają niekiedy niezastąpione.

Mój przymusowy pobyt w ZSSR zaczął się w dwa lata po „jeżow-szczyźnie”, ale kraj pełen był jeszcze jej ech, i po więzieniach znów siedziały jej ofiary, wyciągnięte z łagrów przez liberała Berię, do bezter-minowego „piesmotra diela”.

Niedawno dopiero trafiłem na Daniela Defoe, „A Journal of a plague Year”. Dżuma, która co dzień dziesiątkuje miasto; która czyha na każ-dego ślepo i ciągle; domy zaryglowane, które otwierają się tylko po to, by pozbyć się zakażonego ojca czy brata; dziury w tkance społecznej, by stwierdzone przez jeszcze żywych, każdego rana; otwarte mogiły, w które skaczą najbardziej zdesperowani; szaleństwo, konfuzja umysłów i umysłów. kompletne nierozumienie, zabobony; cudownie ocaleni, jak ów pijany flecista, wyciągnięty ze stosu trupów; ludzie, którzy dalej spieszą do swych zajęć, za swoimi codziennymi interesami; rozuchwaleni przestępcy; dewoci, którzy tym rozpaczliwiej wierzą w Boga Gniewu i jego teodyceę, nawet „ateiści”, którzy odprowadzają kondukty szyderczym bluźnierstwem, zanim sami pomrą; i te czarne *dead-cars* (limuzyny NKWD, *czornyj wo-ron*), które krążą tam i sam każdej z nieprzeliczonych nocy — nic chyba z tak halucynacyjną wiernością nie odtworzy aury oraz mechaniki lat jeżowszczyzny.

44. A przecie w fotograficznie wiernej noweli Sołżenicyna „Zdarze-nie na stacji Kreczetowka” prawdomówny lejtnant Zotow, gdy mowa o roku 1938, pamięta tylko to, że był to rok wojny w Hiszpanii, Brygady Międzynarodowej i jego, Zotowa, gorączkowych zabiegów, by jechać tam bronić Teruelu! „Nowyj Mir” opublikował w ub. r. znamienny dla stanu dusz młodzieży pofny pamiętnik entuzjastki, której ojca i stryjów powładzano w tamtych latach: notuje ona to ze smutkiem i zdziwieniem, ale nic nie zachwiała jej wiary, dziennik jej lektur jest równie szlachetny jak np. zacnego J.Z. i zginęła później bohaterko wśród milionów jej po-dobnych (*za rodziną, za Stalina*).

45. Mówisz Hipolicie, że demonizują Stalina. Że nie brakło nigdy w Rosji ludzi, którzy zawsze widzieli dno kłamstwa i mitologii. Bez-sprzecznie, tych było legion, zwłaszcza na szczytach reżymu, wśród jego elit partyjnych, intelektualnych. Ale niezliczona też była liczba tych, którzy wierzyli, a jeszcze liczniejsi — tacy, którzy zgola i zrazu nie wie-rząc, bądź uwierzyli, bądź — także *pro foro interno* — zachowywali się tak, jak gdyby wierzyli. Czyli wierzyli, że wierzą. Inaczej działo się ongi w wielkich czasach wiary religijnej: wiara, pełna wiara, formowała się tam naturalnie, z potrzeb natury ludzkiej, i przekazywała się tradycją pokoleń. Tu dialektyka wiary i jej „credo quia absurdum” było wszcze-pione w dusze ludzkie diabelskim Terorem. Stąd nietrwałość i podstawowa lichota, tandetność „nowego”, „komunistycznego”, „sowieckiego” czło-wieka. Nie twierdzę, że „pierekowka” udała się w pełni i trwale nawet w swoich latach szczytowych. Wszelkie dzieło ludzkie jest ułomne. Nawet dzieło Stalina. Usiłuję tylko znaleźć os (idealną) transformacji psychicz-nych, najprostszą ich zasadę, która determinowała i fasonowała dusze poddanych, choć w różnych natężeniach, nie do końca i nie dokładnie.

Demonizują Stalina? — i owszem. Format zjawiska wymaga stosow-nego formatu jego widzenia. Najtrzeźwiejszy z geniuszów, Goethe, z lu-

bością używa słowa *das daemonische*, pełno go w jego pismach i w rozmowach z Eckermanem, rozumiał je jako coś, co nie może być wytłumaczone rozumowo. Trudno dziś wierzyć w istnienie Boga, zapewne, ale trudniej nie wierzyć w istnienie diabła. Diabła w historii.



W Saratowie, trzeciego miesiąca wojny — jak zawsze świeciła żarówka, szyby były zaczernione — wśród nocy usłyszeliśmy śmiech, ogromny, ordynarny, w głośnych, odmierzonych rękach, to bliższy, to dalszy: cha-cha-cha-cha, dokładnie taki sam jak śmiech diabła w jakiejś operze, spamiętanej z dzieciństwa. Nieprędko domyśliliśmy się, że to monitor, krążąc po Woldze, zapowiada alarm lotniczy. Więc już Niemcy docierają aż tutaj? Więc niezwykłe Imperium już rozwała się?! Byliśmy tak zagłodzeni, że dozorczy prowadząc nas na spacer ubiegali się z nami w wyławianiu kruszynek chleba na żelaznych schodach, a pluskwy, opite naszą niepożywną krwią, były ospałe i nad ranem łącząc w szeregiach do góry, zatrzymywały się w zadumie, jak karaluchy. Śmiech monitora powtarzał się przez wiele nocy, zawsze tak samo ordynarny, szyderczy, operowy. Czuło się zapach siarki.



Czy nie myślisz, że obok tyłu sowietologii, wolno chyba ufundować sobie, powiedzmy, małą demonologiczną? Usunęłaby ona trudności terminologii, bo zamiast używać tych samych słów na oznaczenie rzeczy przeciwstawnych, jak słowa kolektyw, socjalizm, sprawiedliwość, pokój itd., można by nadać siłom i mechanizmom, działającym w świecie komunizmu, imiona diabłów, i byłoby mniej nieporozumień. Gdyby żył pod stalinizmem Fiodor Sołogub, autor „Diabelskiej Huśtawki” i „Miałkiego Biesa”, stworzyłby arcydzieło. Bo ta komedia infernalna była ogromna, ale jej demony są miłkie i plugawe. Demonologię sowiecką wypadłoby poprzedzić teratologią — opisem brzydot, nieforemności, trywialności życia w krajach komunistycznego ubezwłasnomyslenia.

46. Sztuka aluzji ma jeszcze inną przywarę: „oko” Inkwizytora instaluje w umyśle pisarza wewnętrzną autocenzurę, i oto w samym toku tworzenia, gdy autor nasłuchuje „głosów”, ona jest czynna i czujna i odgaduje, co „przejdzie” a co nie. Powstaje osobliwe i sztuczne rozdwojenie uwagi twórczej. (Inaczej natomiast pisarz — iluzjonista reżymowy: ten zachował zdrowie, oddał swoje natchnienie w dzierżawę władzy policyjno-politycznej, dożyłotnio i ma zawsze przed oczyma duszy tablicę zakazów, gdzie automatycznie zapalają się czerwone strzałki: „Uwaga, niefaska”).

Z drugiej strony wyżej opisane rozdwojenie aluzjonisty nadaje jego inteligencji i wyobraźni błyskotliwość, obrotność i migawkową subtelność, jaką podziwia się np. w dzisiejszej polskiej literaturze (młodzi aluzjoniści sowieccy są w tym niemrawi). Osobowość twórcza, tracąc na integralności, zyskuje na inteligencji dialektycznej.

Wszystko byłoby w porządku, zawsze traci się na jednym, a zyskuje na drugim, gdyby nie partenogeneza auto-cenzur. Miano-

wicie pierwsza, najogólniejsza auto-cenzura rodzi w sobie, wewnątrz swej sfery, drugą, ta z kolei trzecią, jak w drewnianym jaju wielkanocnym — aż do najgroźniejszej, bo skrytej głęboko w podświadomości i działającej z ukrycia jako ziarno psychicznej korupcji. Aż do „corpus psychicum alienum” psychiatrów, do „kompleksu autonomicznego”.

W jednym z odcinków „Pamiętnika”, który z numeru na numer („Nowego Miru”) stawał się coraz bardziej prawdopodobny Ilija Erenburg wspomina: „W 1934 odwiedziłem Kotłas. Ludzie pracowali w dzień i w nocy: krajowi potrzebne były dewizy. W klubie młodzi recytowali Tiutczewa”. Kotłas był już wtedy piekłem łagrowym. Po co staremu pisarzowi wspominać dziś Kotłas? Czyby chciał przemycić aluzję do najpopularniejszego wiersza Tiutczewa „Silentium”: „Młodzi, skrywajcie się i tai I czustwa, i mieczy swoi”? Słaby to argument, w dodatku, co jak co, ale Erenburg nigdy nie umiał zdobyć się na milczenie, mówił zawsze, niekiedy głosem Balaama, który chciałby przeklinać, gdy anioł Pański każe mu błogosławić (powieść „Dzień Wtóry”). Trzeba najpierw spytać, po co GPU zawiozło go do Kotłas w 1934 r. w czasie, kiedy on jeszcze na pół rezydował w Paryżu? Czyby zastosowano wobec niego wypróbowaną metodę stalinowskiej *zakałki* (hartowania): niech pięknoduch nie ma złudzeń? I teraz na starość krąży on koło miejsca swego upokorzenia, jak poniżony niegdyś kochanek pod oknami przeniewierczej metresy? Czy to *corpus psychicum alienum*?

Grattez un Russe et vous y trouverez un Tartare — miał się wyrazić Napoleon. Po stalinowskich dysymulacjach trzeba zedrzedziesięć skór tatarskich, żeby natrafić na Rosjanina.

47. Oryginalność dziejowa komunizmu polega bowiem *nie tyle* na przekształceniach ekonomicznych, socjalnych, państwowych: mają one swoje liczne prawzory oraz analogie w czasach dawniejszych i zamierzchłych. I nawet *nie tyle* na sprzężeniu tych przekształceń, nawet nie na ich formacie, nie na ich sakralizacji, i nie na otorbieniu pośrodku epoki postępu. Bo i to już bywało. Zwłaszcza w satrapiach Wschodu, w najdawniejszych imperiach totalitarnych.

Natomiast oryginalność dziejowa komunizmu polega *przede wszystkim* na tym, że jest on jedyną w historii przeogromną antrepryzą *wynaturzenia języka, totalnie i od podstaw*. Deprawacją i korupcją języka ludzkiego:

- 1) przez rygorystyczne zreglamentowanie, usystematyzowanie i skodyfikowanie języka dla *określonych celów praktycznych*;
- 2) przez *narzucenie* wynaturzonego języka — środkami totalnego Terroru — jako *obowiązującego powszechnie*;
- 3) przez totalizm tej wynaturzonej semantyki, obejmującej pod swoją jurysdykcją *całość języka*, wszystkie jako tako znaczące słowa i stosunki słów do rzeczy (ich tzw. konotacje);

4) przez *odizolowanie* komunistycznej semantyki od semantyk społecznie i historycznie uformowanych, a więc *naturalnych*.

Tymi atrybutami język pod komunizmem różni się zasadniczo od kłamstwa oraz licznych jego postaci i pochodnych (hipokryzja, perfidia, mitomania itd.). Wszyscy w ogóle zawsze — bywało — kłamali. Ale — primo, każdy kłamał po swojemu; bywało, że kłamał, to znaczy okazjnie, żywiołowo, bądź zależnie od okoliczności i stosownie do nich. Secundo, owszem, bywało i ciągle bywa, że jakieś *szczególne* kłamstwa są w tej czy innej społeczności lub cywilizacji obowiązujące, ale wtedy wynikają z naturalnej dyspozycji dusz, nie są gwałtem narzucone od zewnątrz, więc (jeszcze) nie uświadomiły się sobie jako kłamstwa, Tertio, bywały również narzucane, ale i wtedy ograniczało się to do *określonego, szczerłego* zespołu słów i zdań, ze strefy zastrzeżonej, strefy religijnych czy etnicznych tabu, przy czym nieprzeliczona reszta słów była wolna, cudownie wolna — dla poetów, filozofów, dla ludzi *tout court*. Kreteńczyk koniec końców mógł powiedzieć (prawdę), że wszyscy kreteńczycy kłamią, nie ryzykując zagłady swojej oraz domowników swoich. Giordano Bruno zginął, gdy uparł się zagrazać artykułem wiary, powszechnie jeszcze dzielonej przez ówczesną ludzkość („*la bestia trionfante*”), ale jego zguba była już jednostkowym reliktem epoki ciemnej i stała się symbolem dla czasów nowych. W XX wieku miliony „brunów” ginęło za stwierdzenie, że w Saratowie czy w Issyk-kulu nie ma masła. W latach szczytowych komunizmu, w przerwie między Wielką Czystką a zaborem nowych terytoriów oraz ich ludności, więzienia i łagry były zaludniane przeważnie przez „bołtunów” — przez „gadudy”. Grzech przeciwko obowiązującemu językowi był karany srożej niż zabójstwo, rabunek, malwersacje. Mój współwięzień z Saratowa, ślusarz z zakładów łożysk kulkowych, siedział za to, że przejeździł, którego przenocował, zwierzył się: od paru lat nie skosztowałem masła. Mój współwięzień z Łubianki, młody wybitny inżynier — za to, że powiedział babinie, u której mieszkał kątem, że generał Golikow jest pijakiem.

Masła „*nie mogło*” nie być — chociaż nie było, generał Czerwonej Armii „*nie mógł*” być pijakiem — chociaż nim bywał. A raczej nie miał być, nie „powinienby był być” (a był). Zaś to, co „*powinno by było być*” — zostało zadekretowane jako to, co *jest*, raz na zawsze.

W tym jest cały program socrealizmu. I produkcja jego, o ile nie była wykrętnym eskapizmem w przedbolszewicką przeszłość bądź też w naturę czy folklor, te wszystkie „Zorane Ugory”, „Chleb”, „Dzień Wtóry”, „Jak hartowała się stal”, „Młoda gardia”, „Komuniści”, „Obywatele”, *e tutti quanti*, spełniły, owszem, swoje zadania polityczno-wychowawcze, niekiedy na medal, ale należą do śmietniska literatury. Nie mogło być inaczej: autentycznego dzieła literackiego nie można stworzyć w mowie narzuconej i wynaturzonej. Samobójstwo groźnego Fadiejewa symbolicznie przypieczętowało bankructwo socrealizmu i jego mowy, jak kilka lat wstecz — w Polsce — samobójstwo Borowskiego; podobnie

jak ćwierć wieku wstecz, samobójstwo Majakowskiego znamionowało bankructwo komunistycznej Iluzji — jako pomyłki semantycznej.

◆
„Wirklichkeit...umfasst nicht nur das Sein des Seienden, sondern auch das Werden des Geschehenen, das Gelten von Beziehungen, das Scheinen das Erscheinenden; verkehrt ist es nur dem einem von diesen.. diejenige Art der Wirklichkeit geben zu wollen, die nur einem anderem zukommen kann” (H. Lotze, „Mikrokosmos”, t. III).

Verkehrt ist es nur... — przewrotność teorii i praktyki komunizmu na tym polega, że każdą z owych „twarzy” rzeczywistości traktuje jako maskę wymienną. Wymienną stosownie do swoich ciemnych politycznych korzyści i musów.

◆
A wracając do Polski: obrachunek to dziś niewczesny. Mimo wszystko, 1955-56 to 7 tłustych lat myśli i słowa polskiego. Ciąg świetnych utworów nowych nazwisk, ponowny rozkwit starszych pisarzy, tyle książek, które weszły do światowego obiegu, jak nigdy dotąd, i nade wszystko, nawet pod ówczesną cenzurą, nawet przy wypaczającej naturze aluzjonizmu, ów gorący tumult i krążenie myśli, obrazów, bez którego nie ma kultury, życia umysłowego narodu. Wszystko to dziś jest zadeptywane przez nowe plemię dzierżymordów. Purytanin Gomulka musi powołać elementy najbardziej skorumpowane i cyniczne, aby odgrzać socrealizm. Marzenie ściętej głowy: nie będzie go miał. Nawet w wydaniu bierutowym. Bo dziś już mowy być nie może o magiach samozniewolenia. Może wszystko jest sporne, ale jedno jest pewne: nie ma w Polsce intelektualisty, nie ma kłowieka po prostu inteligentnego, który byłby w stanie przekonać siebie, że komunizm nie jest złem. Tylko on jeden, stary klerykał komunizmu, wierzy — przypuszczalnie? — uporczywie, infantylnie. Antystalinista, ale dożywotni więzień stalinowskiej semantyki. Co gorzej, spośród wszystkich „wodzów”, może już tylko on jeden jest wierzący? I gdy nie tylko Węgry, ale i Czesi stopniowo demontują stalinowską cenzurę, on z purytańskim zapalem naprawia jej kraty. To w Polsce rzecz groźniejsza i może trwalsza, niż gdzie indziej.

Pewien dygnitarz zwierzał się w r. 1959: „Mówią, że jestem agentem Moskwy, ja w Moskwie byłem tylko raz, kilka dni, a przed wojną byłem prezesem studenckiego bractwa różańcowego. Ale w Polsce porządek musi być!”. A drugi, ćwierć-dygnitarzątko: „Za Bieruta było lepiej, bo dziś i pieniędzy na kulturę nie dają, i Moskalie przez swoich agentów zatrują duszę polskiego narodu pornografią i abstrakcją”. Te związki wodwiewiego komunizmu z endekoidalną kołtunerią w Polsce są groźne: przechwytują stare nałogi i nastroje społeczne. Jak gdyby ks. Pirożyńskiego wyposażyć w absolutną władzę — dziś jedynie reżym komunistyczny może wyposażać swoich Pirożyńskich we władzę nieograniczoną.

Ale czy nie ma w tym także, bądź co bądź, jakieś słabości pisarzy? Zwłaszcza wybitnych naszych pisarzy? Te serie stopniowych kapitulacji, ta niezdolność notabli literatury do *solidarnego* oporu. Te taktyki i filozofie klerkowskiego odwracania się od nieprzyjaciela, ignorowania go, czy — odwrotnie, polityka „ratowania” grzecznością i mimetyzmem tego, co jeszcze pozostało z osiągnięć Października. Znów przypomnę słowa Borejszy: „My, bolszewicy, jesteśmy taktykami, tempa i etapy dostosowujemy do

stopnia napotykanego oporu". To było w groźnym 1949. Cóż dopiero dziś, gdy komunizm nie przestaje od wewnątrz próchnieć, a schizma chińsko-sowiecka, osłabiając „czynnik geopolityczny”, daje Polsce swobodę manewrów. Przy dostatecznym solidarnym oporze polskiego świata intelektualnego, reżym byłby zmuszony, a i mógłby, postępować z literaturą oględnie, paktować. Gdy „mała stabilizacja” stała się dużą stagnacją, pustynia na nowo zasypuje literaturę, bez widomej próby oporu dostatecznego.

R o z d z i a ł I V

48. I właśnie z Rosji, z klasycznego kraju Krytyka-Inkwizytora i znieprawionej mowy, doszły dwa świadectwa prawdy, pełnej prawdy: dzieło Pasternaka i opowiadania Sołżenicyna.

Dwa świadectwa, których styl i pismo muszą wydać się przestarzałe wyrafinowanemu czytelnikowi zachodniemu.

Pierwszy — na wskroś poeta, skrajny egocentryk, wrażliwy — w sferze swego wewnętrznego świata — aż do neurozy, ale właśnie dzięki egocentryzmowi szczelnie zamknięty we własnej wizji, w swoich intuicjach, a przeto i w sposób naturalny odporny na uroki i przymusy komunistycznego „przekucia” dusz. Drugi — prozaik prozaiczny, ekstrawertywny, ciągle napięty ku temu, co społeczne, głuchy na „głosy” transcendentne, ale tym czujniejszy na rzeczywiste.

Jeden — dionizyjski, „wodny” (p. Frank, „Wodianoj Znak”, Monachium, 1962 — tak by go zapewne określił G. Bachelard) iluminat, uczeń starotestamentowych proroków i ewangelistów i, jak oni — zapowiadający dobrą nowinę u końca „mesjanistycznych trybulacji”, obcy myśli dyskursywnej ale poddany rosyjskiej „Gedankenmelodie”. Drugi — teluryczny, racjonalny, bez złudzeń, bez przewidywań i przeczuć, bez kosmogonii i teodycei, tyle że tylko przeświadczony z nauk swego życia o nieustającym trwaniu dobra w świecie zła i przemocy.

Pasternak, prozaik nieudolny, w obrazie doktora Żiwago i w jego wędrówkach sowieckiego Odyseusza bez Itaki dał wielką wizję ogromnego nieszczęścia swego społeczeństwa, narodu, kraju.

Sołżenicyn, człowiek społeczny, ekstrawertywny — ma tylko jedną troskę: skupić całą uwagę na świecie, w którym żył, i opracowywać swoje dzieło skrupulatnie jak rzetelny rzemieślnik — nic nadto. Uwaga nie tylko oka, ale wszystkich zmysłów, postrzeganie i pojmowanie bezpośrednie, instynktowne i zarazem trafnie selektywne, jak u myśliwego czy zbiega. Kondycja zbiega bywa najogólniej, ludzką kondycją w świecie stalinizmu.

49. Opowiadanie Sołżenicyna „Matrionin Dwor” (Zagroda Matriony): przeciętny kołchoz, z dala od miasta, stara chłopka, monotonna chroniczna nędza, kilku chłopów, narrator zwolniony z łagru — i wobec tych 20 szarych stroniec wali się cała literatura kołchoźnicza, zarówno mitologizująca, jak i odwilżowa, *fifty-fifty*.

„Zdarzenie na stacji Kreczetowka”: mała stacyjka w pierwszym okresie wojny, purytański komsomolec-lejtnant, który rozpaczliwie usiłuje wprowadzić cień porządku w chaos i klęskę; bezwładny exodus uciekinierów, zagubionych żołnierzy, zestawy wagonów bez lokomotyw, lokomotywy uszkodzone, zablokowana aprowizacja frontu, żywność gnijąca w zapomnianych wagonach, oddział żołnierzy, którzy od 11 dni tłuką się bez aprowizacji, grabież, rozpusta i nędza, i radio wciąż głoszące cofanie się i znów cofanie się, ogólna niepojętość wszystkiego co się dzieje. (Zostałem w tym samym czasie wypuszczony z więzienia, bardzo daleko od stacji Kreczetowka, nie wyobrażam sobie wierniejszego obrazu tego, co sam oglądałem). Śród odpadków ludzkich, śród nędzy i chamstwa nadarza się ktoś, czyja delikatna aparycja ogrzewa serce lejtnanta: aktor zagubiony w zamęcie wojny. Lejtnant zamierza mu pomóc, z całego serca, ale w rozmowie pada nazwa Stalingrad. — „Stalingrad... Jak się to przedtem nazywało?” — pyta aktor. „W duszy Zotowa wszystko się skotłowało. To być nie może! Człowiek sowiecki a nie wie co to Stalingrad!”, i zacytuje komsomolec przekazuje podejrzanego placówce NKWD. „Nigdy już potem nie mógł zapomnieć tego człowieka”. Cała wojenna literatura sowiecka niknie wobec tego skromnego opowiadania.

50. Bo Pasternak i Sołżenicyn odbyli podróż do kresu nocy sowieckiej, i po prostu — jeden i drugi mówi o niej w słowach języka rodzimego, ludzkiego, naturalnego, uniwersalnego.

W innym szkicu, przedstawionym na konferencji rusycystów w Oxfordzie w lipcu 1962, pisałem: „Póki semantyka języka sowieckiego nie zakorzeni się na powrót w języku normalnym i uniwersalnym, póki słowo: „dobro ludu”, „lud”, „wolność” nie będą oznaczać tego, co zawsze znaczyły, i póki kłamstwo nie będzie *niczym innym, jak kłamstwem*, autentyczna literatura narodowa, która żyje i rozwija się, nie będzie tam przypuszczalnie możliwa”.

Pasternak i Sołżenicyn, każdy po swojemu, u samych źródeł mowy wrócili do tradycji rosyjskiej literatury, uciętej od lat trzydziestu.

51. Można raczej było spodziewać się odrodzenia baroku. Nawrotu do realizmu barokowego, który w pierwszych latach po rewolucji, miał tam piękny rozpęd. Barok rodzi się na ogół w czasach klęsk: zawieruchy wojenne, niepewność dnia i godziny, zachwianie umysłowe, niezdrowe związki zbytku i nędzy, wszechobecność śmierci i niepohamowana żądza życia i użycia — rzeczy to znane. Wszystkie te warunki istniały w okresie rewolucji i doszły w latach dwudziestych do szczytu, a realistyczny barok ówczesny, jego zwierzęca (*piotskaja*) energia i rozmach miały przed sobą długą przyszłość — wystarczy wspomnieć Pilniaka, Babla, wczesnego Leonowa — gdyby nie został zdławiony. Dziś inspiracja barokowa wydaje się bezsilna. Zaprawa w biedach, przedłużona ponad miarę, zrutynizowana i szara, skłania i przyzywają do pochylenia się bądź nad sobą, bądź nad piędzą ziemi pod nogami.

Tak czy owak, w przeciwieństwie do Polski, gdzie barok jest w rozkwicie, nawrót do baroku w Rosji nie wydał dotychczas utworów jako tako wartościowych. Buntowniczy sarkazm, ludowa ironia, groteskowa aluzja — najcelniejsze są one dziś w anegdocie, w anonimowych dowcipach, jak to było w Polsce, gdzie właściwie zastępowały „literaturę milczącą” w latach 1948-55; były pierwszymi „formami” dla odwilżowej literatury aluzyjnie-ironicznej. Jewtuszenko czy Terc akcent swój i rozgłos zawdzięczają raczej okolicznościom polityczno-społecznym. Zadatki na przyszłość, które tam się wykluwają, wskazują natomiast na nawrót do dawniejszego realizmu, bądź medytacyjnego i lirycznego, bądź opisowego i moralistycznego. Nawiązują wprost do wielkiego pisarstwa rosyjskiego XIX w.

52. Jeżeli zbliżam dwa *oeuvre'y* tak odmienne, o tak niewspółmiernym stylu, których wartości mieszczą się w tak różnych porządkach estetycznych, nie czynię tego na skutek ich sąsiedztwa w czasie czy w procesie rozpadu wartości stalinowskich, ale ponieważ — obydwa wolne od stalinowskiej „pierekowki” języka i duszy, właśnie przez swoją literacką odmienność zdają się odmierzać dwie granice przyszłej narodowej literatury rosyjskiej, skoro tylko (*i jeżeli*) uzyska ona podstawowy warunek istnienia: wolność.

Co więcej, właśnie ich niepodobieństwo, a także wspólna im energia i wyrazistość artykulacji, manifestują już *potencjalne* istnienie takiej literatury, która jak łód zalany czeka już tylko na odpływ nieczystych wód. Jest to nie odnowa, ale przebudzenie znieprawionej kolektywnej świadomości z długiego koszmaru do świadomości po prostu naturalnie ludzkiej oraz do jej wyrazu, to znaczy do języka normalnie ludzkiego. Do słowa naturalnego, gdzie „białe” oznacza białe w porządku prawdy, albo czarne — w porządku kłamstwa (skoro kłamstwo jest także właściwością ludzi). Inaczej mówiąc, jest to wyjście świadomości ludzi ze stalinowskiego królestwa „poza prawdą i fałszem, szczerością i kłamstwem”, a także z migawkowego ła świadomości (patrz p. 17), kiedy „słowo” i jego konotacyjne pojęcie jest wywłaszczone, odarte od konfrontacji z „rzeczą”. W tej sytuacji władza policyjno-polityczna może już tylko narzucić kłamstwo, ledwie maskowane, w najlepszym razie eskapizm. Albo milczenie.

A ponieważ reinwencję „chwytów” i form artystycznych wywołuje przeważnie wyczerpanie dawnych treści, jako też nieprzystosowalność dawnych form do nowych tematów, można sobie zadać pytanie: co sowieckim pisarzom po „reinwencji”? Ich temat, *zagadka* tych 50 lat, jest wciąż zagadką i dla nich, i dla świata. Zadania, które widzą przed sobą, to męka imaginacyjnego przeżycia na nowo doświadczeń rosyjskiego narodu, wyfiltrowania ich w poezji i wykrystalizowania w prozie. Mówiąc krótko, realizm bezpośredni, katartyczny.

53. Tedy, jeżeli moje domniemania są trafne, nowa i głęboka schizma powinna się zarysować w literaturze między Rosją a Zachodem, w miarę jak literatury zachodnie (z polską włącznie) są coraz bardziej wciągane w dialektykę reinwencji i rozszczepień.

Czy na Zachodzie, gdzie życie „realne”, czy też tylko odczuwane jako takie, pełne przywar i znieprawień, mimo wszystko przebiega w sposób naturalny; gdzie świadomość zachowała prawo dokonywania wyboru; gdzie język, rzecz społeczna i wspólna, nie został policyjnie „reinwentowany” — czy możliwy jest na tym Zachodzie odwrót ku wcześniejszym formom, porzucenie pościgu za bogaceniem się form, za ich dyzlokacjami, za burzeniem wszelkich porządków, za alternacjami kompozycji i dekompozycji i rekonpozycji? Czy możliwa jest rezygnacja z nieufności wobec wszystkiego i wszystkich? Wobec subiektywu-objektu, wobec słowa i rzeczy? Czy można już zaprzestać gry rozszczepień i syntez między „ja” i „nie ja”, i jak to się tam zwykle dziś nazywać, między różnymi „poziomymi” własnego „ja”? Zaprzeczyć faktowi, że staje się ono sobie coraz bardziej pascalowym *le moi — être haïssable*?

Tyle pytań, które tylko czas rozwiąże. Albo i nie.

54. Spróbujmy nakreślić inaczej linię podziału.

Od dawna uznano się skonwencjonalizowanie surowca (tematu, treści) literatury oraz zespołu instrumentów (chwyty, forma, styl) za główny bodziec wszelkiej odnowy artystycznej. Szybka konwencjonalizacja binomu „treść-forma” — ale już Turgieniew skarżył się w „Seniliach”: „wszystko co teraz piszę jest albo konwencjonalne, albo pretensjonalne”.

Zapewne, jest czas, gdy wszystko wydaje się świeże jak w pierwszym dniu stworzenia, i czas, gdy zewsząd rozbrzmiewa refren Eklezjasty: wszystko co jest, już było... wszystko jest marne.

Na ogół, gdy bieg historii jest powolny, twórcy artysta zakłada swój zapał do pracy i chwałę w powtarzaniu tego, co już było zrobione. Nie dlatego, że brak mu wynalazczości, po prostu nie odczuwa jej potrzeby. Potwierdza siebie w formach-treściach już danych, by zdobyć w nich swoją własną doskonałość. Poczucie konwencjonalności nie dręczy go. Ruch historii jest zwolniony, i w oczach artysty świat ma stałość przestrzenną, można go zatem opanować przez mistrzostwo i dyscyplinę, a odmiany życia przedstawiają się jako meandry rytmu, który ciągle się odnawia.

I odwrotnie, przyspieszenie biegu historii (a obecne nie jest pierwszym w dziejach ludzkości) sprawia, że ostro występuje sprzeczność między szybkim biegiem życia a sztywnieniem, zużyciem się form, ograniczoną liczbą ich kombinacji, sytuacji, manier.

Zjawisko to złożone: artystę zamąca właściwie nie sam przyspieszony bieg czasu historycznego, ale impuls przyspieszenia, jaki ów bieg nadaje jego wyobraźni i niepokoju, jego subiektywnemu przeżywaniu czasu. To zaś sprawia paradoksalnie, że tamten pierwszy i właściwy bodziec tj. przyspieszenie życia, odczuwany jest z kolei i widziany przez wprawioną w galop wyobraźnię i nastrój duszy jako proces zwolniony do udręki, ciągły, monotony, jako egzystencjalna nuda. I tak, w tym przemienym wyścigu,

czas historyczny i czas subiektywny wzajemnie się pobudzają i wzajemnie hamują, powodując ogólne poczucie bezszy. I oto artysta, udręczony obsesją konwencjonalizmu — *du déjà dit, déjà peint, déjà écrit*, podżegiwany jest stale przez nienasyconą potrzebę, by powiedzieć, namalować, zrobić, czego nigdy dotąd nie zrobiono. I bynajmniej nie z próżności czy przez chęć oryginalności, ale właśnie z *etycznego* nakazu, by nie marnotrawić życia na robienie rzeczy już zrobionej. To dandyzm i dekadentyzm *przed półwieczem* szukał „nowych dreszczów” z pobudek estetycznych. Różnica zasadnicza, choć objawy bywają podobne.

Ucieka się więc przed nieznosnym poczuciem nieustającej konwencjonalizacji z pomocą wszelkich środków, którymi się dysponuje: szukając rzeczy rzadkiej, wyjątkowej, bluźnierczego „hybris”; bądź sprowadzając „treść” do obojętnego zera; czy też zaklinając i „wywołując” nowymi środkami ekspresji treści nieznanne, naturalne czy sztuczne; albo redukując poezję, malarstwo do spraw składni itd. itd.

Ale przez wszystkie poszukiwania rozbrzmiewa refren Eklezjasty, i wszystko konwencjonalizuje się w coraz szybszym tempie w rękach artysty.

Można by tu replikować, że szeroka publiczność wciąż czyta powieści tradycyjne, kręgi zaś wokoło poszukiwaczy nowości są elitarne i szczupłe, i że wciąż zdarza się, że style tradycyjne odzyskują energię. Na co wypadnie odpowiedzieć, że jak to widać z tysiąca oznak, dzisiejsi poszukiwacze, i tylko oni, uosabiają ducha obecnych czasów, są w kierunku jego ogólnej ewolucji, która scalając wielkie masy, jednocześnie kruszy i drobi wszystko co jest z myśli i ducha.

Wynikałby z tego paradoks potworny: że stalinowska reinwencja języka, korupcja dusz, pokłady socrealistycznego lodowca, oraz komunistyczne samo-okrażenie Rosji w sposób mechaniczny uchroniły jej artystów od korupcji zachodniej: od obrzydzenia i nudy egzystencjalnej, nieufności i nienawiści, pomimo że życie w Rosji wzbudza te uczucia w natężeniu demonicznym! W istocie paradoks jest pozorny: Wszystko, co jest myślą, twórczością, było tam przez dziesięciolecia uśpione w milczeniu, a to, co uchodziło za myśl i twórczość — było imitacją, erazatem, „atrapą”, i głosem z budki suflera. Więc po prostu: w długoletnim milczeniu kumulowały się naiwne energie twórcze.

55. Błędem byłoby wnioskować z powyższej konfrontacji o dekadencji Zachodu i zdrowiu Rosji. Od paruset lat mówi się o dekadencji Zachodu, i nie wiadomo już, co to słowo znaczy. Rosjan zaś dalsza ewolucja ich literatury wolnej sprowadzi zapewne prędzej czy później, do wspólnego nurtu cywilizacji współczesnej.

Jeśli przyjrzyć się z bliska: na Zachodzie obserwuje się nieustanny wzrost energii ludności, energii ekonomicznych i kulturalnych. I chociaż moralista może ubolewać nad ich kierunkiem, wynika on przecież, w jakimś stopniu, z impetu tego wzrostu. Sztuka, nauki, myśl różnicują się i subtylizują, a rozwój ich przebiega z owym tumultem, który nie znamionuje w żaden sposób, agonii. Dobrobyt, kondycja ludzka tu są w stałym wzro-

ście, mimo licznych bied. I wpływ zachodniej cywilizacji rozszerza się i pogłębia niepowstrzymanie. Nawzajem, rozszerzając sferę swego oddziaływania, zdaje się ona zatracać zwolna prowincjonalizmy i arogancje swoich etnocentryzmów. Nic, co gdzie indziej jest twórcze, nie wymyka się jej magnetyzmowi. Nawet bolszewizm w jego młodości był wypaczoną propulsją Rosji ku Zachodowi, a ksenofobia zdanowizmu wyrażała *także* zawiedzioną „Liebe-Hass” dla Zachodu, i dotąd tłucze się tam utopijny mit „dognat” i peregnat”. Wszystko to upoważnia do domniemania, że zachodnia cywilizacja jest w ewolucji, być może — mimo wszystko — obiecującej?

I na odwrót, w krajach skomunizowanych najbardziej rzuca się w oczy apatia ludności: próg nieprzekraczalny dla wszelkich reform życia codziennego.

Uwstecznienie, retrogradacja kultury duchowej od dawna stała się prawem w ZSSR. Plastyka została po bizantyńsku udrętwiona we wzorcach miernego malarstwa rosyjskiego sprzed stu lat. W literaturze, *idées-forces* socrealizmu mają wiele analogii z szesnastowiecznymi (hagiografia, egzaltacje wojenne, podręcznik życia). W 1956 konferencja etnologów w Samarkandzie stwierdziła inwazję dawno zapomnianych wierzeń i zabobonów preislamicznych w Środkowej Azji. Bóstwa, od tysiąca lat zatopione w Syr i Amu-darii, wynurzyły się zagadkowo. Wyciągnięto z tego stosowny wniosek i zalecenie: należy faworyzować mułłów, których łatwo można kontrolować. Zapewne z tychże względów faworyzuje się dziś wysoki kler prawosławny.

Technologie i nauki ściśle, zwłaszcza tam, gdzie wchodzą w sferę militarną, dopingowane są, bezsprzecznie, skuteczniej niż gdzie indziej. Ale to tylko pogłębia dysproporcje wewnętrzne świata komunizmu, nadaje im groźny wygląd przedpotopowych stworów. Moloch kolczasty np. — płaz najeżony kolcami, w istocie słaby, nieruchawy, Claudel napisał kilka niezwykłych stronic o potworach archaicznego świata zwierzęcego, nie mogą ich czytać bez bolesnej ewokacji struktur sowieckiej rzeczywistości.

Można by powiedzieć, że komunizm zmobilizował wszelkie atawizmy, które bronią się przyspieszonej historii rodzaju ludzkiego. Być może właśnie ten aspekt hamowania i uwsteczniania pociąga *bezwiednie* zachodnich postępowców, w ten sposób biorąc odwet za rozkielznany progresizm ich postępowej kory mózgowej.

(Przyrodzony mi „przesadyzm” w akcentowaniu tego, co w chwili bieżącej znajduje się soczewce uwagi, wciąga mnie w mnóstwo nieporozumień i utrudnia polemikę ze mną i dyskusję. Tak więc, niniejszy paragraf może ująć za apologię dzisiejszej cywilizacji Zachodu, od czego odzegnawam się, niestety. Tym bardziej, że potwór bolszewizmu jest koniec końców dziećciem cywilizacji zachodniej. Żeby sparafrazować pierwsze zdanie „Anny Kareninej”: wszelkie cywilizacje i (i zbiorowości ludzkie) są dziś *poddane korupcji*, ale każda na swój własny sposób. Ale *bezwzględnie* odróżnić trzeba korupcję i dialektyki nikkczemnienia *względne*, częścicowe, historycznie żywiołowe, od mechanizmów nikkczemnienia *bezwzględne*, narzucanego przemocą i podstępem wszystkim i wszystkiemu. W dodatku te ostatnie, są to mechanizmy, które potrafią ewoluować tylko wstecz, w najlepszym razie ku punktowi wyjścia, w gorszym — ku wzorom epok najciemniejszych).

56. W toku tych meandrów posiłkowałem się pojęciami: rzeczywistość, realizm i doktryny realizmu.

Czym jest „rzeczywistość”? Pytanie skomplikowane dla filozofa, proste jest dla artysty. Wystarczy powołać się na św. Augu-

styna: „gdy nikt mnie nie pyta, czym jest czas, wiem czym jest; a gdy mnie pytają, nic nie wiem”.

„Realizm” pisarza, niezależnie od swoich znaczeń historycznych, polega na jego intencji osobistej wyrażenia rzeczy dla niego rzeczywistej tak, jak on ją postrzega i odczuwa jako taką. „Wrażenie (w sztuce), że coś jest rzeczywiste, zależy od emocjonalnego waloru (obrazu) i od postawy osobistej” (E. Meyerson, „Identité et Réalisme”).

Co do doktryn realizmu, starałem się wykazać, na przykładzie Rosji, ich szkodliwość dla pracy i dzieła pisarza. Co nie znaczy, że nie ma on zastanawiać się nad swoim dziełem, pracą i nad sensem literatury w ogóle. Pod warunkiem, że będzie wierny swoim intuicjom i doświadczeniom.



57. Powiadasz, Hipolicie: żeby oddziaływać na działania ludzi, trzeba mówić prosto, dostępne i metodycznie. Ale rzecz w tym, że nie jest intencją niżej podpisanego oddziaływać na *działania* ludzi. Chce po prostu sam *rozumieć* — jak *najjaśniej* — ów *ciemny świat* i w miarę własnego rozumienia zbliżać innych ku jego rozumieniu. Nie jest politykiem, człowiekiem akcji. Owszem, mniema, że polityka jest najbardziej pasjonującym przedmiotem rozważań, choćby dlatego, że w niej skupiło się jądro naszych ciemności, że ona ujarzmiła nas, na przekór nam, tak fatalnie i totalnie, jak dawną ludzkość — strach Boży. Ucieczka intelektualisty od medytowania nad polityką bywa kapitulacją przed zagadnieniem najtrudniejszym do pojęcia i zjawiskiem najbardziej demonicznym. „Polityka jest Losem”, (*Politik ist das Schicksal*) — powiedział już z górą 150 lat temu Napoleon Goethemu, który coś mu tam powiedział o „Schicksalstragedie” Woltera, i genialny Olimpijczyk naraz poczuł się prowincjonalnym pedantem. Lecz głowiąc się nad rzeczą polityczną, niechże intelektualista medytujący da baczenie, by nie pomnożyć zastępu ludzi polityki. Z odrazą winien zbliżać się do tajemniczej rzeczy politycznej, z dusznymi wymiotami, z nienawiścią do przedmiotu swych dociekań, ale także z grozą i podziwem, które to uczucia może zastąpią filozoficzną sympatią, bez której trudno zrozumieć cokolwiek.

Aleksander WAT

O Tomaszu Mayne Reid

W opowiadaniu Czechowa *Malcziki*, napisanym w 1887 roku, dwunastoletni Wołodia, przyjeżdżając ze szkoły do domu na ferie Bożego Narodzenia, przywozi ze sobą swego kolegę, piegowatego Czczewicyna. Chłopcy zachowują się dziwnie, konspiracyjnie, nie biorą udziału w zabawach rodziny, szepczą po kątach. Wreszcie Czczewicyn przyznaje się siostrzyczkom Wołodi kim jest na prawdę: „Jestem Montigumo, Jastrzębi Szpon, wódz niepokonanych”. Wyznanie to wyrzywa mu się mimo pogardy jaką ma dla istot, które nigdy nie czytały Mayne Reida i nic nie wiedzą o wielkim planie omawianym przez sprzysiężonych w poufnych rozmowach.

— „Z początku do Permu — cicho mówił Czczewicyn — stamtąd do Tiumienia... potem Tomsk... potem... potem... na Kamczatkę... Stamtąd samojedzi przewiozą nas łódkami przez cieśninę Beringa... I już jesteście w Ameryce... Tam jest dużo zwierząt z których są futra.

— A Kalifornia? — zapytał Wołodia.

— Kalifornia jest niżej... Byle tylko dostać się do Ameryki a Kalifornia tuż. Żywność zdobywać możemy polowaniem i grabieżą”.

Wołodia przeżywa wewnętrzny dramat, żal mu rodziców, ale ulega podszeptom Jastrzębiego Szpona i obaj uciekają z domu, po czym złapani są na pierwszej stacji.

Sprawca tej przygody, Mayne Reid, nigdzie chyba nie rozpałał tak wyobraźni jego młodocianych czytelników jak w Rosji i nigdzie kilka pokoleń nie dochowało takiej wierności ulubionemu pisarzowi ich lat szkolnych nawet później, w wieku dojrzałym. Dzisiaj Mayne Reid jest względnie rzadkim wypadkiem pisarza,

którego sława, przemijając całkowicie tam gdzie można go czytać w oryginale, przetrwała gdzieniegdzie jedynie dzięki przekładom.

Miałem lat dziesięć, kiedy odkryłem kufer skarbów mojego ojca, uzbieranych podczas jego pobytu w gimnazjum. Cały był wypełniony książkami Mayne Reida po rosyjsku. Walcząc z alfabetem odczytywałem podpisy pod ilustracjami; była to moja pierwsza rosyjska lektura. Ale w Rosji nie skończyło się bynajmniej na licznych wydaniach sprzed Rewolucji. Przyjaciele amerykańscy opowiadali mi o swoim zażenowaniu, kiedy bawiąc niedawno w Moskwie i rozmawiając o przekładach z angielskiego, usłyszeli o wysokich nakładach książek Mayne Reida. Nie znali tego nazwiska. Trudno im to wyrzucić: w krajach anglosaskich, gdzie literatura dla młodzieży jest bogata, Mayne Reid został przesłonięty przez następców, gruntownie zapomniani, i nawet najlepsze encyklopedie poświęcają mu zaledwie kilka linii.

Thomas Mayne dwójga imion Reid urodził się w 1818 roku w północnej Irlandii. Był synem prezbiteriańskiego pastora i, przeznaczony do kariery duchownej, otrzymał staranne wykształcenie — ku swojej nudzie i wściekłości. Temperamentu wojowniczego, marzył o sławnych czynach a przy tym współczuł cierpieniom Irlandii i nie znosił ustalonego monarchicznego porządku. W 1840 r. wyemigrował do Ameryki, gdzie zaraz przekonał się że jego łacina i greka nie na wiele się przydają, stąd w jego pismach ciągle ataki na przestarzałe, jego zdaniem, studia klasyczne. Myślistwo było jego pasją i udział w wyprawach traperskich dostarczał mu nieraz źródeł utrzymania, poza tym był kolejno nauczycielem, aktorem, handlarzem. Włócząc po dzikich obszarach kontynentu od Luizjany po prerie i lasy za Missouri, Indianie, bizona, niedźwiedzie grizzly — wszystko to miało stać się później materiałem powieści. Wkrótce odkrył w sobie wenę dziennikarską oraz poetycką; poeta romantyczny, ogłaszał płody swego pióra w pismach Filadelfii, gdzie się osiedlił. Jednym z jego najbliższych przyjaciół był wtedy Edgar Allan Poe.

Kiedy wybuchła wojna meksykańska, Reid zgłosił się na ochotnika. Ponieważ w jego życiu sprawy polityczne miały odegrać niepoślednią rolę, wypada powiedzieć kilka słów o wydarzeniach 1846 roku. Wojna z Meksykiem była wojną zaborczą. Celem było zdobycie Kalifornii, jednak nie dzisiejszego stanu, bo nazwa obejmowała także i Nevadę i Utah i Arizone i New Mexico, jak też części Wyoming i Colorado. Wojna wyłoniła się niemal logicznie z tego ruchu, jaki powstaje kiedy połączy się dwa naczynia, pełne i puste. Na obszarach o które walczone, Indianie i parę hiszpańskich siedzib, z jednym właściwie miastem, Santa Fé, to były ziarnka piasku zgubione na Place de la Concorde. I to poczucie pustki, aż do Pacyfiku, znalazło wyraz w hasle: Manifest Destiny.

Pisarze wstawieni w literaturze amerykańskiego XIX wieku, Melville, Emerson, Thoreau, nie odnosili się życzliwie do handlowo-przemysłowego wybuchu. Plebejska łapczywość, szwindle, zło-dziejstwa, zdobywczość posługująca się Coltem albo łapówką, moralność korzystająca z bawełny uprawianej rękami niewolników na plantacjach Południa niezbyt im się podobały a państwo zrosnięte z tym złem narzucało ich zdaniem człowiekowi czystych rąk obowiązki ograniczenia kontaktów z władzą do minimum. Wojna prowadzona przez państwo była „brudna”. Pisarze ci właśnie w tej dekadzie wpadają na trop rozwiązań, które będą w różnych wariantach podejmowane przez amerykańskich intelektualistów po dziś dzień. Melville konstruuje legendę wycofania się w nieskażoną naturalność, w prymitywizm (jego następcami w Europie staną się Loti, Gauguin, aż po niemal folklorystyczny motyw Tahiti, wyspy szczęśliwej; amerykańskie beatnictwo jest zapewne po prostu odrodzeniem się tej tęsknoty). Melville wprowadza do literatury postać protestanckiego misjonarza jako siły destrukcyjnej, niszczącej radość i szczęście ludów pierwotnych. Jego pierwsza powieść, *Typee*, ukazuje się, niech to będzie przypadek, właśnie w r. 1846. Thoreau swoją Polinezję znalazł w lasach Nowej Anglii. A ponieważ tylko jednostka jest zdolna orzekać co jest dobre, co złe (w czym zaiste Thoreau był jak najdalej od samowystarczalnego bytowania ludzi bez techniki, zawsze poddanych ścisłym prawdom swojej małej zbiorowości), doradzał jednostce wypowiedzieć posłuszeństwo państwu, jeżeli państwo jest niemoralne. W instynkt moralny ludu, złożonego przeciw z jednostek, wierzył. W swoim słynnym szkicu o „Cywilnym nieposłuszeństwie” pisał: „Niech zaświadczy obecna wojna meksykańska, dzieło względnie nielicznych ludzi, posługujących się teraźniejszym rządem jako swoim narzędziem; gdyż, kiedy ważyły się szale, lud nie zgodziłby się na takie posunięcie”. Czy to prawda czy złudzenie intelektualisty? Raczej to drugie. A Emerson, ten ubolewał nad skażeniem, bo „rzeczy są w siodle i ujeżdżają ludzkość”, ale umiał, trzymając się z dala od niemiłej rzeczywistości, znajdować swoje pociechy i przewidywać zwycięstwo „człowieka wiecznego”. Co, bądźmy złośliwi, ułatwiał nieco piękny dom i trzech służących.

Kiedy mrowisko wyrażało się na zachód, tępiło Indian (oraz Mormonów, zmuszając ich do exodu przez prerie) a wkrótce ruszało na wojnę z Meksykiem, szlachetnie myślący literaci Nowej Anglii, tacy jak miła sercu Mickiewicza Margaret Fuller, upatrywali zbawienie ludzkości w socjalistycznej wspólnotcie dóbr. Założywszy falanster Brook Farm, kosili siano, doili krowy i zawzięcie czytali Fouriera. Także zawzięcie pisali i opinia ich o wojnie meksykańskiej, wyłożona w ich piśmie „The Harbinger”, pou-

cza, że można niekiedy i zjeść ciastko i mieć ciastko tj. zachować cnotę zostawiając brudną robotę innym:

„Jest całkiem pewne, że przywódcom i instygatorom tej hańsnej afery przyświeca zamiar rozciągnięcia „obszaru wolności” aż do brzegów Kalifornii, przez wydarcie Meksykowi nowej dużej połaci jego terytorium; i lud gotów jest wykonać to co do joty. Jakkolwiek patrzymy na tę łupieżczą agresję, bardzo dużo przemawia za tym, że jest ona monstrualnie niesprawiedliwa; niemniej wydaje się ona przeprowadzać szerszy zamiar Opatrzności, gdyż rozciąga władzę i inteligencję rozwiniętych narodów cywilizowanych na całe oblicze ziemi, pozwalając im przeniknąć w te regiony, które zdają się być skazane na nieruchomość i przełamując przeszkody dla przyszłego postępu wiedzy, nauk i sztuk; a broń wygląda tutaj tylko na środek, przy pomocy którego ten wielki przewrót zmierzający do pojednania narodów może być dokonany... W ten sposób Opatrzność działa na wielką skalę żeby przeprowadzać swoje zamiary, posługując się narzędziami nieświadomymi jej zamysłów i popychanymi do czynu przez pobudki stanowiące wręcz przeciwieństwo tych pobudek, jakie, możemy przypuścić, łączą się z ostatecznym celem czy też wyłaniają się z niego”.

Tekst zmusza do zastanowienia. Być może tak przyzwyczajaliśmy się do podobnych rozumowań, tak weszły nam one w krew, że nie od razu czujemy ich dziwność. Opatrzność ma swój plan w odniesieniu do państw i ustrojów. Plan ten jest oczywiście dobry, bo Bóg nie może chcieć zła czyli powoli pomnaża dobro na ziemi a używa do tego historii (impresy niezbyt czystej). Ludzie działając z pobudek niskich, egoistycznych, nie wiedzą, że są tylko instrumentami w jego ręku. Ich miotania się układają się razem w ruch zmierzający do z góry zakreślonego celu. Łapiemy tutaj na gorącym uczynku wynurzanie się z chrześcijaństwa laickiej idei Nieuniknionego Postępu, co zresztą dokonywało się stopniowo już wcześniej, w ciągu XVIII wieku. Pozostaje tylko zastąpić Opatrzność inną wolą i osobą, Historią, a będziemy wśród naszych współczesnych.

Przeciwny Amerykanin nie przeprowadzał takiego podziału jak fourierzyści. Ani nie troszczył się o podniosłe cele, ani środki nie wydawały mu się brudne. Demokracja, ekspansja, pusty kontynent do wzięcia, stanowiły w jego umyśle jedno: Oczywiście Przewrót. Nadludzkie trudy osadników, ginących od głodu, pragnienia, indiańskiej strzały, domagały się poparcia. Jakie fikcyjne, zakreślone na mapie, granice mogły im przeszkodzić? Dołączał się też, tam gdzie zawierano znajomość z Meksykańczykami, konflikt kultur. Nieokrzesani Jankesi, prosto od pług, przyglądali się z otwartą gębą hiszpańskiemu wyrafinowaniu, ceremoniom, zawijającym stylu, feudalnym hierarchiom, papistowskim zabobonom i z

podziwem mieszała się pogarda. Ci pisarze amerykańscy, którzy byli bliscy ulicy i aprobowali burzliwą teraźniejszość Republiki, nie żywili skrupułów. Młody Walt Whitman, drukarz i dziennikarz w Brooklynie, wręcz nawoływał do wojny. Jego argument: nikt nam nic nie może zrobić, budujemy najszybsze na świecie okręty. Posądzanie jego i jemu podobnych o myślową niewybredność nie byłoby jednak może całkiem słuszne. Hegla czytano wtedy nie tylko w Moskwie i Warszawie, także w New Yorku, a samousprawiedliwiający się Ruch może podeprzeć każdy optymizm, jaki kto chce. Jedni, wyęzając wzrok w przyszłość, nabierali przekonania, że Święta Rosja ma prawo podbijać i uciskać inne narody, bo duch dziejów obdarzył ją misją. Inni w przyszłości dostrzegali Wolność i postanawiali złożyć jej w ofierze krew tyranów. Jeszcze inni całkiem jawnie, nie wstydliwie jak fourierzyści, proklamowali, że Meksykańczycy nie są dość cenni żeby ich oszczędzać, jeżeli inaczej doradzają wymagania postępu. I tam gdzie ów pogład miał poparcie w zbiorowej temperaturze, w szowinistycznych wrzaskach, demokracja utożsamiała się z biciem Meksykańczyków w Ameryce, z biciem monarchów-tyranów w Europie. Nie tylko Walt Whitman, wielbiciel europejskich zrywów wolnościowych, może być tutaj przykładem. Podobną dwutorowość ilustrują też przygody Mayne Reida.

Wojna 1846-1847 r. polegała mniej na bitwach pomiędzy ludźmi, bardziej na bitwach ludzi z przestrzenią i z bałaganem, jaki powstaje, kiedy trzeba zaopatrzyć wojska posuwające się tygodniami przez niezamieszkałe okolice. Jeżeli jednak wyczyn armii groźnych oberwańców maszerującej od Fortu Leavenworth na Santa Fé i dalej, zagonem w głąb Meksyku, był nieprawdopodobny — przebyła piechotą i konno 3500 mil, prawdziwa „Zgrzebna Anabasis”, jak nazywa tę ekspedycję historyk Bernard de Voto — nie zapewniało to rozstrzygnięcia. Reidowi przypadło uczestniczyć w przedsięwzięciu rozstrzygającym: desancie generała Winfielda Scotta. Okazało się że młody szowinistyczny dziennikarz Walt Whitman nie mylił się: zaważyły okręty Jankesów. Zaważyły, nie przesądziły o zwycięstwie. Reid, jako jeden z pięciu tysięcy ludzi załadowanych na okręty i wysadzonych pod Vera Cruz, znalazł się w opałach. Desant był dość wariacki i chociaż Amerykanie otrzymali posiłki, siły ich były za małe; zmierzali ku Mexico City drogą Corteza, ale za nimi zamykało się koło wojsk nieprzyjacielskich czyli żadnej możliwości odwrotu. W sierpniu 1847 dotarli do stolicy, bronionej przez silne forty, przede wszystkim fort Chapultepec. Tam to porucznik Thomas Mayne Reid przeżył dzień swojej chwały. Jeżeli wierzyć świadectwom nie tylko jego, również innych uczestników wydarzenia, jego poryw przechylił szalę zartego boju. W swoich wspomnieniach Reid pisze, że widział

wtedy wszystko jasno: iść naprzód pod ogień artylerii równało się pewnej śmierci, ale nie wziąć fortu też równało się pewnej śmierci, trochę później. Zebrał oddział chętnych i poprowadził ich do szturmów. Padł ranny, ale jego ludzie wdrapali się na parapet. Chapultepec został zdobyty i wkrótce poddało się miasto. Wieść o śmierci Reida rozeszła się w Ameryce, gazety ogłosiły nekrologi bohatera i układano o nim wiersze. Tymczasem bohater, według gazet „połączenie Adonisa z Apollem Belwederskim, z dodatkiem Centaura”, wylizał się z rany i niezłe sobie używał skoro zasłynął wśród *senoritas* jako „Don Juan de Tenorio”. Ale także gorliwie badał nie tylko taką faunę i florę Meksyku. Należał do tych amatorów-naturalistów, którzy w dziewiętnastym wieku bardzo zasłużyli się nauce.

Po powrocie do Stanów, zaproszony przez przyjaciół na ich farmę w Ohio, Reid napisał tam pierwszą swoją powieść *The Rifle Rangers; or adventures in Southern Mexico*. Jest to niemal reportaż z kampanii, niektóre humorystyczne epizody zapowiadają Marka Twaina. Ale w reportaż wpleciony jest dość nieudolnie sentymentalny romans. Narrator, rodzaj pana Wołodyjowskiego, ocala dwie piękne dziewoje od napaści aligatora rzucając się na niego z kordelasem. Zakochuje się w jednej z nich i przez całą powieść próbuje mu ją wydrzeć podstępny rywal, czarny charakter (Bohun?).

Zanim jednak Reid zdążył uporządkować rękopis, nastąpiły wypadki, które znów natchnęły go zapałem do wojaczki. Z Europy donoszono o rewolucji w Niemczech, w Polsce, na Węgrzech. Był rok 1848. Reid postanowił jechać do Europy i wstąpić do rewolucyjnej armii węgierskiej. Nie należy jego postaci upraszczać i sądzić, że po prostu lubił zapach prochu. Jak się rzekło, miał swoje przekonania, kochał republikę, nienawidził monarchii. Miał też swój pogląd na wojnę. Lepiej niż jego publicystyka daje o tym pojęcie jego wiersz „Wojna”. Powiada tam:

„Niech blade usta wyrzekają się ciebie, niech plotą o pokój: bo taka jest w naszych czasach moda. Niech król siedząc wygodnie na tronie poucza swoich służalców i miliony o dobrodziejstwach status quo. Status quo dla niewolników! Apostołowie pokoju, mówicie brednie! To jest pokój szubienicy, więzienia i grobu! Taką to dobrą nowinę głosicie ludom kiedy doradzacie im 'rozumnie' zdobyć wolność. Jak długo ma niewolnik błagać swego pana, zanim ten da się przekonać i zdjąć z niego łańcuchy? Albo choćby przedłużyć łańcuchy o jedno ogniwo?”. I wiersz kończy się okrzykiem: „Dopóki na ziemi, psując jej piękność, będzie jeden despota nie poniżony, jeden tron nie obalony, jedna korona nie zrzuczona z głowy, pozdrawiamy Ciebie, Wojno!”. Co prawda wiersz drukowany był w r. 1869, ale Reid zawsze tak

myślał. Czyli dobrze pasował do Węgrów, bijących się o wolność swego kraju. Co do wojny meksykańskiej, to nigdy nie wydawała mu się ona bezwstydną agresją jak intelektualistom Nowej Anglii. W jego pismach widać duże zainteresowanie polityczne Ameryką Łacińską, która jest dla niego czymś w rodzaju „jądra ciemności”. Jeżeli Europą rządziła według niego szajka ubrylantowanych łajdaków uciskających ludy (arcyłotrami XIX wieku byli dla niego lord Palmerston i Ludwik Napoleon), kolonizacja hiszpańska w Ameryce pozostawiła w spadku tylko rządy katolickiego kleru sprzymierzonego z białą arystokracją, ciemnotę, wyzysk i niedołęstwo. Meksyk uważał za nieszczęśliwy kraj, w którym trzecie czwarte bogactw jest w rękach Kościoła a dyktatorzy, jak Santa Anna, dochodzą do władzy z poparciem „partii księżej”. Ów Santa Anna, dla Reida uosobienie chytryści i okrucieństwa, powinien był się nazywać raczej Satana. Ale coż mogła ludność trzymana przez kler w mocy obrzydliwego papizmu? Reid opowiada gdzieś, jak na ulicy zdobytego przez Amerykanów Mexico City, tłum obdartusów z księdzem na czele próbował zmusić jego, zwycięzcę, do zdjęcia kapelusza przed pojazdem wiozącym Hostię — „co jest nieznośne dla naszych uczuć religijnych” — i obronił się tylko dobywając szabli. W swojej późniejszej karierze, Reid entuzjastycznie witał prezydenturę Benito Juareza — sprawiedliwości stało się zadość, bo wreszcie rządził Indianin, potomek zamordowanego przez Corteza Montezumy (jak często bywa, Reid kochał Indian, ale tylko „cudzych”). Czy Amerykanie mieli prawo zabierać ziemie tytułarnie należące do Meksyku? Reid odpowiadał: tak. Jeżeli jakiś kraj nie umie zagospodarować swoich terytoriów, traci swój tytuł własności: „Narody, nawet wysoko cywilizowane, które przypadek wyposażył w zbyt obszerne terytorialne zasoby — tj. zbyt obszerne, aby zdołały je one wykorzystać, czy to z braku energii czy chęci — takie narody mogą być pozbawione nadmiaru bez uszczerbku dla zasad ludzkiej sprawiedliwości. A nawet sprawiedliwość wymaga, żeby zostały pozbawione”. W myśl tego poglądu Reid-publicysta nawoływał po Wojnie Domowej Stany Zjednoczone do zaboru... Haiti, jako że Wuj Sam miał obowiązek przygotować przestronny dom dla setek tysięcy uchodźców z Europy, uciekających od despotyzmu; a poza tym plantacje kawy na Haiti, założone przez Kreolów, zostały całkowicie zrujnowane przez ciemną murzyńską ludność, natomiast Amerykanie potrzebowali kawy i umieliby ją uprawiać.

W roku europejskiej Wiosny Ludów, kapitan (z tym stopniem wrócił z meksykańskiej kampanii) Mayne Reid zawarł znajomość z rewolucjonistą Haeckerem i razem przystąpili w New Yorku do zbierania legionu. Przygotowania zajęły jednak sporo czasu i kiedy ich grupa płynęła do Anglii, wojska rosyjskie dorzy-

nały Węgrów. Skoro Reid w ten sposób znalazł się w Londynie a plany wojenne spaliły na panewce, rozglądnął się za wydawcą. Powodzenie jego pierwszej powieści skłoniło go do obrania pisarskiego zawodu. Natrafił na swój gatunek — książek dla młodzieży — i choć niezbyt wysoko notowano go w bardziej wybrednych literackich kołach, zyskał rozgłos i okazałe dochody. Mimo, że osiedlił się w Anglii, należałoby go nazywać autorem irlandzko-amerykańskim, bo przywiązany był do Ameryki a nie cierpiał Johna Bulla. Gniewała go kastowość angielska, arogancja klas posiadających i nędza mas.

Polityczne pasje Reida bynajmniej nie wygasły w latach jego stabilizacji i dobrobytu. W Londynie poznał wodza rewolucji węgierskiej, Kossutha, i stał się jego wielbicielem, przyjacielem, pomocnikiem. Kossuth był oczerniany przez konserwatystów a „Times” atakował rząd brytyjski za udzielenie azylu niebezpiecznemu buntownikowi. Reid toczył boje piórem w jego obronie, w kawaleryjskich szarżach na przekłety „Times”, o tyle może niezbyt skutecznych, że ponosił go temperament i jego styl zdradzał za wiele skłonności do „panache”. Reid zresztą był gotów służyć sprawie węgierskiej nie tylko piórem. Pokonani rewolucjoniści ciągle czekali na wygnaniu aż „coś się zmieni” w ich krajach i w jednym z takich momentów nadziei Kossuth zamierzał przedrzeć się na Węgry pod zmienionym nazwiskiem z pomocą Reida. Kapitan Reid miał tam jechać jako gentleman-turysta, Kossuth jako jego służący. Inna sprawa rewolucyjna też zaprzętała kapitana: Polska. Działał w towarzystwie brytyjsko-polskim i działalność ta o tyle mu się opłaciła, że na jednym z meetingów poznał młodą dziewczynę, wtedy zaledwie pensjonarkę, która miała zostać jego żoną. Elizabeth Reid była, jak się zdaje, nielada indywidualnością. Książka jej *Mayne Reid, a memoir of his life*, 1890, jest, zważywszy że monografii nikt o nim poza tym nie napisał, głównym źródłem informacji i stamtąd przede wszystkim czerpię materiał.

Innym źródłem informacji, szczególnie jeżeli chodzi o polityczne opinie Reida, jest miesięcznik „Onward” („for the youth of America”) wydawany przez niego w New Yorku w 1869 r., podczas niedługiego ponownego tam pobytu. Ten magazyn awanturniczych opowieści, geograficznych opisów, zoologicznych ciekawostek, wierszy i komentarzy do sytuacji międzynarodowej, Reid wypełniał sam. Pracowity i płodny był niezwykle. Długa była lista jego książek kiedy umierał w 1883 roku.

Pozwoliłem sobie na opowieść o Mayne Reidzie z bardzo osobistego powodu. Urzekł on nie tylko czytelników rosyjskich, również polskich i pamiętam siebie, pnącego się z czytelnicy w górę ulicą Mała Pohulanka w Wilnie z książką Reida pod pachą: rekaw kozucha, kozuch ściśnięty paskiem, szara zimowa pogoda,

środkiem zjeżdżają chłopcy na saneczkach, leżąc na brzuchu, płużąc w tyle nogą-sterem. Takie szczegóły utrwalają się w nas zwykle jeżeli w chwilach ich chwytania były zabarwione przez jakąś silną emocję. To co trzymałem pod pachą mnie wtedy podniecało: obietnica rozkoszy. W owym okresie utwory wierszowane uważałem za głupie i nie domyślałem się, że np. nad *Puszczą wodną w lesie* Reida dostępuję wtajemniczenia poetyckiego.

Zbadanie wpływu Reida w Rosji i w Polsce wymagałoby osobnego studium. Tutaj wyliczę tylko wątki jakie należałoby w takim studium rozwinąć. Prawdopodobnie on to wprowadzał nowy stosunek do przyrody, można rzec, bardziej precyzyjny. Przyroda dla jego młodych zwolenników przestawała być zbiorem antropomorficznych obrazów albo pretekstem do nieokreślenie-panteistycznych wzruszeń. Jego mania zaopatrywania nazwy każdego zwierzęcia i rośliny łacińskim odpowiednikiem w nawiasie, dbałość o dokładny opis klimatu, otoczenia, w jakim żyje dany gatunek, różnicowały niejako przyrodę i zachęcały do uwagi.

Naśladowcą jego pod tym względem był polski autor myśliwskich książek dla młodzieży, Włodzimierz Korsak. Jeżeli wolno sądzić po sobie, i to, że dotychczas potrafię nazwać po łacinie wiele gatunków, i to, że podziwiałem Korsaka, a nazwiska polskich przyrodników jak Taczanowski, Sztolcman, budzą we mnie bardzo uczuciowy odzew, przypisuję, pośrednio, książkom Mayne Reida. Zresztą triumfy książek Reida przypadły na czas kiedy załamywało się wykształcenie czysto humanistyczne, a lekcje zoologii i botaniki w szkole sprzyjały zapałom młodocianych, dość okrutnych, naturalistów, kolekcjonerów chrząszczy, motyli i ptasich jajek.

Innym wątkiem byłaby sama romantyczność Ameryki. Gdyby nawet w Europie kontynentalnej wypadło ją wywodzić z *Atala* Chateaubrianda i, później, z powieści Fenimore Coopera, wkład Reida był szczególnie znaczny. Zarówno Czechow jak inni pisarze przyjmują znajomość akcesoriów wziętych od Reida za rozumiejącą się samo przez się. Tak więc np. u Antoniego Słonimskiego wiersz „Jeździec bez głowy” zakłada, że czytelnik pamięta powieść Reida pod tym tytułem i że na słowa „preria”, „mustang”, „brzeg Leony” reaguje tak jak sam poeta.

Ameryka puszczy, prerii, mustangów i bizonów, po Reidzie rozwija się w literaturze kontynentalnej Europy autonomicznie, pod piórem ludzi o których jako żywo nikt w Ameryce nie słyszał. Niemiec Karol May wysnuł swoje megalomańskie opowieści o przygodach na Dzikim Zachodzie (narrator jest w nich nadczołwiekiem, nieustraszonym Old Shatterhand, nigdy nie chybia, nożem zabija niedźwiedzie grizzly, jest szlachetny, dobry, czysty, wspaniałomyślny) siedząc w więzieniu. Tylko w Europie środkowej i wschodniej *Winnetou, czerwonoskóry gentleman* Karola

Maya ma pozycję niemal klasycznej powieści awanturniczej. Podobna kompensata własnej nędzy przez idealizację samego siebie cechuje młodego Adolfa Hitlera i wiemy, że rozczytywał się w Mayu. Ale można też przypuścić, że May, który Ameryki nie oglądał, czerpał scenerię i typy ludzkie przede wszystkim z Reida, przerabiając, wyolbrzymiając na swoją modłę.

W Rosji dość późno, bo dopiero w początku naszego stulecia, Syberia nabiera dla niektórych powabu własnej prerii i puszczy, z własnymi Indianami. W wyrabianiu zmysłu imperialnej przygody pomagali wtedy Kipling i Jack London. Ale Wołodia i Czeczewiczn z opowiadania Czechowa, jeżeli jako dorośli ludzie wyruszali na wschód, zatrzymując się przezornie na Kamczatce i nie próbując przeprawy tubylczymi czołnami przez cieśninę Beringa, sporo w swoich decyzjach zawdzięczali marzeniom dzieciństwa. Mój ojciec po skończeniu politechniki — działał się to na krótko przed I wojną światową — wylądował nad Jenisiejem i zwiedził tamten region nieźle, od Gór Sajańskich do Oceanu Lodowatego. Sekret owych podróży odsłoniła mi zawartość jego kufra z lat szkolnych. Czyli jeszcze jeden wątek: jak Reid został przewodnikiem wypraw w egzotykę Rosji azjatyckiej.

Czesław MIŁOSZ

Nowy "nielegalny" rękopis
sowieckiego pisarza

ABRAM TERC
LIUBIMOW

Redakcja „Kultury” otrzymała w ostatnich dniach nową, sensacyjną powieść znanego już naszym czytelnikom pisarza, autora wydanych w BIBLIOTECE „KULTURY” książek SĄD IDZIE i OPOWIEŚCI FANTASTYCZNE, tłumaczonych na 25 języków.

Jest to już DZIEWIĄTY rękopis otrzymany ze Związku Sowieckiego w ciągu ostatnich lat.

Powieść ta ukaże się na jesieni rb.

O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej

Spośród wielu schematów którymi można by nakieślić ewolucję (czy involucję) Sztuki Współczesnej, chciałbym zaproponować jeden, absurdalny, ale nadający pozory logiki temu nurtowi, który doprowadził do triumfu (i załamania) „Lirycznej Abstrakcji” (w sensie *Action Painting*, *taszyzmu*, *Art Autre* itd.). Jest to bajka o malarzu współczesnym zrzucającym jeden po drugim ciężary, którymi był obarczony, aby móc poczuć się wolnym.

Zrzucił najpierw „temat” (czy „przedmiot”) których „namalowanie” dawało przez tak długie wieki „obraz”, zachowując obraz jako przedmiot sam w sobie. Z kolei zrzucił obraz, pozostawiając płótno, służące jeszcze jako materialna podpora egzystencjalnego gestu. Pozbył się płótna dla nagiej, jednolicie niebieskiej czy białej ściany (Yves Klein), gdzie egzystencjalny gest operuje jeszcze kolorem. Ale na co kolor, skoro gest wyboru, decyzji (jedynie ważny) można zadokumentować ładując do skrzynek „akumulacje” banalnych, codziennych przedmiotów? Ten powrót „przedmiotu” (na szczęście nie namalowanego) został odczuty jednak jako nowy balast (wynika to choćby z nazwy: „Neo-Realizm”), tak że nasz malarz doszedł w końcu do czystego wydarzenia (amerykańskie *happenings* będące psychodramatami, tyle że odgrywane w galeriach obrazów...).

Tak odciążony, nasz malarz z bajki rozgląda się obecnie za sztalugą, farbami, płótnem. Kto wie, może powróci do obrazu, a nawet do „tematu”, zanim nie odczuje go znów jako balast.

Ta bajka wymaga komentarza. Będzie nim kilka notatek na temat sprzeczności, które rozwinęła w sobie, nie zdając sobie z

nich najczęściej sprawy, Sztuka Nowoczesna w ciągu swych pięćdziesięciu kilku lat życia.

Malarstwo czy Anty-Malarstwo?

Od zarania XX wieku istnieją w Sztuce Współczesnej dwa przeciwne sobie głębokie nurty, nie zawsze uświadomione. Jeden z nich — to dążenie do „czystego malarstwa”, malarstwa dla malarstwa, *Peinture-Peinture*, pod znakiem Cézanne’a i Maurice Denis. Drugi — to paradoksalny na pozór zamiar wykończenia malarstwa przez malarstwo, czy raczej wykorzystania malarstwa dla realizacji pewnej koncepcji człowieka. W pierwszym nurcie malarz służy malarstwu. W drugim — malarstwo malarzowi. Celem pierwszego jest „doskonały obraz”. W drugim nurcie ważny jest tylko zamiar, wybór, najwyższej sam akt malowania — obraz jest produktem ubocznym, w najlepszym razie świadectwem.

U podstawy pierwszego nurtu tkwi oczywiście słynna *Définition* Maurice Denis: „Pamiętać, że obraz choćby był koniem bitewnym, nagą kobietą, czy jakąkolwiek anegdotą — jest w pierwszym rzędzie płaszczyzną pokrytą kolorami ułożonymi w pewnym porządku”. Zaczęło się całkiem spokojnie. Jabłka Cézanne’a pierwsze dostosowały się *świadomie* do tego określenia (i nagie kobiety Maneta). Ale wnet zmieciono jabłka ze stołu (i nagie kobiety z łóżek), nawet najbardziej po Denisowsku uświadomione jabłka i kobiety, aby już nic nie mogło oderwać uwagi widza od układu przestrzeni i koloru. Wulgaryzatorzy Sztuki Współczesnej często komentowali „Bitwę” Ucella kategoriami niemal doskonałego obrazu abstrakcyjnego. Dlaczego go nie udoskonalic usuwając i konie i jeźdźców? Po co te preteksty, te określone drogi, skoro można malować malarstwo. Zwróciłem kiedyś już uwagę w *Kulturze* (1), że obecny kryzys malarstwa jest paradoksalnie związany ze zrozumieniem przez malarzy „na czym malarstwo polega”. W tradycji zachodniej malarstwo było procesem twórczym podobnym do alchemii (wiemy dziś, że alchemik dokonywał szeregu operacji materialnych nie wiedząc czym jest „kamień filozoficzny”, który był rzekomo celem jego wysiłków). Z tym, że malarze, w przeciwieństwie do alchemików, swój „kamień filozoficzny” (cud malarstwa) często osiąkali. Ale ten „cud” nie był sam w sobie celem, był poniekąd niezamierzoną nagrodą. Malarz malował dany „obraz”, wkładając weń wszystkie swe możliwości. Samo „malarstwo” leżało u kresu długiej i wyczerpującej wyprawy, której prawdziwy cel był nieznanym. Co pewien czas

(1) „Czyste malarstwo czy poetyka?” (o „Oku” J. Czapskiego) „Kultura” nr 9/155).

okazywało się, że wartość na której miało rzekomo polegać malarstwo, idzie do lamusa — a malarstwo trwa. Czym jest malarstwo? — zapytajmy przeszłe pokolenia. Odpowiedzą nam: *Cose sublimi, maniera nobile, thèmes dignes d'être peints*, wzruszenie, psychologia, rzeczywistość — nigdy malarstwo. Ale Cézanne’owi już chodzi o malarstwo, i Maurice Denis wie o tym. Elie Faure, Worringer (dawno przed ich popularyzowaniem Malarstwa) wreszcie to skodyfikowali: malarstwo to gra przestrzeni, form, kolorów. Na co długa, wyczerpująca wyprawa, jeśli można cud wywołać świadomie?

Ale Sztuka Współczesna — nie jest to jej jedyna sprzeczność — nie zadowolili się tą ofensywą przeciw „obrazowi” aby wyzwolić „malarstwo”. Wnet zwróci swe ostrze przeciw samemu malarstwu. Naiwnie jeszcze futuryści, zdradliwie Dada, świadomie Marcel Duchamp, Picabia wprowadzają pojęcie „Antymalarstwa”. Ze stołu zmiata się już nie tylko jabłka, ale sam doskonały układ przestrzeni i koloru. Duchamp dzieli malarstwo na „żrenicowe” (*peinture rétinienne*) z jabłkami lub bez jabłek, ale gdzie zawsze chodzi o przestrzeń i kolor i „mózgowe” (*peinture de la matière grise*). Zanim jeszcze rzuci paletę i pędzel dla szachów, wykrzyknie: *C'est fini, la Peinture!*

Z tych obu nurtów, z których pierwszy, u zarania Sztuki Nowoczesnej, dążył do egzaltacji malarstwa poprzez likwidację „tematu”, a drugi likwidował samo malarstwo na rzecz wolności malarza — jego wyborów, jego pomysłów, jego kaprysów — to oczywiście ten drugi zaważył na malarstwie abstrakcyjnym w triumfalnym okresie po ostatniej wojnie, którego koniec przeszedł nam być może niepostrzeżenie pod nosem przed paru laty. Gdzie dzisiaj szukać malarstwa świadomego „wartości estetycznych” i które by dążyło do ich urzeczywistnienia „wprost”, bez pośrednictwa przedmiotu? Nurt ten znalazł swój ostateczny wyraz w abstrakcji geometrycznej, która dziś istnieje najwyższej marginesowo, jak w iluzjonizmie optycznym Vassarely’ego. Zapomina się natomiast zbyt często ile tzw. abstrakcja „liryczna” powojenna (taszyzm, *action painting, art brut, art autre* itd.) jest winna Dada, nadrealistom.

Wystarczą dwa cytaty z Aragona („*Peinture au Défi*”, 1930):

1) „Niewątpliwie, kiedy Picabia mówił o plamie atramentu, którą podpisał, zwracał on uwagę na charakter *nie możliwy do naśladowania* tej chlapaniny. Winszował on sobie, że nikt nie potrafi skopiować jego plamy atramentu równie dobrze jak obrazu Renoira. Oto dlaczego tego rodzaju przedsięwzięcia są zasadniczą krytyką malarstwa, od jego zarania aż do naszych czasów”.

Czy nie mieliby tu nad czym się zastanowić młodzi taszyści?

2) „Znaczące etapy tego procesu: Duchamp przyprawiający wężą Giocondzie i podpisujący ją, Cravan podpisujący pisuar, Picabia podpisujący płamę atramentu i nadający jej tytuł „Matka Boska” są dla mnie logicznymi konsekwencjami *collage'u*. To co jest teraz ustalone, to negacja techniki, jak w *collage'u*, a również negacja osobowości technicznej. Malarz, jeśli go jeszcze mamy tak nazywać, nie jest już związany ze swym obrazem jakimś tajemniczym pokrewieństwem fizycznym, analogicznym do rodzenia. Natomiast powstaje z tych negacji idea afirmatywna, którą jest *personalizacja funkcji wyboru*”.

Czy nie mieliby się tu nad czym zastanowić jeszcze młodszy „neo-realiści”?

Co prawda ten odwrót od malarstwa w sensie „nieruchomego piękna”, źródła przyjemności estetycznej został od ostatniej wojny wzmocniony argumentem nowym: egzystencjalnym. Kiedy widzimy chlapaninę dzisiejszych (czy wczorajszych?) taszystów (piątą płamę po kisielu), wypełniających kilometry ścian muzeów i galerii od Valparaiso po Reykjavik, nie wolno nam zapomnieć, że „kisielom” były w tym wypadku dwa zjawiska wyjątkowej wagi: Jackson Pollock i Wols. O Wolsie, jego przyjaciel i uprzywilejowany świadek epoki Georges Mathieu, pisze: „To dzieło, w którym zaangażował się w decydującą walkę honor egzystencjalny, to dzieło tragicznej wolności, wolności żywej, które miało zetrzeć to co jeszcze pozostało z wierności zachodniej świadomości dla istoty” (2).

Nowe malarstwo amerykańskie zawdzięcza nazwę „Action Painting” artykułowi Harolda Rosenberga, pt. „The American Action Painters”, ogłoszonemu w „Art News” w r. 1952. Rosenberg przeprowadzał w nim analizę tego malarstwa metodą zapożyczoną od Heideggera i Sartre’a. „W pewnej chwili — pisał — płótno wydało się jednemu malarzowi amerykańskiemu po drugim areną przeznaczoną dla akcji raczej niż płaszczyzną, na której należy odtworzyć, analizować lub „wyrzucić” przedmiot, rzeczywisty lub imaginacyjny. To co od tego czasu zostanie nałożone na płótno, to nie obraz lecz zdarzenie (*event*)”.

Istotnie, nie tylko najbystrzejsi krytycy tej szkoły „Nieformalnej” (termin, który ogarnia zarówno *Action Painting* jak Abstrakcję Liryczną i Taszyzm), ale również sami jej twórcy często nam powtarzali w ciągu ostatnich piętnastu lat, że to co jest dla nich ważne, to nie obraz ale sama czynność jego malowania. Natomiast, tylko kilka wyjątkowo uczciwych umysłów jak Harold Rosenberg, miało odwagę wyciągnąć z tej postawy logiczne konsekwencje i przyznać, że jeśli tak jest naprawdę, malarstwo to

(2) Georges Mathieu: „Au-delà du Tachisme”, Julliard 1963.

wymyka się wszelkim kryteriom estetycznym. Jeśli celem malarzy „nieformalnych” nie jest „sztuka”, lecz raczej odkrycie tego czym są oni sami (dotarcie do własnej tożsamości) poprzez szereg „czynów” mniej lub bardziej spontanicznych (w zasadzie nie kontrolowanych), za pomocą których nakładają oni farbę na płótno, wówczas obraz, raz namalowany, stałby się właściwie produktem ubocznym (dość obojętnym) tej egzystencjalnej formy poszukiwania samego siebie. Rosenberg to przyznaje: „Jeśli obraz jest czynem, wówczas niesposób go usprawiedliwić jako *czyn genialny* w dziedzinie, w której cały aparat wymierny poszedł do diabła. Jego wartość musi być znaleziona poza sztuką”.

Na tę analizę Rosenberga Mary Mc Carthy odpowiedziała zdaniem, które stało się sławne: „Nie można zdarzenia powiesić na ścianie, tylko obraz”. Sęk w tym, że właściciele galerii obrazów (i sami malarze) sprzedają nie zdarzenia a właśnie obrazy. I również obrazy chcą kupować dyrektorzy muzeów, kolekcjonerzy. Nic dziwnego zatem, że znaleźli się obrońcy Sztuki Nie-Formalnej, nadal zerkający w stronę „Definicji” Maurice Denisa. Umysł tak żywy jak Georges Mathieu wcześniej zorientował się w sytuacji, i już w r. 1947 określał jako „niebezpieczne” stanowiska Arpa i Bryena „uznające jedynie kryteria *egzystencji*”. W r. 1948, „przewidując anarchię, która wyniknie z podobnych postaw” (tym razem chodzi o krytyka Michel Tapié i o Picabie), replikował on tekstem pod tytułem „Wolność — to pustka”. Napisze później: „Dla mnie, w istocie, przewyciężenie środków gatunkiem rezultatu, lub innymi słowy osiągnięcie maksimum wyrazu poprzez minimum środków, to znaczy doskonałe dopasowanie zawartości do formy, pozostanie jedynym kryterium, którego będę bronił zarówno przeciw Bryenowi jak przeciw Tapié, który otworzył szeroko wrota dla nieformalnej anarchii”. („Au-delà du Tachisme”).

Mathieu ma przynajmniej złudzenie, że jego kryterium jest nowe. Bardziej rewelacyjną jest odpowiedź Clement Greenberga na teksty Rosenberga (Greenberg jest jedynym krytykiem amerykańskim, który dorównuje swym prestiżem Rosenbergowi — są nieomal „parą”, jak Guildenstern i Rosenkranz w „Hamlecie”). Greenberg był od początku równie gorącym poplecznikiem nowego malarstwa amerykańskiego i Szkoła Nowojorska wiele mu zawdzięcza. Ale, podobnie jak Mathieu we Francji, Greenberg zorientował się, że Rosenberg piłuje gałąź na której siedzi cała organizacja sztuki nowoczesnej — muzea, galerie, ceny, krytyka, „amatorzy” i inwestycje. Postanowił on „odbić” zarówno obraz jak malarstwo.

„Nie widzę nic zasadniczego (w nowej sztuce abstrakcyjnej) — pisze on w majowym numerze „Encounter” — o czym by nie można dowiedzieć, że rozwinęło się bądź z Kubizmu, bądź z Impre-

sjonizmu, podobnie jak nie widzę nic zasadniczego w Kubizmie i w Impresjonizmie, czego nie można by nawiązać (*trace back*) do Giotto i Masaccia, Giorgione i Tycjana”.

Sztuka Nowoczesna mawia nieraz: zburzyłam wszystko co mnie poprzedzało. Ale jeżeli to twierdzenie zaczyna niepokoić, dodaje: poważnie mówiąc, jestem także Braque'em, Renoirem, Tytanicem, Giotto...

Ciągłość czy Rewolucja?

Widzimy, że dylemat Malarstwo — Antymalarstwo zahacza o inny: Ciągłość — Rewolucja. Przeszło pół wieku od chwili gdy Sztuka Nowoczesna głosi swą rewolucyjność. W ciągu tego półwiecza ustaliła się już istotnie w tej dziedzinie tradycja rewolucji. Rewolucyjnym jest Klee: „Chcę być jak noworodek, nie wiedzący nic, absolutnie nic, o Europie... Chcę być niemal prymitywnym”. A także (inaczej) Mondrian: „Stworzenie czegoś w rodzaju Raju nie jest niemożliwe, jeśli się go naprawdę chce”. Często (jest to sedno logiki naszego Wieku) Sztuka Rewolucyjna i Polityka Rewolucyjna zawierały przymierze, jak w ZSSR w latach 1917-1922 (3).

Rewolucja Sztuki Nowoczesnej chciała obalić Estetykę, podobnie jak rewolucja marksistowska chciała obalić Historię. Ale jeśli Historia tak uporczywie trzyma się przy życiu w Związku Sowieckim, może podobnie ma się rzecz z Estetyką, przynajmniej w sensie, w którym wydaje się być nieodłączną częścią ludzkiego doświadczenia? Sztuka Nowoczesna zawiera w sobie tę sprzeczność: powstawszy przeciw sztuce „tradycyjnej”, domagając się, wciąż na nowo, „końca Sztuki”, narzuciła się ona jednocześnie jako jedyna sztuka prawdziwa i trwała. „Koniec Sztuki” — ale tylko zamykając drzwi przeszłości: drzwi przyszłości pozostają otwarte. Rewolucja — ale na stałe. Często zresztą „ciągłość” i „figuracja” znajdują się przez nieporozumienie w jednym worku. I tak Mathieu mówi o sztuce „której oryginalność zbiegła się z powstaniem myśli obrazowej i która, od początku wyższego czwartorzędu aż po r. 1910 była podstawą wyrazu człowieka dla człowieka za pomocą przedstawiania form zrodzonych z widocznej rzeczywistości”. Mathieu dodaje, że jesteśmy dziś „pięćdziesiąt lat po prawnie zaświadczonej śmierci tej sztuki” („L'Autopsie de l'Art Figuratif”, 1960). Oto przynajmniej podział Sztuki przejrzysty: od czwartorzędu po 1910 i od r. 1910...

(3) Staralem się zanalizować sprzeczności tego przymierza w artykule pt. „Awangarda i Rewolucja” („Kultura” nr 5/151).

To rewolucyjne credo może być zenujące, zwłaszcza dla rewolucyjnego krytyka. Sir Herbert Read pisze w swojej „Filozofii Sztuki Współczesnej”: „Współczesny kierunek w sztuce, który zarysował się w ciągu pierwszej dekady naszego wieku był fundamentalnie rewolucyjny... i kiedy określam ten kierunek jako *fundamentalnie rewolucyjny* przywiązuję znaczenie dosłowne do tych tak zużytych słów”. Jako krytyk sztuki, pisze dalej Read, „moim celem było zawsze mieć postawę konsekwentnie rewolucyjną”. Ale w tej samej książce, Sir Herbert zastanawia się czy surrealizm (który, według jego własnego określenia, jest „absolutnie rewolucyjny”) „jest jeszcze sztuką”: — „Nie zgodzilibyśmy się nazwać „nauką” kierunku, który by odmówił uznania praw indukcji; mamy to samo prawo odmówić nazwy „sztuki” kierunkowi, który odrzuca prawa harmonii...”.

Mowa o Rewolucji, a oto, z Praksytelesowskiej Grecji, mruga do nas nasza stara znajoma: Harmonia! Ta sprzeczność pojawia się zresztą również bez odwrotu aż do czwartorzędu czy V wieku przed Chrystusem. We wszystkich swych szkicach o sztuce Jean Paulhan przeciwstawia zawsze z upodobaniem malarzy kubistów, abstrakcyjnych czy nieformalnych Bonnatowi, Meissonier, Carolus-Durand (tak jak by nie byli oni, ostatecznie, współcześni Degasa. Maneta, Renoira, tak jakby malarze, których podziwiał Paulhan nie byli z kolei współcześni Buffeta, Carzou, Jean-Gabriel Doumergue?) Paulhan lubi kpić z malarstwa XIX-wiecznych salonów („Peinture de Genre”) — Kardynałów z Kotkami, Pierwszej Sukni Balowej, Po Zdradzie, Powrotu Ojca, myśląc zapewne, że dostarcza w ten sposób Sztuce Nowoczesnej absurdałnej trampoliny. A oto, od paru lat, malarstwo salonów powraca w nowej formie do Muzeów Sztuki Współczesnej w postaci „Pop-Artu”. David Sylvester, jeden z gorętszych zwolenników „Pop-Artu” pisze: „Pop-Art” zadawała te same potrzeby co obrazy „z problemami” starej Akademii Królewskiej, czy jakkolwiek anegdotyczny obraz epoki wiktoriańskiej — „Ostatni Dzień w Starym Domu”, „Kiedy widziałeś Ojca po raz ostatni” itd.” („Sunday Times Magazine”, 2.6.1963). David Sylvester jest jednym z najlepszych znawców zachodnich Malewicza i Suprematyzmu, jest autorem najlepszej monografii o Henry Moore i mimo że nie chodzi tu oczywiście o stwierdzenie czy „Pop-Art” ma jakąkolwiek wartość, nie jest bez znaczenia, że krytyk podziwiający tych samych artystów co Paulhan powołuje się poważnie na obrazy, które dla Paulhana były źródłem wiecznie tego samego żartu. Kardynałowie, debiutantki, synowie marnotrawni, których banalna krytyka „awangardowa” używała dotychczas wyłącznie jako straszdyła, powracają być może na łono „dobrego towarzystwa”, w szelście purpury i koronek, wielkimi drzwiami...

Dogmat rewolucyjności sztuki nowoczesnej i niepewność co do jego zastosowania wydają mi się jednym z głównych schorzeń sztuki dzisiejszej...

Sztuka Wszystkich Czasów jest Współczesna

Ale to nie koniec sprzeczności i paradoksów. W tej samej chwili, w której Sztuka Nowoczesna głosiła zerwanie z przeszłością, równoległa ewolucja świadomości estetycznej odkrywała nie tylko „przeszłość” w sensie zachodniej tradycji, ale wszystkie przeszłości i wszystkie teraźniejszości wszystkich kultur. Co więcej: malarstwo jaskiniowe, maska afrykańskiego czarownika, rzeźby Egiptu i prymitywnej Grecji, malarstwo chińskie i mozaiki bizantyńskie, utylitarne przedmioty podbiegunowe jednocześnie dochodziły do rangi „dzieł sztuki” i to na tej samej podstawie co dzieła artystów nowoczesnych. Futuryści palili się do podpalania Luwru. Ale pamflet Apollinaire’a z r. 1913 na próżno krzyczy *Merde aux Musées*, Muzeum przetradało się właśnie w Muzeum Wyobraźni i zamierzało powitać futurystów.

Od czasu Elie Faure’a, Worringer’a, sztuka wszystkich czasów jest współczesna. W tym olbrzymim zamierzeniu Historii Sztuki, która obaliła czas i przestrzeń, artysta współczesny nieraz był pomocny. Aktualizacja historii, uniwersalizacja przestrzeni, to zresztą jeden wyraz procesu, którego drugim wyrazem jest kres lokalnych tradycji zachodnich.

Niektóre momenty sztuki nowoczesnej wydają się nastawiać reflektory na momenty sztuki wszystkich czasów i wszystkich miejsc, sprawiają, że momenty te stają się widoczne i aktualne. Malarstwo kubistów pozwoliło odkryć dzieła tak różne jak maski afrykańskie i obrazy Paolo Ucello; szukając sobie poprzedników surrealizm przyczynił się do odrodzenia Boscha, podczas gdy wydobyl z zapomnienia Fussli, Blake’a, niemieckich romantyków; *Action Painting* i abstrakcja liryczna zwróciły zainteresowanie amatorów w kierunku kaligrafii Dalekiego Wschodu, rysunków mistrzów buddyjskiej sekty Zen. W ten sposób aureola „Sztuki Nowoczesnej” otacza nie tylko dzieła naszego czasu. Rzeźba archaiczna może być dla nas „współczesna”, podobnie jak mozaika bizantyńska; podczas „Sztuki Nowoczesnej” wchłania również przedmioty, które nigdy nie były pomyślane jako dzieła sztuki — a służyły magii czy życiu codziennemu; co więcej — dochodzą do tego przedmioty, które nie są ani „sztuką”, ani „dziełem”: kamienie znalezione na plaży, korzenie, kora, dziwaczne odpadki z przemysłowego śmietnika...

Ale reflektory działają również w odwrotnym kierunku, po-

przez lata świetlne artysta współczesny z kolei ulega wpływom tego nieustannego tasowania wieków i kontynentów, którego dokonują „wydawnictwa artystyczne”, pomnożenie wystaw poświęconych epokom, szkołom, krajom, dziełom i które, w dodatku, podróżują... Uwaga współczesnego malarza skupia się, nieraz mimowoli, na różnych elementach, które malarstwo zawsze zawiera, ale które pewni malarze, pewne szkoły, pewne epoki specjalnie uwydatniły: raz po raz na kolorze, strukturze, ruchu, przestrzeni, wyobraźni, decyzji... Wystarczy przypomnieć wpływ na materię, rezonans, kolor pewnych obrazów nieformalnych wystaw takich jak Malarstwo Hiszpańskie w Paryżu w r. 1955, czy wielka retrospektywa Rembrandta w Rotterdamie. Do tego stopnia, że zawdzięczamy malarzom współczesnym szereg ektoplazmów Rembrandta, Goyi, Valdes Leala. Wyjątkowo bywa to zjawiskiem świadomym, jak w wystawie „Homenaje Informal a Velasquez” w Madrycie w r. 1961, w którym, z okazji czterechsetlecia, wszyscy tasyści hiszpańscy bryzgali i tarli i leli farbą (nieraz z dużym smakiem) na temat Infanek, Bachusa czy Bredy...

Sztuka Współczesna i Społeczeństwo Przemysłowe

Starałem się wykazać sprzeczności Sztuki Współczesnej w stosunku do samego pojęcia „sztuki” i wobec tradycji, ciągłości, przeszłości. Istnieje inna sprzeczność — w stosunku do społecznych implikacji teraźniejszości — i przyszłości w perspektywie narzuconej przez Społeczeństwo Przemysłowe. Jeśli powracam raz jeszcze do myśli naszkicowanej w moim artykule „Czyste Malarstwo czy Poetyka” to dlatego, że pewne intuicje dotyczące dziedziny tak zakłamanej jak krytyka sztuki, siłą rzeczy powtarzają się, a zarazem rozwijają. Proponowałem w tym artykule podejście do Sztuki Współczesnej jako formy „odpowiedzi” na „wyzwanie” rzucone artyście przez socjologiczną mutację jaką zapowiada społeczeństwo przemysłowe (w sensie *industrial society*: w którym sektory pośrednictwa i usług przeważają już nad sektorem produkcyjnym). Ta reakcja może być bądź „pozytywna” (próba integracji społeczeństwa przemysłowego w ramy nowej utopijnej mitologii), bądź „negatywna” (a w istocie kompensacyjna): sztuka jako rezerwat odwiecznych, indywidualnych mitologii w społeczeństwie przemysłowym.

Sztuka abstrakcyjna urodziła się pod znakiem odpowiedzi „pozytywnej”. Futuryzm, Suprematyzm, Konstruktywizm rzutowały rodzącą się technologię w marzenie o utopijnej przyszłości. Ale maszyny, technika to nie tylko aeroplan, radiotelegram, automobil, żelazo-beton, nie tylko ta „Elektryfikacja”, o której Lenin

powiedział, że wystarczy ją połączyć z Sowietami aby wejść w Komunizm. Wojna 1914-18, pierwsza wojna „przemysłowa”, była zapowiedzią nowych niebezpieczeństw — nie tylko śmierci masowej, również anonimowego przymusu społecznego w skali dotychczas nie znanej. W tym sensie Dada, wyrosły z Dada Nadrealizm były formą nieświadomego protestu przeciw anonimowym potęgom technokratycznym, przeciw nowym formom organizacji, które (w tej perspektywie przynajmniej) służą nie tyle rozszerzeniu dziedziny ludzkiej wolności, co nałożeniu człowiekowi nowych, subtelnych ale nieubłaganych więzów. Powstała po ostatniej wojnie Abstrakcja Liryczna, której związki z nadrealizmem są coraz bardziej oczywiste, byłaby zatem ostatnią, gwałtowną próbą przechowania wolności indywidualnej w jej ostatecznych, zasadniczych fortyfikacjach instynktu, autonomii snu, podświadomości.

Nigdy nie mówiono tyle o „wolności” malarza, co w społeczeństwach przemysłowych, tak jakby ludzie odczuwali dziś potrzebę transferu na artystę tej wolności, której niejasno czują się pozbawieni w swym własnym życiu codziennym.

Od ostatniej wojny, młody człowiek staje się nieraz malarzem nie dlatego, że pragnie odtworzyć w formie plastycznej swój stosunek do świata, ale dlatego, że spośród wszystkich dziedzin malarstwo współczesne jest tą, w której temperamenty gwałtowne i agresywne znajdują najbardziej natychmiastowy i najpewniejszy wyraz. Widzieliśmy, że najbardziej autorytatywni krytycy *Action Painting* są zgodni w twierdzeniu, że nie można sądzić tych obrazów innymi kryteriami niż napięciem, intensywnością „walki” mającej miejsce w tej „arenie”, którą stało się płótno. I tak typ współczesnego francuskiego Kmicica miał niedawno jeszcze do wyboru: zostać spadochroniarzem w Algierii czy malarzem z Galerie Stadler.

Nawiasem mówiąc, jedną z cech współczesnej sztuki jest to właśnie, że malarstwo pociąga dziś typy ludzkie, które dawniej wyżywały się w innych dziedzinach. Powróćę do faktu, który zahacza o inny problem: że malarstwo jest dziś jednym ze środków wyrazu stojących otworem dla *intelektualisty* (częste są dziś kariery pisarzy czy filozofów, którzy stają się malarzami — i na odwrót). Ale nie na tym koniec. Cechy (zresztą bardzo urocze) drobnego, ekscentrycznego wynalazcy, który przez sto lat nosił do urzędów patentowych pomysły widelca, którym można jeść pod wodą, roweru przekształcającego się w łóżko polowe, trzewików na resorach, mogą dziś „malarza” neo-realistę doprowadzić do triumfu (nic bardziej rewelacyjnego jak podobieństwo tradycyjnego „Concours Lépine”, w którym ci dziwacy wystawiają w Paryżu od stu lat swe wynalazki — i niektórych sal „Salon de

Mai”). A Casanova? Czy ryzykowałby lochy weneckie, mieszał się w drobne szpiegowskie afery, szachrował w karty gdyby żył dzisiaj? Żywość jego umysłu, spontaniczność, awanturczość, zasoby wyobraźni otwarłyby mu wszystkie galerie, wszystkie Muzea Sztuki Współczesnej. Twierdzenie to nie jest bezpodstawne. Yves Klein był płatnym „stróżem” (z rewolwerem w kieszeni) mężów politycznych różnych partii, profesorem dżu-dżitsu w Madrycie, stażystą w buddyjskim klasztorze zanim przerwiał się na malarstwo, w którym w ciągu siedmiu lat zrobił błyskawiczną karierę, a znam szereg młodych malarzy żyjących, których życiorysy są bardzo podobne.

Ale powróćmy do problemu artysta — społeczeństwo przemysłowe. Sukces „Pop-Art” w Nowym Jorku i w Londynie w ciągu ostatnich trzech lat nadaje temu problemowi nowy wymiar. „Pop-Art” jest mało znany na kontynencie, do tego stopnia, że tak szanowany krytyk jak Geneviève Bonnefoy twierdzi, że to po prostu anglosaska nazwa „neo-realizmu” („Les Lettres Nouvelles”, luty 1963). „Pop-Art” — to w Ameryce Ray Lichtenstein: do olbrzymich rozmiarów rozdęte epizody z komiksów; Wesselman: między *collage*’m i *trompe-l'oeil* kolorowych glansowanych ogłoszeń z „Life’u” czy „Time’u” — cudownych indyków, bajecznych biszkoptów, najwspanialszego piwa, papierosa będącego kluczem do powodzenia. W Anglii — Hockney: sceny z życia „nowej klasy” robotniczej arystokracji, rozbawiony komentarz o twiście, grających szafach, telewizji.

Kultura masowa jest często kiczem — zgoda. Ale Kicz stał się Naturą, wszedł do krajobrazu i można z niego wyciągnąć elementy „Bajecznej Opery”, którą widział już Rimbaud w kiczu, który znał: „Od dawna chlubiłem się posiadaniem wszystkich możliwych krajobrazów i uważałem za śmieszne wszystkie sławy współczesnego malarstwa i poezji. Lubiłem idiotyczne obrazki, tapety, szyldy, druczki”... („Une Saison en Enfer”).

„Pop-Art” (w przeciwieństwie do protestu idącego od Dada, poprzez surrealizm aż do abstrakcji lirycznej) nie sprzeciwia się wcale społeczeństwu przemysłowemu i jego nadbudowie — kulturze masowej. Jest to sztuka młodych ludzi, wychowanych już od dziecka na telewizji, grających szafach i propagandzie ogłoszeniowej, starających się najwyższej zwrócić uwagę na te nowe elementy krajobrazu, którymi są one na równi z górami, lasami, katedrami i kamienicami. W sztuce ten rozbawiony, bynajmniej nie wrogi komentarz kultury masowej jest pierwszym chyba ekwiwalentem wysiłku amerykańskich socjologów jak Shils i Bell, którzy z uporem przeciwstawiali się elitarniej krytyce tego nowego wymiaru zabawy, różnorodności, komunikacji między ludźmi. Osobiście uważam „Pop-Art” za autentyczną i dowcipną formę „soc-

realizmu" i za jeden z dowodów głębokiego kryzysu, który przeżywa sztuka. Ale jego wymowa socjologiczna nie jest pozbawiona znaczenia.

Sztuka Współczesna i Polityka

Paradoks „rewolucyjności” sztuki współczesnej, jej dwoistość w stosunku do społeczeństwa przemysłowego wzmocnione są czynnikiem zewnętrznym: przymierzem przeciw Sztuce Współczesnej wszystkich władz i potęg, które nie tylko praktykują porządek społeczny, ale weni naiwnie wierzą. Dla faszystów i dla dzisiejszych komunistów nie ma wątpliwości: sztuka współczesna jest „elementem rozkładowym”. Podobnie rozumują w społeczeństwie „liberalnym” różnego autoramentu „humaniści” oplakujący „odczłowieczenie” sztuki, jej „pogardę dla publiczności” itd. Tyle, że Watykan, amerykańscy konserwatyści, czytelnicy „Le Figaro” nie dysponują policją. Najczęstszą reakcją szanującego się intelektualisty na tę wrogość faszystów, Chruszczowa, papieża i co prostoduszniejszych przedstawicieli zachodniej burżuazji do Sztuki Nowoczesnej jest wzruszenie ramion, prześmiewki. Otóż reakcja ta jest dowodem całkowitego braku szacunku dla Sztuki Współczesnej, zepchnięcia jej w dziedzinę „estetyki”, jakby sztuka była tylko obrazem na ścianie, literatura książką na półce, a nie wy miarem rzeczywistości. Wprowadźmy zastrzeżenie. Ani chwilę nie wierzę, że Hitler nie mógłby prowadzić wojny i zakładać Oświęcimie i Bergen-Belseny gdyby nie zlikwidował „Entartete Kunst”. Jestem przekonany, że to nie abstrakcjonści sowieccy są winni sprzecznościom w rolnictwie i kłótni z Chinami. Ale w pewnym sensie Hitler i Stalin mieli rację, Chruszczow ma rację: ich społeczeństwo oparte jest na fikcyjnej wizji człowieka, której Sztuka Współczesna jest nie tylko obca: wroga. Dowodzi tego wrogość „dobrze myślącej” burżuazji zachodniej do Sztuki Współczesnej. Ani Dada ani Nadrealizm, ani powojenna powódź tasyzmu nie wpłynęła w niczym na „porządek społeczny”, który zmienia się pod wpływem innych czynników. Ale dla „Osservatore Romano”, dla „Le Figaro”, dla Pentagonu i Saint-Cyr, dla wszystkich, którzy mówią „cywilizacja chrześcijańska”, podstawą (a w ich przekonaniu celem) funkcjonowania maszyny społecznej są *wartości*, czyli fikcyjna wizja człowieka, której Sztuka Współczesna jest nie tylko obca: wroga.

Nie ulega wątpliwości, że wspólną cechą myśli, literatury i sztuki współczesnej jest walka o scalenie człowieka. Alienacja Marksa, „tłumienie” (*refoulement*) Freuda, „nieautentyczność” Heideggera — to diagnozy rozczłonkowania, wewnętrznego rozbi-

cia człowieka współczesnego. Marksizm, psychoanaliza, egzystencjalizm — to różne formy dążenia do wolności, likwidacji kłamstwa. Ale te zagadnienia dotyczące uwolnienia człowieka są częściej przedmiotem studiów, teorią niż praktyką. Jedynie w literaturze (Joyce, Gombrowicz), czasem w sztuce (nadrealiści) przejawia się *praktyka wolności*. Istotnie, dzieło które mówi „trzeba uwolnić” — nie jest niczym innym jak otwartym, oświeconym humanizmem. Humanizm zaś — to hodowla „wartości” po śmierci Boga, świecka forma moralizmu. Podziały na nadbudowę i bazę, świadomość i podświadomość, istotę i istnienie wskazują, że prawda tkwi w „niższym” poziomie, z tym że określenie tego poziomu jako „niższy” jest właśnie tradycyjnym błędem humanizmu. Dzieło „uwalniające” jest dziełem, które pozwala nam w praktyce zejść na ten „niższy” poziom i zrozumieć, że nie tylko nas to nie zubaża, ale wzbogaca. Dziełem, które obala sztuczne przegrody między różnymi dziedzinami ludzkiego doświadczenia. Bądźmy zresztą jeszcze ostrożniejsi. Żadne dzieło literackie, żadne dzieło sztuki nie „uwalnia” nas w naszym zachowaniu, nie obala naszych przegród i murów psychicznych. „Uwalnia” ono co najwyżej jego twórcę. Ale dla czytelnika, dla widza, dzieło takie ma mimo wszystko wartość *przykładu*: przez błyskawiczną chwilę daje nam intuicję tego czym mogłaby być wolność. Jeśli nie uwalnia człowieka, który je czyta, czy na nie patrzy, może na długą metę przyczynia się do uwolnienia „ludzi”. Dla współczesnego społeczeństwa, które potrzebuje „moralności” i „dyscypliny” aby móc sprawnie działać (przedłużać okres, w którym wytwórczość wyprzedza przyrost naturalny) dzieła „uwalniające” są zatem niebezpieczne.

Spółczeństwo liberalne dopuszcza (otacza nawet szacunkiem) każde *humanistyczne* przedsięwzięcie, dążące do pełnego uwolnienia człowieka, gdyż chodzi tu zawsze o uwolnienie „na później”. Współczesne społeczeństwo liberalne wie że jest śmiertelne (na tym polega jego różnica ze społeczeństwami prymitywnymi — z każdym społeczeństwem „stałym”) i pozwala na to, aby swobodnie rozważać perspektywy jego śmierci. Społeczeństwo to jest zresztą wielce podniesione na duchu doświadczeniem historycznym: wie już dzisiaj na przykład, że „Rewolucja” nie tylko nie obala moralności i dyscypliny, ale je wzmacnia. Jeśli społeczeństwa „zachodnie” nie czują się wyposażone w metafizyczny mandat, który by im pozwolił na represję dzieł efektywnie „uwalniających”, uwalniających „natychmiastowo” (podważających moralność i dyscyplinę), to dlatego, że „wolność” podniosły do swej wartości zasadniczej. Widzimy, że społeczeństwo sowieckie, które wierzy (lub udaje, że wierzy), że jest wyposażone w analogiczny mandat nie toleruje żadnego dzieła „uwalniającego” (stąd para-

doks społeczeństwa, które mandat swój czerpie z misji mającej doprowadzić do scalenia człowieka — przynajmniej w aspekcie marksistowskim tego scalenia — a które natomiast w praktyce różniczkuje i wyobcowuje człowieka bardziej niż jakiegokolwiek inne społeczeństwo współczesne).

Jaki wynika z tego paradoks dla artysty? W społeczeństwie liberalnym artysta może dążyć do dzieła „uwalniającego”, oburzenie „humanistów” może go nawet podtrzymywać na duchu, ale prędzej czy później chytre społeczeństwo liberalne obsypie go nagrodami, pieniędzmi i honorami. W społeczeństwach komunistycznych natomiast, gdzie jego dzieło miałoby pewien potencjał rewolucyjny, artysta jest po prostu odcięty od publiczności. Najgorzej jest bodaj od paru lat w Polsce (jak to świetnie w dziedzinie literatury zanalizował niedawno Miłosz w „Kulturze”), gdzie formy wolności są ogólnie szanowane, byle były próżne, gdzie wolno używać języka sztuki współczesnej, ale gdzie językiem tym nie wolno niczego dopowiedzieć do końca.

Sztuka Współczesna i Literatura

Nie ma gorszej obelgi dla współczesnego artysty, jak (z grymasem): „to bardzo literackie”. Nigdy natomiast nie była sztuka bliższa literatury niż dzisiaj. Wspomniałem już, że malarstwo po raz pierwszy od wieków przekształciło się w dziedzinę otwartą dla *intelektualisty*. Intelektualistą jest często współczesny malarz, intelektualistą jest zawsze amator współczesnego malarstwa. W r. 1908, spóźniony jak zwykle Matisse, pisał: „O czym marzę, to o sztuce równowagi, czystości, spokoju, bez tematu niepokojącego lub przejmującego, która by była dla każdego pracownika umysłowego, dla przemysłowca na przykład, lub dla literata ukojeniem, środkiem uspakajającym; czymś w rodzaju dobrego fotela, w którym odpoczywa się po zmęczeniu fizycznym”.

W równo pięćdziesiąt lat później, Jean Dubuffet wyraża stanowisko charakterystyczne dla sztuki współczesnej: „Sztuka jako ogród z girlandami, dobre łóżko, obiadek dla smakoszków? Pozostawiamy to innym. Dla nas morza bardziej awanturnicze, dalsze podróże... Dzieło sztuki przemawia nie do oczu, lecz do umysłu... jego racją bytu jest dostarczenie przewodu prądom wysokiego napięcia, które rzucają światło niesłychane na życie i na rzeczy...”. Otwieram książkę Mathieu o współczesnym malarstwie i *na jednej stronie* spotykam następujące zgromadzenie: Parmenides, Empedokles, Plotyn, Grzegorz z Nazjanczy, Mistrz Eckhardt, Henryk z Gandawy, Siger z Brabantu, Cantor, Gödel, Bohr, Heidegger, Dionizy Areopagita, Mikołaj z Kuzy, Lupasco, Henri

Lefebvre... Trudno o przyjęcie bardziej intelektualne. Jeden z tekstów (bardzo zresztą błyskotliwych) Mathieu zatytułowany jest zresztą ni mniej ni więcej: „Od Arystotelesa do Abstrakcji Lirycznej”. Wykazuje on jak spustoszenia dokonane przez Arystotelesa w dziedzinie Zachodniej Myśli zostały już częściowo naprawione przez Jacksona Pollocka, Wolsa i samego autora. Wiadomo skądinąd, że (właśnie w kołach Abstrakcji Lirycznej) prestiż Lupasco i jego logiki sprzeczności był tak wielki, że malarze uważali swe obrazy za prawdziwe przyczynki do jego filozofii. Wysłunięcie w Paryżu Strukturalizmu na pierwszy plan przez Lévy-Straussa (i zainteresowanie strukturalizmem młodych zawiązanych marksistów) doprowadza z kolei do „strukturalnych” interpretacji malarstwa i najbardziej zaawansowani malarze dopatrują się w swoich obrazach pokrewieństwa z pracami etnologów jak Dumézil, lub ekonomistów jak C.G. Granger, pod pozorem, że strukturalizm opiera się na analogiach funkcjonalnych a nie substancjalnych. Czyli że Sztuka może być najbardziej „literacka” wtedy właśnie kiedy o scenach z „Quo Vadis” dawno zapomnieli...

Sztuka Współczesna i Natura

Sztuka nie była nigdy bardziej oddalona od „przedmiotu” jak w swojej fazie „Nie-Formalnej”, ale nigdy również nie chciała być bliższą „natury”. Stwierdzenie to wygląda na paradoks: czyż natura nie składa się z przedmiotów? Ale natura to nie tylko skała — to przede wszystkim powolna formacja kryształów; nie tylko drzewo — przede wszystkim życiodajne tworzenie się chlorofili. Malarz niefiguratywny nie chce „malować natury” — celem jego jest — za pośrednictwem malarstwa — *tworzyć* podobnie do natury.

Zauważono nie raz (i nadużyto tej powierzchownej obserwacji w iluż przedmowach), że obrazy nieformalne podobne są do fotografii kory, drzewa, do mikrofotografii tkanek, wewnętrznej struktury metali, do makrofotografii gwiazdnych przestrzeni. Prawdą jest również, że ten mimetyzm głębokich procesów natury przez malarstwo zapewnił pewną lukę w naszym życiu codziennym. W miarę jak anonimowa masa plastyków pokrywa otaczający nas świat, pozbawiając nas bezpośredniego kontaktu ze światem organicznym, eliminując te surowce wyobraźni plastycznej, którymi są chropowate drzewo, porowaty kamień, liszaje pleśni, plamy wilgoci na murach, nic dziwnego, że powstała sztuka dla Anteuszy nie mogących dotknąć ziemi. W tym sensie, obrazy Dubuffeta to „kamienie w salonie”, a szmaty Burri w drapaczach, chmur mediolańskiej burżuazji zastępują kontakt z odpadkami,

które eliminuje bez śladu szereg mechanicznych *gadgets*. Charakterystyczne, że jeśli artysta nieformalny zwraca się ku materialnej, przemysłowej twórczości człowieka, to jedynie celem eksploatacji jej odpadków, aby pogrzebać w jej śmietniku. Malarz nieformalny wypełnił również pustkę, którą w poetyckim, imaginacyjnym wymiarze ludzkiego doświadczenia pozostawił zanik rzemiosła. Głęboką funkcją rzemiosła było pośrednictwo między świadomością i materią, naturą, substancją. Sztuka nieformalna podjęła tę funkcję, wyrażając na nowo materię w jej płynnej nieustalanej formie.

Ale na to żeby odtworzyć (czy pokusić się o odtworzenie) procesów twórczych natury, malarz dąży do zlikwidowania świadomości, do wytworzenia w sobie pustki, aby mogły go przeniknąć gwałtowne siły instynktu. Otóż wydaje mi się, że malarze nieformalni przyjmują tu wbrew woli stanowisko paradoksalnie humanistyczne, gdyż przeczą jak gdyby temu, że sam, całkowity człowiek jest naturą — naturą aż po inteligencję, świadomość i zdolność wyboru. Proces twórczy malarza nieformalnego pozbawia go tych właśnie środków, którymi natura może się wyrazić wyłącznie poprzez człowieka, w którym jest on na świecie bez konkurencji. Gdyż lawę lepiej stworzy wulkan: ma więcej czasu i więcej siły. Struktura wewnętrzna metalu, stratyfikacje minerałów mają za sobą tysiąclecia geologiczne, wolną precyzję sedymentacji.

Widzimy zatem, że nie chodzi tu o „konkurencję” z naturą, która jest niemożliwa, a raczej o nową formę mitologii. Mitologia ta łączy się z postawą amerykańskich malarzy powojennych. Akt twórczy, dla malarza nieformalnego jest nie tyle drogą do stworzenia dzieła, co „czynem”, czynem, który jest ważny sam w sobie i który ma element sakralny. Podobnie jak modlitwa akt malarski jest w tej perspektywie dążeniem do bytu najmniej różniczkowanego, uniwersalnego, do kosmosu, do absolutu. Ale tego rodzaju „czyny” są właściwie „stanami” i ich natura bliska jest tego co wiemy o doświadczeniu mistycznym. Nic dziwnego, że w słownictwie malarzy nieformalnych pojawiają się tak często aluzje do wszystkich tradycji mistycznych. Siger z Brabantu i Mistrz Eckhardt są „patronami” Georges Mathieu. Czołowi malarze *Action Painting* pogrążeni byli w Vedancie, a niedawno jeszcze co druga bzdurna przedmowa trzeciorzędnego taszysty powoływała się na Zen lub na mistyków tantryckich. Ten transfer elementów sakralnych na malarstwo jest zresztą ogólnie znany — stanowi główną (mglistą) tezę Malraux jako historyka sztuki. Ale we wszystkich cywilizacjach sztuki i rytuały sakralne odgrywały się w czasie: taniec, dramat, muzyka, orgia, modlitwa, ceremonia liturgiczna. *W czasie odgrywa się natomiast sam akt ma-*

lowania obrazu, który potem zastyga nieruchomy w przestrzeni. Stąd, jeśli chodzi o potencjał sakralny malarstwa, wydaje się on bardzo ograniczony: można powtarzać bez końca modlitwy, można powtarzać bez końca jazzową „jam-session”, trudniej się sprawa przedstawia z malarstwem, które w czasie można przeżyć tylko w samym akcie twórczym, i które nawet wówczas w każdej chwili pod ręką malarza nieruchomieje.

Sztuka nieformalna chciała przejąć dynamiczną funkcję zespolenia się z naturą, w jej nieustannej pracy, funkcję panicznego święta. Ale jedyną niezastąpioną funkcją malarstwa jest ewokacja jedności nieruchomej.

Czy koniec Sztuki?

Powróćmy do mojej bajeczki. Chodzi mi ona po głowie od paru lat, od chwili gdy po piętnastu latach euforii taszystowskiej zaczął się przejawiać wśród najbardziej w ten nurt zaangażowanych krytyków, wśród samych malarzy pewien niepokój. Ostatnia wenecka Biennale była nagłą klęską — Waterloo taszysty po tyłu Austerlitzach. Niepokój ten odbił się na amatorach, na rynku, na cenach (jedynie w sztuce zasada Napoleona i de Gaulle'a *L'Intendance suivra* obowiązuje naprawdę). Kiedy w grę weszły ceny, zainteresowała się tym prasa i w ciągu ostatniego roku ukazały się tuziny naiwnych artykułów o „kryzysie abstrakcji”, „powrocie do przedmiotu” itd. Jednym z najbardziej ogranych banałów jest, że „Sztuka Nieformalna stała się akademicka”. W pewnym sensie „akademizm” jest zawsze jedną z dróg otwartych przed każdym stylem czy epoką u schyłku (drugą, często wspólnie płodną jest manieryzm). Starłem się wykazać w powyższych notatkach, że przyspieszony schyłek malarstwa nieformalnego nie jest wywołany tymi prawami „ogólnymi”, ale że związany jest z pewną logiką wewnętrzną tego malarstwa (w jego najciekawszych przejawach). Malarstwo nieformalne dążyło do ciągłości gestu, do strugi malarskiej, ograniczony prostokąt obrazu siekał jej wewnętrzny dynamizm. Jeśli Włodzimierz Slepian, młody rosyjski abstrakcjonista postanowił dwa czy trzy lata temu namalować rulon ciągnący się przez kilka kilometrów, lejąc nań farbę z ciężarówką, to wcale nie dla „skandalu”, ale dlatego że jego logiczny (kontradycyjnie) umysł (w Związku Sowieckim był on filozofem matematycznym) naprowadził go na pozorne rozwiązanie jednej ze sprzeczności. Podobnie oceniam rekordy szybkości Mathieu, malującego obraz o powierzchni plafonu Opery Paryskiej na ulicy w Tokio w ciągu pół godziny. Charakter rozpaczliwy, karykaturalny tych wysiłków pozwala zrozumieć dlaczego po

Pollocku i Wolsie, po piętnastu latach eksploracji wszystkich możliwości gestów na arenie, tasyzta, który dotychczas jeszcze grzecznie zadawała się małą areną obrazu skazany jest na nudę, powierzchowność, banał. To akademia tasyzmu, skazana na szybką śmierć. Ale tasyzmu wydał również swych manierystów, oczywiście ciekawszych. Yves Klein doszedł do tego, że rzucał w rzekę złoty proszek i „gest” swój sprzedawał (za cenę obrazu) naiwnym (czy może raczej ekscentrycznym) kolekcjonerom. Alberto Greco i jego szkoła „Arte Vivo” zadawała się „podpisywaniem” przeżytej sytuacji, dostrzeżonej na ulicy sceny: to ich „obraz”. Są to drogi będące szczytem dandyzmu (nie używam tego terminu bynajmniej w sensie negatywnym, nie tylko ze względu na pamięć Baudelaire’a) ale są to również ślepe zaułki. Inne zarysowujące się drogi „post-tasyzmu” wydają mi się nawrotami. „Neo-Realizm” jest nawrotem do Dada, „Pop-Art” — to lepszy, autentyczniejszy „Soc-Realizm”, a „Neo-Figuratywność” — to zwykła bлага, nawrót do post-impresjonizmu i post-ekspresjonizmu przez pretensjonalnych malarzy popartych przez naiwnych krytyków. Uwierzę w „Neo-Figurację” kiedy zobaczę „neo-nos”, „neo-jabłko” i „neo-krzesło”. Ulubieniec dzisiejszej paryskiej krytyki, eks-tasyzta Bernard Dufour maluje kobiety przeglądające się w lustrach, sceny o drzwiach otwartych, kombinacje luster i okien. Każdemu wiadomo, że obrazy, których tematem (tak! tematem) są lustro, okna, a już najbardziej lustro i okna naraz, mają pewną siłę atrakcyjną. Tyle, że w tej dziedzinie Dufour nie dorównuje Czapskiemu (szkoda, że Czapski nie ma trzydziestu paru lat i że nie wyszedł z tasyzmu).

Czyżby zatem koniec Sztuki? Czy przynajmniej koniec Epoki? Nie możemy zapomnieć, że w tym momencie kryzysu istnieje kilku żyjących malarzy, których prestiż rośnie, którzy stają się w pewnym sensie nową konstelacją, mimo że pozornie są bardzo odmienni. Podczas gdy Picasso przeszedł do historii, jest równie wielki i równie oddalony od nas jak Daumier czy Courbet, nie wiele od niego młodszy Max Ernst jest malarzem nadal ogromnie aktualnym. Dodajmy kilka innych nazwisk; Giacometti, Balthus, Francis Bacon, Brauner, Dubuffet. Cóż łączy całkowicie „figuratywnego” Balthusa z Dubuffetem, który przeszedł tak blisko tasyzmu? Giacomettiego i Bacona z Ernstem i Braunerem? Po pierwsze — że żaden z nich nie dał się zalać powodzią „abstrakcji”, że u podstawy ich dzieła jest byt wymyślany na nowo, i który implikuje zarówno odosobnienie, jak i wewnętrzny dystans. Do tej „postawy” malarskiej zaliczyłbym z młodszego pokolenia jednego chyba Jana Lebensteina. Jest więcej niż oczywiste, że nie proponuję żadnej nowej „szkoły”, której patronami by byli ci, tak odmienni malarze. Przeciwnie — na ostatnim *Salon de Mai*

byłem wprost przerażony naśladowcami Francis Bacona. Znam również (w Polsce, a nawet w Wenezueli i na Korei — dosłownie) bardzo banalnych naśladowców Lebensteina. Pójście śladami Balthusa przez kogoś kto nie jest Balthusem w sensie nie „talentu” ale właśnie całkowitego człowieka, mogłoby dać tylko kicz. Mimo wszystko postawa tych malarzy jest w pewnym sensie *przykładem*: przykładem wolności wyobraźni, swobody, nie ulegania „nakazom epoki”. Marzę o chwili gdy malarze będą znów malować to, na co mają ochotę, tak jak mają ochotę, bez presji zewnętrznej (rządów, Galerii, muzeów) bez cenzury wewnętrznej (intelektualizm, snobizm). Dwie wizje świata: dzienna, z jej nowym spojrzeniem na horyzont rzeczywistości i nocna (z fetyszami naszego czasu) pozostają chyba niewyczerpane.

K.A. JELEŃSKI

Każdy kto wysła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwi wysyłkę **W O L N Ą O D C Ł Ą**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani NATYCHMIAST, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

100 East, 10-th St.
NEW YORK, 3 N.Y., (USA)
ALgenquin 4-4161

Rzut oka na Niemów (dok.)

KONIEC OKRESU „i”

Theo Heinz Theo, prawdziwe nazwisko: Franz Walter Lehmann, odkrył literę „i”. Zanim do tego doszło, ujrzał światło dzienne, prześlęczał szkołę średnią, skończył uniwersytet, zdał egzaminy państwowe, został dramaturgiem. W chłopięctwie interesował się piłką nożną, później zaś literaturą. Już za młodu uzmysłowił sobie, czym jest przekora i kontrast. Nie dość że pokusił się wtedy o mądrą definicję: „przeciwieństwo jako takie jest przeciwieństwem przeciwieństwa bez przeciwieństwa”, to jeszcze żył wedle tej zasady. Gdy inni nosili fryzury modne przez rok, on już paradował po mieście z przyszlórocznym uczesaniem. Gdy inni imponowali światu szerokimi nogawkami, on już nosił obcisłe porteczki. Gdy inni zapuszczali egzystencjalistyczne bródki, on zaskakiwał współczesnych gładko wygolonym licem. Nie do pobicia na polu prekursorstwa i mody, rychło zarzucił kopanie piłki i szlifowanie bruku, by oddać się uprawie literatury pięknej.

I wtedy odkrył krzesło. Nie jakiś tam frymuśny zydelek, ale zwykłe krzesło. A stało się to wtedy, gdy literatura zajmowała się jeszcze wielkimi ideologiami, rzutami w głąb i w dal, przemianami polityczno-społecznymi; słowem: tematami, których nie umiała podjąć ani rozwiązać. Theo Heinz Theo uznał ten stan rzeczy za wręcz nieznośny. Poddał więc analizie krzesło zwykłe krzesło (Reizm?). Z razu rozłożył je na cztery nogi. O każdej nodze napisał tekst dziesięcio-wierszowy. Nazwał go zwyczajnie „tekstem”. (W imię prostoty, matki rzeczy wielkich). Zdaniem wydawcy utwór był za krótki. Theo zaś bolał nad jego dłużyzną. Rozłożył więc tekst na dwie części: na „te” i na „kst”. Wydawca, krakowskim targiem, uparł się przy podtytule: „kantata na cztery nogi”.

Książka stała się wydarzeniem, ba — sukcesem! Krytycy z początku skonsternowani, rychło spostrzegli, że stają oko w oko z nową modą, za czym skapitulowali, a już po dwóch miesiącach stali się zagorzałymi krzewicielami stołkizmu. Twórczością Theo Heinz Theo zainteresowały się agencje organizujące wędrownie wieczory autorskie. Zaczął więc podróżować. Od uniwersytetu do uniwersytetu. Od miasta do miasta. Od auli do auli. Sława odważnego nowatora rosła. Obroty wydawcy również. Ba, wydawca zbudował sobie nową willę i zaofiarował swemu autorowi codzienną kąpiel w luksusowym basenie pływackim. Oczywiście — gdyby Theo Heinz Theo uważał tę propozycję za możliwą do przyjęcia. Ale Theo odmówił.

Noga od krzesła rychło stała się podstawowym kanonem powszechnie obowiązującej *ars poetica*. Stołkizm zapanował niepodzielnie. „Stuhlbein nakazem chwili”. Gdziekolwiek się Theo pojawiał ze swoim rewolucyjnym tekstem, z braku „dzieł zebrańnych” autora sprzedawano stołkową nóżkę. Jako *souvenir*. Tłumy wypełniały aule do ostatniego miejsca. Miłośnicy prawdziwej literatury siedzieli stłoczeni. Ramię przy ramieniu. Noga przy nodze. Ucho przy uchu. Co im dawało krzepiące poczucie wspólnoty tego samego estetycznego przeżycia. Mikrofony udostępniały wysoki głosik Theo także i tym, przez los pokrzywdzonym, dla których zabrakło biletów przy kasie. Wysłuchiwali Theowego tekstu, stojąc na ulicy.

Ale z biegiem czasu rzecz przestawała pisarza bawić i podniecać. Im częściej odczytywał swój tekst, tym bardziej razila go jego przestarzałość. Miał wrażenie, że porasta patyną i, o zgrozo, klasycznieje. Z każdym nowym występowaniem jakby wyraźniej stał ponad wynalezioną przez siebie krzesłonogę. Postanowił się wycofać. (Decyzja nie pozbawiona heroizmu, bez którego nie ma wielkiej sztuki). I w rzeczy samej — wycofał się.

Zaczął medytować. Czas krótkiej formy wyraźnie przesilał się. Czuł to każdym nerwem swego wrażliwego organizmu twórczego. Jął więc w napięciu oglądać meble w mieszkaniu i troskliwie analizować ich tematyczną przydatność dla literatury: łóżko, nocny stolik, lampę, zegar na ścianie. Któregoś dnia, podderwany z miejsca impulsem twórczym, odkrył swą własną płaską stopę. Idąc za podszeptem głęboko zakorzenionego instynktu filologicznego, z miejsca rozłożył ją na dwie części: na „platt” i na „fuss”. „Platt” podzielił z kolei na trzy elementy. Na „pla”. Na „ttf”. I na „uss”. Po czym przepiłował je na cząsteczki, słowne molekuly. Złożył je na nowo. Podrzucił w powietrze. Próbował nowego stopu zębami. Poddał go próbie zdeptania. Ale nic z tego nie wyszło. Sypiał więc niespokojnie. A nieraz, bliski roz-

paczy, leżał bezsennie na łóżku. I jęczał. Nocne męczarnie. Jakże typowe dla poszukiwaczy nowej poetyki.

Którejś nocy, tuż przed świtem, pokazało mu się w pół śnie i w pół jawie — „i”. „I” — zbieg z alfabetu! Zapłasało nad łóżkiem. Fiknęło koziołka wokół lampy. Drasnęło brzeżek świetlnego promienia. Elastycznie podskoczyło pod sufit. Theo Heinz Theo dostrzegł kątem oka, że było młodzieńczo witalne, słonecznie radosne, niekonwencjonalnie dostępne, lekkomyślnie astralne, merkantylnie nieprzekupne, szczupłe, jasne i dźwięczne. „I”, jakiego dotychczas sobie nie uświadamiał. O jakim nawet nie marzył. Loskot dzwonów wyższej poetyki wypełnił sypialnię. Theo pomyślał: to „i” jest Ideą, Pomysłem. Próbował je złapać oburącz. Sprężyście podskoczył na materacu. Obiegł lampę dookoła. Wreszcie pochwycił je, nie bez pewnej brutalności. I zaczął eksperymentować. *Deutscher Erfindungsgeist*. Z razu pociął je na cztery wąskie paseczki-włókienka. Potem w poprzek. Powstały w ten sposób figurki, przypominające karo na kartach do gry. „I” krzyknęło. — „Silentium!” — zawołał faustycznie Theo, i wrzucił je do pieca. W tej samej sekundzie płomień przybrał kształt litery „i”. Theo proces optyczny postrzegalnie transfiguracji nazwał dla uproszczenia „objawieniem?”. Wydawca był zachwycony. Zaproponował odkrywcę zaliczkę. Theo odmówił. W pół roku później wyszła nowa książka. Osiemdziesiąt stron druku. A na każdej „i”. W sumie: 5303 „i”. Strona tytułu, co było wyraźną koncesją na rzecz czytelnika hołdującego estetycznemu wsteczniactwu, ozdobiona została podwójnym „i”, połączonym w środku kropką. Na inne ustępstwa w imię komunikatywności czy też czytelności tekstu Theo nie przystał. I słusznie.

Książka stała się wydarzeniem, ba — sukcesem. Po raz pierwszy w historii literatury, co od razu spostrzegli wnikliwsi interpretatorzy tekstu, można ją było czytać z góry na dół i z dołu w górę, z przodu do tyłu i z tyłu do przodu, od początku do końca i od końca do początku, wzdłuż i wszerz, na poprzek, w te i wefte, i na opak. Zdumienie zdjęło krytyków. Wybuchła dyskusja teorioznawcza z szybkością pożaru prerii. Sprzeciwy konserwatystów spotkały się z równie ironiczną jak i zasłużoną odprawą wydawcy, który słusznie podkreślił w przemówieniu telewizyjnym, że trzeba sięgać po Nowe. Nakład rozszedł się w mgnieniu oka. Drugi, trzeci i dziesiąty. Tłumacze cisnęli się w klatce schodowej. Wydawcy zagraniczni dopraszali się łaski. Dalekopis wystukiwał prośby o opcję i prawo przekładu. Nieliczni przeciwnicy „i-izmu” po dłuższych rozmowach telefonicznych kapitulowali jeden po drugim. Recenzenci, jak jeden mąż, opowiedzieli się za nową modą.

Okres „i” trwał dokładnie przez cztery lata. *Opus magnum* Theo Heinz Theo stał się już nie tylko bestsellerem, ale i lekturą w wagonach sypialnych. Slogan reklamowy *Reise nie ohne „I”!* (Nie wyjeżdżaj bez „i”!) wisiał wzdłuż autostrad i szos od Costa Brava aż po Finlandię i od zachodniego wybrzeża Irlandii aż po Zatokę Perską. Naszego Theo uwieńczono 44 razy. Jury nagród miejskich i wiejskich, związków zawodowych, akademii emeryckich i sklepów samoobsługowych wyrwały sobie laureata z rąk. Oczywiście, jurorzy zawsze byli ci sami. Ale nikomu to nie przeszkadzało. Podobnie nie raziło nikogo, że laur zawsze wokół tej samej wił się skroni. Wokół twórcy „I” — Theo Heinz Theo.

Poeta laureatus zaczął podróżować. Za granicę. Wieczory autorskie w Syrii, Libanie, Atenach, Ugandzie. Na życzenie dyplomatów zdjął pulower i przywdział frak, co nadawało imprezom charakter oficjalny. Na wstępie ambasador wygłaszał słowo wstępne o potrzebie „I”, jego roli w dziedzinie łączności i współpracy między obu krajami. Zwracał przy tym uwagę, i słusznie, na ożywiająca rolę „i” w twórczości Goethego. W chwilę później wkraczał na estradę Theo Heinz Theo. Ledwie otwierał usta, wylatywało z nich pierwsze „i”. Publiczność ogarniała zachwyty. Przy trzecim „i” starsze panie nie mogły opanować wzruszenia. Przy czwartym „i” korpus dyplomatyczny zapominał o zawodowej sztywności bycia. Przy ósmym „i” fanatycy zaczęli wystukiwać takt nogami. Już po tuzinie „i” sala zamieniała się w kocioł ukropu. Łzy, szloch, krzyk, zmysłowy jęk, gejzery patriotycznej pieśni. Konwulsja szczęścia sięgała zenitu, gdy Theo każdemu „i” zaczynał nadawać inny kształt, aspekt, aromat i wydźwięk. Fenomen samoistnej egzystencji „i”! Każde z rzuconych w tłum „i” żyło swoim własnym bytem, promieniowało, zaznaczało swój odrębny literacki profil, eksplodowało szrapnelem czystej idei. A kiedy Theo wyszeptywał, a raczej dla zwiększenia efektu końcowego wybuchiwał finałowe „i”, owo „i” przeżyte a jednak pełne rozkojarzonej alienacji, a więc estetycznie niedoścignione, publiczność wstawała z miejsc i urządziła mu owację, którą można by w wytarty sposób przyrównać do orkanu, ale nawet sto orkanów nie potrafi oddać tej furii entuzjazmu nawet w przybliżeniu. Sanitariusze wynosili na noszach zemdlone kobiety i anemicznych młodzieńców, adeptyw poezji, którzy, wbrew zaleceniom lekarzy, poważali się wziąć udział w tym wielkim i jakże niezapomnianym przeżyciu oszalałej ze szczęścia zbiorowości. Tylko kilku snobów ze starszej generacji na znak protestu zrywało krawaty z szyi i z zachrypniętym „Nie! Nie!” rzucało je na estradę. A nasz Theo z uśmiechem człowieka rozpieszczonego przez nadmiar powodze-

nia wolno zdejmował ze siebie frak i ciskał go między kotłujący tłum na widowni. Zawsze to samo: setki rąk rozrywały go na strzępy. Wrywano sobie włókienka „i”. Bito się o każdą niteczkę, upatrując w niej pamiątkę na całe życie, jeśli nie wręcz bezcenną relikwię.

Nic dziwnego, że coraz więcej profesorów wysuwało kandydaturę Theo Heinz Theo do nagrody Nobla. Pojawiły się w prasie naukowej analizy nowej szkoły „i”. Młodzież pisywała rozprawki magisterskie i doktorskie o sławnym nowatorze. Nawet moda międzynarodowa przyswoiła sobie „i-izm”. Także i pod względem antropologiczno-fizjologicznym „i” zrobiło furorę. Chłopcy i dziewczęta upodabniali się coraz bardziej do wąziutkiej literki „i”. Pewnego dnia przemysł samochodowy zapożyczył od literatury kształt samochodów. Pierwszy wóz typu „i” otrzymał Theo w podarku. Ale — *Timeo Danaos...* — ten prezent przeważał. Wracając z samochodowo-literackiej uroczystości do domu, poczuł że ogarnia go zniechęcenie, nagły przesyt przygodą duchową w tonacji „i”. Od tego czasu zaczął się na wieczorach autorskich jakaś, a raz nawet ziewnął w połowie „i” od ucha do ucha. Co gorsza, „i” wychodziło mu już z ust niechętnie, jakby znudzone i nieapetyczne, podobne do wysuszonej w słońcu dżdżownicy. I wtedy uświadomił sobie, że „i-izm” przesilił się, jak niegdyś krzesłonoga. Zużył się i, o smutku, ma się już ku końcowi! Przerażony tym odkryciem, wycofał się z dalszej działalności publicznej.

I znowu siedział na stołku, i męczył się, wyczerpując ducha. Tak, na tym samym stołku, który jeszcze tak niedawno temu zapoczątkował był nową erę w dziejach literatury światowej, a dzisiaj zdawał się być muzealnym rekwizytem z epoki dyluwium. W rozpacz znowu targnął się na alfabet, tę odwieczną trampolinę wszystkich akrobatów słowa. Próbował ujarzmić „z”. Wziął się za bary z „y”. Eksperymentował po nocy z „k”. Otworzył „o” jak puszkę sardynek. Ale wszystkie te usiłowania nie przyniosły pożądanych wyników. Nie panując nad sobą, jął się mocować z krnąbrnym „a”. Przepiłował, pociął, poćwiartował „a” w drobny mak. Nie dość na tym: wyspał opiłki do mózdzierza. Ścisłej mówiąc: do elektronuklearomózdzierza, nowego niemieckiego wynalazku „w służbie pokoju”, i nuże ucierać je jak żółtko, miazdzyć rozbijając na mikrodrobinki i pod-molekułki. Czuł że tylko tym sposobem zazna nowego olśnienia.

I rzeczywiście, przecucie nie zawiodło nowatora-bombardiera „a”! Ledwie wrzucił atomy „a” do tygła, w mgnieniu oka zaczęły się zrastać. Theo Heinz Theo wykrzyknął, wzruszony: — *Eureka! Meta-Literaturo-Fizyka nata est! Zachęco-*

ny powodzeniem, ucierał tłuczkiem atomiki słownej w mózdzierzu na nowo, a kiedy zaczęły wypuszczać bąbelki na dnie mosiężnego garnka, wpadł w istne delirium nowatorstwa, Zamknął oczy, stracił panowanie nad ruchami. Niczym tańczący derwisz zaczął krążyć wokół olejowego piecyka w sypialni, i w pewnej chwili — wrzucił słowną miazgę w rozpalone drzwiczki! Potężna eksplozja rozerwała piecyk w strzępy, a Theo Heinz Theo, pisarz-eksperymentator, wyleciał w powietrze na dudniącym grzybie o kształcie dużej litery „A”.

Pierwszy w dziejach eksperyment z dziedziny Meta-Literaturo-Fizyki zakończył się pełnym sukcesem. Z początku niewiele jeszcze o nim wiedziano. Tym bardziej, że Theo Hinz Theo wrócił na ziemię dopiero po dziesięciu latach. Nie tyle osobiście, co w postaci plomby, którą swego czasu dentysta założył pisarzowi w kształcie „i”. Dzięki ulepszonym metodom analizy uczeni wykryli tę relikwię w radioaktywnym deszczu, jaki spadł nad zachodnim Turkiestanem. Także i mikromolekuła „a”, osadzona na resztkach plomby, ułatwiła rzeczoznawcom identyfikację zasłużonego Kolumba najnowszej literatury. Szczątki te jeśli to państwa interesuje, oglądać można we wtorki i w piątki w Muzeum im. Theo Heinz Theo.

Warto jeszcze dodać, że przed kilku tygodniami prof. Mischen-dorf, chluba szkoły kontynuującej poszukiwania formalne „i-izmu” i „a-izmu”, oświadczył: „Nowe powinno ustąpić miejsca Najnowszemu!”. Miał na myśli formę pisarstwa ponadzwyczajnego, którego cechą rozpoznawalną jest jego absolutna niedo-słyszalność przy pomocy ucha i niedostrzegalność przy pomocy oka. Zamiast pisać, co jest już dzisiaj przykrym anachronizmem, wystarczy — bez potrzeby tak wulgarnej, jaką jest przekazywanie myśli, liter czy dźwięków — postać przez jakiś czas na podium z zamkniętymi ustami. Na imprezach artystycznych naszej autentycznej awangardy, która wyrosła już z niemodnej i przestarzałej formy „i” czy formy „a” (nie mówiąc już o archaicznej krzesłonodze!) coraz częściej można podziwiać osiągnięcia „ultrazwiewłowców”. Witani oklaskami tysięcy zwolenników, stoją na estradzie w milczeniu. Milczą, milczą i jeszcze raz milczą. Krytycy, rzecz prosta, z entuzjazmem przywitani ten nowy, i chyba nie ostatni, krok na drodze do osiągnięcia pełnej doskonałości formalnej. Ich pochwalne recenzje łatwo się rzucają czytelnikowi w oczy. Są to długie, puste, niezadrukowane szpalty w gazetach i czasopismach, z niecierpliwością oczekiwane i skwapliwie pochłaniane przez tysiące miłośników najnowszej literatury.

Ale, jak słyszymy, i ta moda zwolna zaczyna się przesilać,

Podobno ma ustąpić miejsca nowemu okresowi „medytacji z szybkością jednej dziesiątej sekundy”? Całe szczęście, że omszały klasyk, Theo Heinz Theo, nie doczekał tych czasów.

Hans Werner RICHTER

Satyre tę napisał Hans Werner RICHTER („Akcenty”, 1963) zaniepokojony falą abstrakcjonizmu i postkafkizmu, jaka podmywa stworzoną przez niego lewicową „grupę 47”, która z początku głosiła i wyznawała hasła literatury społecznie i politycznie zaangażowanej.

H.W. Richter, czołowa postać w życiu literackim Niemiec zachodnich (i wschodnich), autor powieści *Die Geschlagenen* (1949), *Sie fielen aus Gottes Hand* (1951), *Sturzen im Sand* (1953), *Du sollst nich töten* (1955), *Limus Fleck* (1959) jest laureatem dwóch cenionych nagród: Fontane-Preis (1950) i René-Schickele-Preis (1952). H.W. Richter dwukrotnie odwiedził po wojnie Polskę (pisaliśmy o tym w „Kulturze”). Ostatnio zaatakowany został przez CDU za uprawianie „niekonstruktywnej opozycji wobec rządu” i zorganizowanie akcji protestacyjnej przeciwko skandalicznemu najazdowi policji na tygodnik „Der Spiegel”.

ARBATZKI W JABLONCE

Przedziwne drzewo rośnie u nas, w Suleyken, oj przedziwne. Bez cygaństwa: najfrechowniejsze drzewo świata. Cudactwo zamorskie, a nie mazurskie drzewo. Co zaś na jego gałęziach dynda, to nie jakieś tam guślarskie sztuczki, jeno... Ale to musi być rychtik po porządku opowiedzone!

Trzydzieści cztery jabłunki miał Adam Arbatzki w swym sadzie, ale żadnej nie miłował tak okrutnie jak tej co dycht przy ganku stała. Jak się tak przyjrzeć temu miłowaniu, szkaradny był to tyjater, co ten wiślok Adam Arbatzki ze swoim drzewkiem wyprawiał: a to najlepszym mistem je okładał, a to w przymrozek piecykiem koksowym je ogrzewał. Ale to wszystko jeszcze nic: on się z nim, jak w Suleyken rzekocą, od czasu do czasu w gadkę wdawał. Rozmawiał sobie z jabłonią jak z żywym człowiekiem! I tak sobie furt i bez wstydu z drzewem gawędził, aż żona jego, młódka jeszcze, taka płocha marjelchen imieniem Zofija, podsłyszawszy jednego razu rzeczoną rozmowę, w takie odezwała się słowa:

— Adamie, małowówny mężu! Jak wiesz, tej zimy nauczyłam się rachować. I wyrachowałam sobie, że kiedy słońce świeci, zamieniasz ze mną cztery zdania. Przy deszczu zaś siedem, nie więcej. Ale teraz na własne przecie słyszę uszy, że z tym drzewkiem szkaradnym, co to gałęzi mi się frech przez okno do naszej

sztuby pcha, dziesięć zdań gadasz. Jeśli to, proszę bardzo, możliwe, wytłumaczysz się, Adamie.

Adam Arbatzki uśmiechnął się łagodnie, chocia nie lichy był zmęczony babską ciekawością. Myśli zbierał langsam, langsam powoli, i wreszcie cichym odpowiedział jej głosem:

— Moja żono, Zofijo, tych dziesięć zdań co do umiłowanego drzewka gadam, do siebie gadam. Bo ta jabłonka nic innego nie jest jak ja sam we własnej osobie. Jam ją zasadził, żono moja, nie dla szportu i zabawy. Dyc to moja jutrzejsza trumna z gałązkami. Kiedy umrę, wstąpię sobie na zawsze w to drzewko urodziwe. I tak hochkant stojąc będę, korą przyodziany, by oko dać na ciebie, Zofijo. Młodaś jeszcze przecie, żono, i płocha marjelchen, a kto młody, temu różne głupotki chodzą po głowie. Tymi słowami chciałbym cię ostrzec, żono moja Zofijo. Moja jabłonka, co przed gankiem stoi, zajrzy przez okno do naszej szlafsztuby. Kontrol pośmiertna, żoneczko. A niech no się tam coś opaczego w sroćku wydarzy, już ja się zamelduję, oj zamelduję!

Tak sobie grzecznie rozmawiali we wtorek przy wieczerzy, a już w środę rano Adam Arbatzki położył się do wytku. W czwartek zaś jego marjelchen felczera z Goroncej Gory wezwała do echt słabującego. Biedny Adam. Zamiast zwlec się z betów i przepędzić mądralińskiego ze sztywnym kołnierzykiem fort, posłusznie łykał co mu przynosili z apteki. Nic dziwnego, że eins-zwei-drei wyszedł z dechu, i to w samą niedzielę, kiedy akurat był czas na kawę z kuchem i szlagną. Co prawda, stary był już ten wiślok Arbatzki i od dawna do umierania usposobiony.

Tak i żona Zofija, płocha jeszcze marjelchen, o piękny pochówek z blasorkiestrą dla męża Adama zadbała. Jazkę jego, karierowaną, i spodnie, pumpenhosy-wyjściówki, proszkciem na mole ordentlich posypała, i z początku prowadziła się bez szkan-dalu. Ale pomałuśku, pomałuśku żałoba ciążyć jej zaczęła jak klacze chomato. Młode to było dziwcę i płochę jeszcze, więc krzątać się koło życia chciało, i to feste. Jak się tak krzątała, to po sztubie, to po ganku, to po sadzie, jednego razu stanęła sobie przed drzewem Adama Arbatzkiego, męża umarłego. Zamiast ci go obłożyć dymiącym mistem, polać ciepłą jałchą lub piecykiem koksowym ogrzać w przymrozek, — takie to już bywają na Mazurach gdowy: cisnęła weń rozeźlonym okiem. Nie dość wszeteczności: idzie sobie innym razem bez sad, a to gałązkę mu ułamię, a to trepami o korę zadraśnie, a to inne jeszcze szkaradne robi rzeczy, a chyba tylko po to, by sprawdzić czy stary Adam Arbatzki naprawdę się w tej jablonce skrywa. I tak jej to drzewko doku-czało, niby żdźbło w oku bliźniego. A kiedy obaczyła, że jabłoni na zaczepki głucha gałęzią nie grozi, liściem nie szumi, tylko milczy bez ruchu, wezwała do siebie parobka i tak mu przykazała:

— Zrąb nama oną jabłonkę, parobku! Ani to ładne, rosnać nie rośnie, stare drzewo i pokraczne, jabłka kwaśne rodzi, i tylko światło mi spróchniałymi gałęziami w szlafsztubie zasłania!

Parobek, niejaki Sbrisny, złapał więc za linkę i siekiere, i dalej się brać za Adama Arbatzkiego w drzewko wstąpił.

A teraz się pytam: któżby z nas, mieszkańców Suleyken, przypatrywał się beczynnemu, gdyby pierwszy lepszy parobas, niejaki Sbrisny, podszedł do niego z chytrym uśmiechem na lisim fisażu, linę mu zarzucił na szyję i rzgą próbował nogi przerzagać w kostce? Nikt, mam nadzieję, zimnej krwi nie zachowałby w takiej chwili. Rychtyk: także i po Adamie Arbatzkim, w drzewo po śmierci wrośniętym, trudno było oczekiwać czego innego. Ledwie się parobek z piłą do kory przybliżył, spuścił mu gałąź na głowę. Do domu biedaka, za Ełk, furką odwieźć musieli, i od tego czasu Sbrisny, chociaż żaden tam angsthase, nie chciał mieć z Adamowym drzewkiem nic a nic do czynienia.

Zezłoszczona marjelchen Zofija poszła zaraz pod jabłonkę. Oglądała się dokoła czy nikt jej nie widzi, i dzióbek mniodowy przyłożyła do popekanej kory:

— Adamie Arbatzki, mój zmarły mężu, niedobryś! Parobek Sbrisny pomagał ci rybaczyć i siano zwoził z pola. Nie godzi się go teraz twardą gałęzią tłuc po birnie!

Jabłonka milczała, a marjelchen Zofija poszła do szlafsztuby, by zebrać płocze myśli i z żalu pobuczeć.

— Traurig — mówiła do siebie — jestem taka traurig.

I zaraz sobie pod wieczór myślała: ma przyjść czy nie ma przyjść? No, ten Egon Zagel, luntrus, lorbas i lulacz ostatni, ale szeroki w barach jak cyrkuśnik. Tak sobie rozważała, bo ciągota ją nagła złapała w samym śródku gdowniej piersi. Im bardziej nad jeziorem ciemniało, tym trudniej jej było mocować się z tym „traurig” co je sam Czorny na marjelchen w lipcowy wieczór zsyła.

Wnet i przyjechał na kole Egon Zagel, włóczydrąg, czarna blerwa, ale chłopakawa, do hengsta podobny. Wiele się tam po sztabie nie rozglądał, mówić też nie lubił, ino zaraz się do zalotów zabrał. A to się, lulacz, fyrgał, muszkuły sztram w trykocie napinał, rzał gdownie prosto do różowego ucha. I już by się chyba marjelchen kisnąć poważyl i różne tam fiksum-dyr dum uczyniał, gdyby nie czujny Adam Arbatzki w jabłoni!

Zaskrzypiał, zazdrośnik, na wietrze. Zajęczał z bólu. I z całej siły-bęć!-gałęzią w okno. Ciepnał w strzechę heczy raz i drugi. Zastukał konarem w drzwi. Jakby łbem tłukł z rozpaczony w ścianę.

A Zofijka na to do lulacza Egona z taką zwróciła się prośbą:

— Egonie Zagel. Wyjdz, proszę bardzo, na dwór i połam mu

wszystkie gałęzie. Zwłaszcza tę, co tak frechownie do okna stuka.

— Porządek będzie zrobiony. Za jedną małą chwilę — roześmiał się lorbas w barach szeroki jak cyrkuśnik.

To mówiąc nóż zza cholewy wyjął i pod jabłoń pomaszerował. A gdy się na gałąź zamierzył, Adam Arbatzki mokrym listowiem zatrząsał się cały z oburzenia. Co sprawiło, że zalotnik przemókł do suchej nitki. Już się lachunder Zagel cofnąć chciał o krok dla lepszego rozbiegu, kiedy Adam Arbatzki nogę mu, a raczej: korzeń zrecznie podstawił. Potknął się więc dykus jak długi. I tak się jakoś głupio przekręcił w tym upadku, że jeszcze własny nóż wbił sobie tam gdzie nie trzeba. Czyli, za przeproszeniem mieszkańców Suleyken, w tylny policzek. A przerażona Zofija wej musiała mu wyjmować tenże wichajster z rzeczonyj okolicy. Tak się ta nocka miłości skończyła. I chyba nie potrzebuje już być powiedzone, że szeroki w barach Egon Zagel, hengst nad hengsty, ulotnił się z Suleyken bez żadnego humoru i szybciej niż wiatery.

— Zrób, co zginiesz! — zawołała za nim marjelchen Zofija.

— Traurig, jestem taka traurig.

I zaczęło się rozchodzić po Warmii i Mazurach, że coś z tym Adamowym drzewkiem nie sztytuje. I angst złapał gburów w całej okolicy. Ten i tamten, nastrachany, myckę przed nim, jak przed świętą figurą, ukradkiem zdejmował. Lub na spacerze przez sad grzecznie jabłonkę zagadywał. A że pogoda latoś do powietrza, że ryby nie biorą lub siano zmokło na polu. I żaden się już więcej zalotnik na marjelchen Zofiję nie obzerknał, nawet z odległości, co biedną gdownią pierś na przemian unosiło w górę, to znowu w dół opuszczano.

— Traurig — popłakiwało dziwczę — jestem taka traurig.

I tak przez kilka długich księżyców żyła sobie ożałobiona dziołcha w cierpieniu dusznym i dużej bezradności. Jeny w jej pięknej główce furt się ten sam szpuk kolebał: jaki tutaj plan wymyślić, by się staremu Arbatzkiemu dobrać do skóry.

Jednego razu sprowadziła sobie parobka z daleka, bo aż z Schissomira, wiśloka ponurego, nazwiskiem Strichninski, który o całej sprawie nic nie wiedział. I jakie też mu polecenie daje Zofija rozszoszczona?

— Weźmiesz, Strichninski, pochodnię — rozkazuje — i podpalisz jabłonkę!

Bierze więc Strichninski kawał workowego płótna, okręca go na knyplu, zanurza w smole, podpala i — marsz! — na wskazane przez marjelchen drzewo. Może się to wydać prawdziwe lub nacyganione, ale pochodnia odskakuje od jabłoni. A płomień bucha wprost na Strichninskiego. Osmalił mu cyferblat. Uciekł, przerażony z sadu. Aż do Schissomira.

Idzie Zofija z błyszczącym okiem do sadu, by pogadać z Adamem Arbatzkim w drzewo wstąpionym. Gdera, nogą tupie, szympfunguje a piąstką w korę tłucze. Ale on milczy, niby niewinna jabłonka. I już chciała się pogodzić ze swoim losem, biedna białka, gdy się nagle u nas, w Suleyken, nowy ogrodnik pojawił, ot, taki niepozorny kurdupel. Mały bo mały, w barach wąski bo wąski, ale zato w głowie — ho-ho! Nazywał się Butzereit. A że o nieszczęściu marjelchen Zofiji niejedno już przy pziwie w Kukielkach słyszał, w takie się zaraz odezwał słowa:

— Wej, wej, tyle się o tym waszym Arbatzkim godo co o Panu Bodze. A mnie to furt do myślenia daje. Na mój rozum to jest tak: każdy bez wyjątku, czy to człowiek czy to gad, broni się jak może, jeśli mu się gwałtem do skóry dobierać. Wszak mam recht, marjelchen?

— Masz recht, ogrodniku Butzereit — przyznała Zofija.

— Trzeba się inaczej zabrać do Arbatzkiego. Zapłaćcie, a już tam coś obmyśle...

— Będzie zapłacone! Co do fenyga! — zawołała.

— Już tam zapłatę sam sobie odbiorę, i to nie we fenygach! — zaśmiał się mikrus frechownie i wziął gdownę za rękę. — My go zjednamy sobie dobrocią. Ozdobimy go, wypięknimy. Drzewa i mężczyźni, to próżny jest gatunek. Łagodnie z nimi trzeba, łagodnie. Nigdy nic na siłę...

I zaraz się ogrodnik Butzereit fachowo wziął do dzieła. Dalejże jabłonek gładzić grzecznie po gałęziach i liściach. Podlewał ją u dołu echt jałchą sprowadzaną z Kukielków. Robaki z konarów delikatnie zdejmował. Opatulał drzewko na noc watą i pakułami. A to pień któregoś dnia pobieliał wapnem, by insekty nie dokuczały staremu Arbatzkiemu pod korą. I wreszcie — największy kunszt ogrodnika! — do uszlachetnienia drzewa się zabrał. Do zaszczepiania różnych cudactw. Niby to orderów albo innych krojców. Dobre słówka prawil jabłonce. I ani się nie spostrzegła, już jej gałązkę wetknął z obcego drzewa. A to orzech, to kasztan, to kruszkę. I tak niczego złego nie podejrzewającego Adama Arbatzkiego nadziewał grzecznie obcymi szczepionkami, gałązkami, pędzikami. Jedno obce ciało za drugim. Z wiśłokami tylko dobrocią. I pochlebstwem.

— Pięknyś, Adamie Arbatzki — basował mu przy tym czule — i coraz to szlachetniejszy. Do twarzy ci z kruszką na wierzbie. A jaki fajny orzech zwisa ci z gałęzi!

I tak go Butzereit zwolna i łagodnie własnej pozbawił natury. Z dawnego Adama Arbatzkiego, który furt rozgałęział się, gubił w obcym przybytku i zanikał, ostał się z czasem pień. Bezsilny i nieszkodliwy, zadowolony ze siebie pień.

Teraz już wiecie co to za ekstra-drzewo rośnie u nas, w Suleyken. Cudactwo zamorskie, a nie mazurska jabłonka. Dziwoląg, wybryk natury, jedyny okaz na calutkim świecie.

Staje przed nim nieraz marjelchen Zofija, już nie gdowa. W oczy zagląda Butzereitowi i rzekoce:

— Butzereicie, mój drugi mężu. Już nie jestem taka traurig.

Siegfried LENZ

Siegfried LENZ, powieściopisarz, nowelista i dramaturg, ur. 1927 pod Elkiem na Mazurach. Studium filozofii i anglistyki. Podczas wojny zaciągnięty do marynarki, dostał się do brytyjskiej niewoli. Mieszka w Hamburgu. Autor powieści *Es waren Habichte in der Luft* (1951), *Duell mit dem Schatten* (1953), *Der Mann im Strom* (1957), *Brot und Spiele* (1959); zbioru nowel *Das Feuerschiff* (1960), oraz dramatu *Zeit der Schuldlosen* (1961). Powieść *Das Stadtgespräch* (1963) na liście „best-sellerów” w NRF. Laureat nagrody im. Lessinga (1953), im. Gerharta Hauptmanna (1961), miasta Bremen (1962). Opowieść regionalna o Adamie Arbatzkim wyjęta ze zbioru szkiców mazurskich o wymyślonej wiosce Suleyken *So zärtlich war Suleyken* (1955).

Polonofil, Siegfried Lenz, chociaż jest laureatem nagrody wschodniopruskiej, wyraźnie się odcina od wszelkiej działalności politycznej o charakterze rewizjonistycznym. Członek „Gruppe 47”.

WIERSZE O POLSCE

WILNO

*Wilno, bzie kwitnący.
Zielonym okiem
zatonął twój wilczy czas.
Niedźwiedź, tur i odyniec.
Spłoszone graniem rogów
Giedymina zwierzęta
dopały brzegu Niemna.
Dyszac w gestwinie dębów,
zerknęły w dół. O blasku
i mroku tamtych dzikich dni
śpiewał Mickiewicz. Jak lekko
tkliwa przefruwa Wilia.
To niebo. Bielsze od wiejących
płócień. I brzozy taniec
jaśnieje za łanem.
Już nie śpiewa Lizdejko.
Brodaty, mówią, usnął,
ukołysany nieustannym*

rozpryskiem fali
 na splukanym piachu,
 gdzie po środku jeziora
 sterczy ruina zamku,
 czarny ślad czasu.
 Jego pieśni jak leśny brzeg,
 co biegnie wzdłuż Wilii w podskoku,
 jak krok taneczny
 wileńskiego wiatru,
 co krąży wokół czoła
 pańskiej córeczki.
 Miasto królów, jeszcze
 śpiewają kotliny,
 gorzkie od synowskiej krwi.
 Tobie ten głos siwobrodęgo,
 ostry jak pęknięcie kry,
 i boleść świąteczna Żyda,
 sosen czerwony szum.

RAPORT

Bajła Gelblung
 z warszawskiego getta
 uciekła z transportu
 dziewczyna w lesie
 ujęta pod Brześciem
 z bronią w ręku
 partyzantka
 w polskim płaszczu wojskowym
 przestuchana przez niemieckich
 oficerów
 fotografia w załączeniu
 mundury nienaganne
 twarze bez zarzutu
 sumienie na miarę

MICKIEWICZ

Przede mną bór dębowy.
 I zamek niemy. Świeca matki
 przed Obrazem wileńskiej Bramy.
 Na rzece wiały żagle.
 W dymach spadał jastrząb

w niebieskościach.
 A za nim czerwony wieczór.
 Spadł czas miast i ulic.
 Lawina skał Krymu w morze.
 Obłok kurzu na drodze.
 Ten wóz przez step Akkermanu płynął.
 Przywyknąć do szczęścia.
 Mówią: to takie proste.
 Ale czy głos mój doniesie?
 Kładę głowę pod mur Paryża
 i pijam tamto niebo jak usta.
 Widzę przestwór strzelisty,
 jastrzębia nad dębina
 i cięciwę rzeki w kotlinie.
 Pod jaskółczym skrzydłem
 poranek zroszony
 nad wioską, nad lasem.
 Lecz wstanie dzień
 potyskujący gniewem i zbroją.
 Nadejdę, kotysanek syt
 i zmęczony słowem.
 Tylko Etiudy lot nad czołem.
 Przystanę na stoku wzgórze,
 wsłuchany w tamten krzyk,
 by pieśni odszukać drżącymi wargami
 i szepnąć: to takie proste.

NAD RZEKĄ

Przyszłaś
 księżycową drogą,
 blaskiem starego obrazu
 z Ostrej schodzisz Bramy.
 Ścieżką zesłałaś nad rzekę.
 Blasku wieczorny,
 opadający kurzu troski,
 pod wiatrospadem
 znikasz w locie jaskółki.
 Dziewczyno,
 spojrzenie w błysku sitowia.
 Wzywalem cię przez cały długi dzień
 Napętnij mi ręce mokrym piachem,
 łakną wilgotności.

Odetchnijmy ciemnością głębiej.
 Czy postyszałem cię poprzez rzekę?
 Poprzez ptaka w górze?
 Poprzez rybę w głębi rzeki?
 „Miły, słyszę plusk w głębi wody
 i trzepot skrzydeł nad głową.
 Nie odchodź ode mnie”.

Johannes BOBROWSKI

Johannes BOBROWSKI, ceniony liryk średniego pokolenia, urodził się w r. 1918 w Tylży. Matura w Królewcu, tamże studium historii sztuki przerwane wybuchem wojny. W czasie wojny: we Francji, Polsce, północnej Rosji i w Kurlandii. Obóz jeniecki pod Rostowem. Po powrocie osiada we wschodnim Berlinie (1950), gdzie zostaje lektorem jedyne go nie komunistycznego wydawnictwa UNIONS-VERLAG. Autor *Hans Clauert* (książki dla dzieci) i dwóch tomików wierszy: *Sarmatische Zeit* (1961) oraz *Schattenland Ströme* (1962). Laureat nagrody Alma-Johanna-Koenig-Preis (Wiedeń) oraz „Gruppe 47” (Berlin 1962). Daleki krewny Conrada, w twórczości swej często obiera za temat krajobrazy ziemi wileńskiej. Ostatnio zaatakowany przez funkcjonariuszy Kulturalnych SED za kontakty z pisarzami zachodnio-niemieckimi.

Opracował i przełożył z niemieckiego
 Tadeusz NOWAKOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
 W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Jacek

Od kilkunastu lat znam Jacka. Spotkałem go po raz pierwszy w domu studenckim utrzymywanym z funduszków polskiego wojska na Zachodzie, w miejscowości kuracyjnej Uriage koło Grenoble. Był to rok bodaj 1947, miesiąc lipiec chyba. Nie pamiętam szczegółów mej podróży z Paryża, nie pamiętam jak dotarłem do polskiego „Ośrodka”. Pierwsza we wspomnieniu moim zachowana scena, to posiłek w jadalni. Obiad? Kolacja? Wizja moja jest utrzymana w kolorze szarym, sala jest ciemnawa, źle oświetlona. Może to jest południe a zamknięto okiennice, może wieczór? Przy stolikach restauracyjnych (ośrodek był dawniej hotelem) mocno brudnych szarością zużycia, siedzą jak na obrazku niedbałą kredką nakreślone postacie: studenci, studentki, ubrani w powojkowe stroje koloru „khaki”. Widzę ich ubiory, ogólny koloryt sali, ale twarze są zatarte, może nigdy przeze mnie nie zauważone. Z mgły zapomnienia, nieuwagi, wybija się jedna sylwetka: Jacek. Pamiętam stolik przy którym siedzi samotnie. Mundur oficerski wydaje mi się w stylu przedwrześniowym. Dużo wstążeczek orderowych, twarz jak na pełnego porucznika młoda, prawie sztubacka, o rysach grottgerowskich („kucie kos”). Oczy, i to może wyjaśnia całą dalszą tajemnicę losów Jacka, piwne i słowiańskie w swej uczuciowości i naiwności. Jakże inne od twardych, błyszczących oczu francuskich.

Długo wtedy z Jackiem rozmawiałem. Opowiadał o politycznej odprawie zorganizowanej w Paryżu przez ministra rządu emigracyjnego w Londynie, dla wtajemniczonych niepodległościowych działaczy. Udział brali również oficerowie sztabowi przejeżdżający z Włoch. Marginesowo pamiętam jak drażniło mnie, że Jacek, prosty na ogół w swym słownictwie, mówił „na-

sza centrala na Champs Elysées". Czułem, że za tą emfazą kryje się podświadoma satysfakcja, że on, Jacek, z ulicy Dantyszka w Warszawie naradza się w Paryżu z wodzami emigracji.

Polityczne tezy Jacka były odbiciem stanowiska rządu na wygnaniu oraz kół wojskowych. Streszczały się one w wierze w bliski konflikt światowy; Jacek serdecznie i smutno mówił o nieuniknionej nowej a krwawej wojnie, o potrzebie utrzymania w „gotowości bojowej i gotowości serca” polskiej młodzieży na emigracji. Przewidywał jakie zadania strategiczne zachodni alianci powierzą polskim jednostkom. Będąc łapczym czytelnikiem francuskiej prasy — negowałem możliwość bliskiego starcia między dwoma blokami; Jacek z łagodną wyższością mówił, że wszystkiego nie może powiedzieć, że wszystkiego sam nie wie, bo to sekrety wojskowe, ale że minister T., pułkownik Y. i major Z. dzięki swym kluczowym kontaktom mają dane o sytuacji, że na podstawie tych danych dają instrukcje, ustalają wytyczne akcji, oparte na pewności bliskiego konfliktu. Jedynie MSZ emigracyjne nie znajdowało łaski w jego oczach. Te dyplomatolki to okropne defetysty — skarżył się pół żartem pół serio.

Tego samego dnia czy może dnia następnego siedziałem z Jackiem na tarasie przed małą kawiarenką położoną po drugiej stronie uzdrowskiej drogi, naprzeciw polskiego ośrodka. Do kawiarni wszedł oparty o łaskę-kij, siwy pan, niegdyś zapewne szczupły, a wtedy ozdobiony okazałym brzuchem. Twarz rozumna, uśmiechnięta dobrocią, ale i dowcipem. Ubrany w jasną koszulę z krótkimi rękawami i szqrty, pod pachą trzymał dwie grube książki. Jacek natychmiast zaprosił go do naszego stolika i wymawiał mu współpracę z socjalistycznym miesięcznikiem „Światło”. „Jak może pan drukować u nich swe utwory, powierzać im wyjątki pańskich powieści, przecież oni namawiają do powrotu” — oburzał się Jacek podnosząc coraz bardziej głos. Zaniepokojona właścicielka kawiarenki wybiegła na taras zobaczyć co się dzieje. Ale ujrawszy starego siwego Polaka szybko zawróciła, uspokojona, do swych zajęć. Znała go dobrze i jego niekończące się dyskusje z rodakami. Jacek nadal się podniecał i robił gorzkie wyrzuty. „Nawet jeśli pan neguje rychłe nadejście konfliktu, musi pan przyznać, że masy wychodźców są wobec świata żywym świadectwem gwałtu dokonanego na narodzie i państwie polskim”.

Tyle pamiętam; reszta utonęła gdzieś w gęstych i mrocznych mgłach dnia minionego.

Poprzednie losy Jacka znam z opowiadań wspólnych kolegów.

Z przyjaźnią prawdziwą o Jacku opowiadał mi zawsze lekko ironiczny eks-polski podchorąży, Dawidek, przerobiony na Staszka w wojsku na obczyźnie, średniego wzrostu, szczupły wygadany brunecik o mocnych ciemnych brwiach, szerokich wargach i nosie kształtu gruszki.

„Jacek wyskoczył w początku wojny z Polski, by włączyć się w rytm wielkiej sprawy alianckiej, by walczyć u boku Brytyjczyków z hordami Hitlera” — mówił Dawidek umyślnie pompatyczny. — Jacek miał wtedy lat około dwudziestu, pomrukiwał, bo śpiewać nie umiał, słowa Roty: „Nie damy ziemi skąd nasz ród” oraz piosenkę o żołnierzu-tułaczcu. Było jasne, chyba od początku, że Jacek to kandydat na bohatera, że chciał być żołnierzem z piosenki romantycznej a rzewnej. Jacek zdążył jeszcze bić się we Francji, wysadzić, ku oburzeniu miejscowego mera, jakiś most pod ogniem niemieckich kulomiotów; spod tych samych kulomiotów wyciągnął arystokratycznego francuskiego oficerka, który upierał się walczyć gdy jego żołnierze myśleli tylko o wianiu. Później władował się na statek, wylądował w Anglii, ale długo tam nie wysiedział. Zwyciężył opory biurokracji wojskowej i zostawiwszy mniej bojowych kolegów w biurach londyńskich sztabów, czy przy kopaniu rowów w Szkocji, znużony oczekiwaniem na coraz bardziej problematyczną inwazję, znalazł się pewnego dnia na froncie afrykańskim. Chłopak miał fantazję; fantazja ta przyniosła mu wiązkę alianckich i polskich dekoracji, ale też samotną noc na pustyni z kulą w płucach. W głowie szumiały mu stare sentymentalne melodie. Jacek w szpitalu mrucał te piosenki, w gorączce coś mówił o jakimś wiejskim krajobrazie, o krzyżu drewnianym, o mogile powstańców z roku 1863. A że stale się uśmiechał, nikt nie wiedział czy gorączkuje, czy z samego siebie żartuje, czy po prostu umiera. Tę ostatnią wersję przyjął wojskowy lekarz. Stary warszawski chirurg mówił nam: „Bredzi coś, bo przyszła kryska na Matyska”. No, ale chirurg pomylił się. Jacek wyżył. Straciłem wtedy tego bohatera z oczu — ciągnął ex-Dawidek — ale w roku 1945 spotkałem go w Paryżu; dowiedziałem się wtedy, że gieroj zmienił się w działacza. Na gwałt się uczył po francusku, by uświadamiać tubylców o światowej sytuacji politycznej. Generał kazał miecz przekuć w słowo i walczyć na polu propagandy. Tak Jacek sam mi oświadczył, żądając mojej współpracy i mówiąc: „Ty przez twoich Żydów mi pomożesz”. Jak akcja propagandowa miała wyglądać, nie miał pojęcia; od czasu do czasu miewał jednak sukcesy, stawiał parę kolejek francuskim oficerom, robił im długi wykład o Lwowie, Wilnie, Powstaniu Warszawskim, no i po piątej kolejce otrzymywał deklarację: *La Pologne digne*

et malheureuse aura toujours notre sympathie, ces Russes sont quand même des salauds. Po takiej libacji i propagandowym sukcesie redagował natychmiast długi raport do swych szefów w stylu: „Sympatie i zrozumienie sprawy polskiej w armii francuskiej”. Cóż ja mogłem mu pomóc? — skarżył się Dawidek — zrobiłem jedną rzecz: odstawiłem od niego starego cwaniaka Levi’ego, który starał się od biednych Polaczków wydobyć przez Jacka forszę na wydawania broszur informacyjno-propagandowych, które zaraz po wydaniu starannie wyrzucał na śmietnik podmiejski, twierdząc, że je rozdał ważnym Francuzom. Był to z mej strony heroizm, bo stary Levi do dziś uważa mnie za świnię, popsulem mu dobry business”.

Tyle mi opowiedział w roku 1950 w „Café de la Paix” ex-Dawidek, który w międzyczasie już awansował z Dawidków i Staszków na Jean-Stanislas i pracował w dużym paryskim piśmie wieczornym jako spec od polityki międzynarodowej.

W roku 1951 sam przypadkiem Jacka odnalazłem. Fundusze propagandowe i wojskowe kończyły się wyraźnie. Jacek był teraz w materialnie ciężkich warunkach; z oficerskiego hotelu na Boulevard Montparnasse przeniósł się do *chambre de bonne*. Szóste piętro zamożnej kamienicy na bogatej Avenue de Wagram. Do Jacka wchodziło się obskurnymi schodami służbowymi, windy ani śladu. Pokój ciemny, jedno mansardowe okno nawet bez widoku na Paryż, perspektywę zastłaniała frontowa część domu; naprzeciw okna innych pokoi służbowych i szary dach. W pokoju przykryte niebieskawą, naddartą kapą łóżko, pod oknem stół, blaszana umywalka. Po wodę trzeba było chodzić na korytarz. Jacek gotował własnego pomysłu zupy, do których wrzucał kawałki mięsa, jarzyny, płatki owsiane. Miał alkoholowy grzejnik.

Studiował teraz prawo na Faculté de Droit koło Pantheonu. Dlaczego prawo? Skąd decyzja nauki? Zaczepiwszy się o robotę polską we Francji uważał, że powinien tu zostać. Do Angliijechać nie chciał. Gdy skończyło się wojsko zaproponowano mu stypendium. Major od propagandy na wyjeźdźnym doradził: „Ucz się pan”. Wybrał prawo, bo zupełnie nie wiedział co wybrać, nie wiedział jak długo zostanie na Zachodzie, stale liczył na konflikt światowy, był nadal zahipnotyzowany mitem bliskiej wojny. Nadal uważał się za żołnierza i łatwo znosił biedę, obskurny pokój. Do powojennej pogoni za normalnym, w mieszczańskim pojęciu, życiem, nie włączył się. Od uświadomienia sobie

własnej nędzy ratowało go stałe obracanie się w kręgu działaczy niepodległościowych o zbliżonej stopie życiowej.

Znowu zupełnie Jacka straciłem z oczu. Wiedziałem tylko, że kończy studia, że zdaje egzaminy. Później zaczął pracować w dużej francuskiej firmie asekuracyjnej.

I nagle pewnego sobotniego poranka spotkałem Jacka na Place de l’Alma. Starałem się wypytać go o jego nowe życie, o pracę zawodową. Temat ten zupełnie go nie interesował. „Nie ma o czym gadać, to tylko prowizoryczne zajęcie” — odpowiedział z wyraźną irytacją. Interesowała go nadal tylko wielka polityka oraz problemy polskiej emigracji. Podniecał się wojną w Korei. Z każdego słowa wynikało, że całe jego paryskie bytowanie jest tylko oczekiwaniem na dzień X, na moment wybuchu trzeciej wojny światowej. W końcu jednak zdołałem zeń wydusić parę informacji o jego obecnej pracy i dowiedzieć się, że szans awansu w swej firmie Jacek jako cudzoziemiec praktycznie nie ma, że jest trzymany na bocznym torze. Mówił też, że stosunki z kolegami układają się dobrze, choć od czasu do czasu musi wysłuchiwać uwag, że cudzoziemcy są plagą, że powinni więcej pracować od swych francuskich kolegów. Jeden z kolegów wysunął nawet tezę, że właściwie obcokrajowcy powinni płacić więcej podatków, bo ostatecznie miejscowi powinni mieć jakąś korzyść z tego że im w swym kraju mieszkać pozwalają.

Po tym spotkaniu na Almie znów Jacka na lata straciłem z oczu. Dalszych informacji o nim udzielił mi spotkany też paryskim przypadkiem Jean-Stanislas, dawny kolega Jacka, Dawidek. A stało się to tak: w sobotnie popołudnie zadzwonił do mnie dawno niewidziany przyjaciel z Londynu; był przejazdem na dwadzieścia cztery godziny. Koniecznie chciał tego wieczoru mnie zobaczyć. Przyjąłem zaproszenie i o 7-ej wieczór spotkaliśmy się w kawiarni. Po chwili nadszedł Jean-Stanislas. Zaczęło się poszukiwanie i wybieranie restauracji, w której można by spędzić wieczór. Jean-Stanislas niespodziewanie zaproponował restaurację Jacka. Zdziwiłem się niepomiernie podobnie jak znajomy z Londynu, który również z pierwszych lat powojennych Jacka pamiętał. Jean-Stanislas śmiejąc się rzucił: „Jak widzę, nie znacie kulis emigracyjnego życia Paryża”. Wsiadliśmy do taksówki i po kilku minutach wylądowaliśmy przed niedużą, i sądząc z wyglądu zewnętrznego średnio-elegancką restauracją w 15-tej dzielnicy. Po otwarciu drzwi buchnęło na nas zapachem wódki, piwa, bigosów i nienajlepszych chyba tłuszczy. Lokal był zadytmiony i słabo oświetlony. Lampy w dużych żółtych abażurach, na

ścianach pseudo-stare portrety, łysy szlachcic w kontuszu z dużym wąsem, ułańskie ryciny, szabla na makacie. Nad barem kolekcja dziwnych fajek.

Pierwszą osobą, jaką wchodząc do lokalu zobaczyliśmy, był Jacek w ciemnoniebieskim ubraniu ze wstążeczkami orderowymi w klapie marynarki. Poza krojem ubrania i nowym złotym sygnetem na palcu, nic się chłopak nie zmienił. Zawsze chudy, może chudszy niż dawniej, no i bardziej niż kiedykolwiek grottgerowski. Twarz wyschła, ale nadal młoda.

Powitanie było serdeczne. Jacek zainstalował nas w salce restauracyjnej przy dużym, wolnym jeszcze stole. Odszedł wydać zarządzenia kelnerom, obiecując wrócić, by z nami pogadać.

W międzyczasie Jean-Stanislas wytłumaczył nam zasady funkcjonowania lokalu: „Restauracja ta jest rodzajem klubu, ludzie tu poznają jedni drugich, flirtują, gadają, no i z lubością plotkują. Kilka rzekomych aktoreczek, i modelki z domów mody, dużo Słowian i innych cudzoziemców, najmniej Francuzów. Przychodzą przeważnie znajomi i znajomi znajomych. Rolą Jacka jest grać pana domu, dbać by goście się nie nudzili, ułatwiać im poznanie przyjemnej dziewczyny. Nie myślcie tylko, że tu jest rodzaj burdelu — dodał znizywszy głos — o nie! wszystko odbywa się w formach towarzyskich. prostytutki nie mają tu wstępu”.

Słuchając Jean-Stanislasa rozglądałem się po lokalu. W salce, w której siedzieliśmy, były tylko dwa stoły poza naszym. Każdy obliczony na sześć do siedmiu osób. Przy jednym z nich dwóch starszawych Amerykanów, chyba środkowo-europejskiego pochodzenia prowadziło ożywioną rozmowę z trzema młodymi paniami. Przy drugim stole stary aktor filmowy, znany mi z filmów kategorii B i jakieś fertyczne czterdziestoletnie Rosjanki a może Rumunki? Pito sporo piwa, ale i butelki wódki wypróżniano szybko. Rozmowy stawały się coraz głośniejsze, co chwila dźwięczał alkoholem i ekscytacją zdarty śmiech jednej z pań. Siedzący przy barze ciężki i gruby facet, pięćdziesięciolatek ubrany z przesadną elegancją w jasnobezowe ubranie o wążutkich spodniach, skrojone jak na młodzika, opowiadał o swych kluczowych kontaktach w świecie filmu dwudziestoletniej paniencie. Panienska jednak stale rozglądała się po sali i nie bardzo słuchała.

Jakiś tłusty młodzieniec o mocno semickich rysach tłumaczył amerykańskiej przyjaciółce swą słabą angielszczyzną: *Look at this people they are very central Europe.*

Jedzenie okazało się znośne. Barszcz *à la polonaise*, o ileż lepszy od częściej spotykanego w Paryżu barszczu małopruskiego, był wyjątkowo klarowny i delikatny. Niestety gulasz, podany

na drugie, był wyraźnie odgrzewany. Jacek podszedł parokrotnie do stolika, by postawić nam wódkę.

Jean-Stanislas pokazał nam wchodzącą do lokalu czterdziesto- paroletnią, wysoką ciemną brunetkę, o agresywnej i inteligentnej twarzy. Nie była klasycznie piękna, ale zwracała uwagę. Biło od niej energią, sprytem, pewnością siebie. Wyraźnie odbijała od kobiet przy stolikach. „Oto egeria Jacka — wyjaśnił Jean-Stanislas — Marie-Julie, eks-śpiewaczka, dość średnia zresztą. Po mężu, wielkim handlarzu z hal paryskich, odziedziczyła sporo forsy. Mąż był grubo starszy, no i szybko dość kipnął. Marie-Julie, czy też Marie-Juliette, zręcznie kontynuowała męzowski handel jakichś tam warzyw *en gros*. Wieczorami stale bywała w pseudo-artystycznych i pseudo-literackich kawiarenkach „elit intelektualnych” na St. Germain-des-Prés. Pod wpływem swych przyjaciół, młodych malarzy neosurrealistów, zaczęła trochę malować. (Śpiew zarzuciła dawno, zaraz po ślubie z bogatym kupcem). Miała forszę, więc protegowała różnych młodych estetów, marzył jej się salon literacki. Mieszkanie jej jednak szybko zasłynęło nie literaturą, ale orgijkami. Jej party były cenione, żadnej nudy, po dwunastej wieczór — a przyjęcia te trwały do późna — na każdej kanapie uprawiała ekshibicjonizm jakaś parka, lub trójką. Mimo bardzo przyciemnionych czerwonymi abażurami lamp zawsze można było odkryć butelkę whisky.

„Dwa lata temu spotkała Jacka na bretońskim wybrzeżu. Jacek, tak inny od jej środowiska, oczarował ją. Dotąd żyła w świecie pozy na dekadencję i kultu paradoksu. Jacek był dla niej przybyszem z innego świata. Jego pasja polityczna, jego naiwność i prostota, jego szczupła, wysoka, sportowa sylwetka, jego styl oficerski i zarazem romantyczny spodobały się jej. W ciągu dwóch dni zdecydowała się wziąć go w obroty. No i udało się. Na początku ich miłości spotkałem Jacka kilka razy w buduarowym mieszkaniu Marie-Juliette w 7-iej dzielnicy. Wiadać było, że pod jej wpływem olbrzymie przemiany zachodzą w chłopaku, a raczej w jego sposobie rozumowania i oceniania rzeczywistości. Marie-Juliette wybijała mu z głowy chęć brania udziału w życiu politycznym emigracji. Śmiała się, gdy mówił o konieczności uświadamiania Zachodu o sytuacji w Polsce; tłumaczyła mu przy mnie, że ta cała propaganda to absurd, i tak wszyscy, co się tą sprawą interesują, doskonale wiedzą co się w Polsce dzieje. Nic i tak pomóc nie można, a nawet jeśli by można, to nikt nie będzie się narażał Rosji; tu ludzie chcą przeżyć, no a później rzeczy jakoś same się ułożą, może w Rosji nastąpią zmiany, a zresztą będzie to kłopot następnych pokoleń. Jacek przekonać się nie dał, niemniej żyć zaczął inaczej.

Równocześnie Marie-Juliette sfinansowała Jackowi knajpkę. Słuchaliśmy Jean-Stanislasa.

Tymczasem Jacek i Marie-Juliette podeszli do naszego stołu. Jacek przedstawił nam Juliette, która po paru minutach rozmowy zaprosiła nas na drinka; miał się on odbyć w jej mieszkaniu następnego dnia. Wyraźnie interesowali ją polscy znajomi Jacka; dotąd znała chyba tylko Jean-Stanislasa, ale był on tak nieuchwytnym kosmopolitą, że nie mógł służyć za materiał eksperymentalny do studiowania Polaków.

Następnego dnia z wieczora winda wwozła mnie na szóste piętro dość banalnego XIX-wiecznego domu w 7-ej dzielnicy. Otworzyła mi Marie-Juliette w spodniach, było kilka osób o twarzach już mi znanych z St. Germain-des-Prés. Mieszkanie było niesamowite w swej oryginalności; utrzymane w stylu, który złośliwy Jean-Stanislasi określał jako styl cocotte-Clichy-Constantinople. Olbrzymia ilość makat, sof, marokańskich poduszek, tac kutych w miedzi. Na ścianach wisały oprawne w czarne ramki rysunki diabełków oraz średniowieczne instrumenty tortur; stare kajdany, bicze, dziwaczne łańcuchy. Jeden z pokoi meblowała zawieszona na specjalnych hakach kolekcja peruk, a w sieni królował wypchany kruk i ludzki szkielet, w rogu gabloty fajek do palenia opium.

Marie-Juliette zaciągnęła mnie na małą, stojącą trochę z boku kanapę, nakrytą lwią skórą. Pani domu zapaliła amerykańskiego papierosa w długiej, dziewiętnastowiecznej fajeczce i ku memu zdziwieniu zaczęła w sposób prosty i szczery mówić o sobie i Jacku. Z opowiadań Jean-Stanislasa oceniałem ją jako osobę o stylu teatralnym i sztucznym. Byłem zaskoczony jej prostotą. Marie-Juliette mówiła mi, że Jacek przez lata żył na księżycu złudzeń i oczekiwań, że byłoby z tym czas skończyć. Ze naturalnie nie jest całkiem zadowolona z jego obecnego zajęcia, ale że on doskonale zaadaptował się do nowej pracy i co ważniejsze, potrafił zostać sobą, zachować swój romantyzm i swój własny styl. Powiedziała mi też: „Wiem, że wasi Polacy krytykują mnie, mówią że zrobiłam z Jacka podejrzanego stręczyciela młodych dziewczyn turystom! To absurd. Pewno, w jego lokalu panowie poznają dziewczęta, wiedzą że mogą spotkać tam modelki czy nawet aktorki o cnocie wątpliwej. Ale cóż w tym znowu takiego, ileż najszykowniejszych paryskich salonów zaprasza osoby młode i o nienajlepszej reputacji, by przyciągnąć wielkich reżyserów, milionerów, sławnych pisarzy, czy dyplomatów! Musiałam Jacka jakoś urządzić, wyrwać z beznadziejnej posadki w firmie asekuracyjnej. Gdy poznałam go, życie jego płynęło bez jakiegokolwiek planu i sensu. Wegetował cze-

jącą na wojnę. Teraz dopiero zaczął lepiej zarabiać, odkładać, ma samochód, porządną garderobę. Poza tym doksztącam go, czyta teraz światową literaturę, wczoraj słyszałam jak przez godzinę dyskutował u mnie z mistrzem baletu, Siratem. Jeszcze rok temu jedynym tematem rozmowy jego były pe-pance czy wypadki ostatniej wojny, nie mówiąc o krzywdzie zrobionej przez aliantów Polsce. Pocziwy Sirat, zresztą, od początku pomógł mi w zrozumieniu Jacka i w uratowaniu go. Podobne były problemy Rosjan; wspominał mi, że zna siedemdziesięcioletnich koronetów armii Wrangla, którzy od trzydziestu lat wegetują w oczekiwaniu na marsz na Wschód. Jacek nadal uważa się za wojskowego na tymczasowym urlopie, ale zaczyna przyzwyczaić się”.

Marie-Juliette nagle odbiegła, by witać wchodzącego do salonu opartego o laskę księdza; ja znalazłem się obok Sirata. Zaczęłem z nim uciążliwe poszukiwanie wspólnych polskich i rosyjskich znajomych. Mistrz wymieniał jakieś mało mi mówiące nazwiska polskich przyjaciół, wspominał pobyt w Warszawie w roku 1932. Chwalił ówczesny „Bristol”, pamiętał restaurację Simona i Steckiego. Później zaczął długo opowiadać o Diaglewie, o epoce *des ballets russes*. Udało mi się przerwać te zwierzenia, by zapytać kim jest ksiądz z laską, którego obecność w salonie Marie-Juliette dziwiła mnie. Sirat objaśnił mi, iż jest to ów młody francuski oficer, którego Jacek wyciągnął spod kul niemieckich w roku 40-ym, za co dostał legię honorową. Młody Francuz przeleżał kilka lat w szpitalu, a teraz, rozdawszy na różne JOC (*Jeunesse Ouvrière Catholique*) olbrzymią fortunę odziedziczoną po ojcu, właścicielu stajni wyścigowej, i matce, córce wielkiego bankiera, jest proboszczem gdzieś na robotniczych przedmieściach Paryża. Wujowie i ciotki szaleli z wściekłości. Poza tym to człowiek niebezpieczny: mieszanina księdza, oficera kawalerii i wnikliwego obserwatora, mówi ludziom niesamowite rzeczy. Marie-Juliette odnalazła go i zaprasza go chyba tylko ze względu na Jacka, nie na siebie, bo ją demistyfikuje nieustannie. A może przez snobizm wielkiego nazwiska.

Podszedłem do młodego księdza o uderzającym wyrazie twarzy: mieszanina rezygnacji, śladów cierpienia i woli walki połączonej z pewnością, jaką daje czasem intymna znajomość śmierci i bólu. Patrząc na tę twarz, zrozumiałem dlaczego nie wahał się bywać w tak pogańskim domu Marie-Juliette. Był to człowiek co wrócił z daleka, ale część siebie zostawił daleko, na innym brzegu rzeczywistości; konwenanse i przesady towarzyskie dla niego już nie egzystowały.

Opowiedziałem mu o rozmowie z Marie-Juliette. Ksiądz

śmiał się mówiąc: „Kto wie, może za kilka lat, kiedy Marie-Juliette całkowicie już Jacka urządzi i zabezpieczy, wybuchnie właśnie nowa wojna? Po każdej wojnie ludzie budują sobie gniazdko, organizują życie, myślą, że to na stałe, a tu niespodziewanie nowy kataklizm! Marie-Juliette przy całej swojej starannie wypracowanej pozycji na niezwykłość, to francuska mieszkanka; cała dekoracja tego mieszkania, cała jej teatralność to tylko zręczny sposób stwarzania decorum, zdobywania pozycji w pseudo-literackim światku. Sprawa Jacka to problem głębszy, to się wiąże z dramatem katolicyzmu francuskiego, nie potrafił on między innymi uchodzić z wschodniej Europy okazać solidarności, po bratersku się nimi zająć”. — Książd nerwowo chudą ręką chorego człowieka przetaił czoło i ciągnął dalej — „Prawdziwe chrześcijaństwo jest przede wszystkim aktem solidarności z bliźnimi. Brak prawdziwego współczucia w środowiskach katolickich, izolacja moralna inteligencji emigracyjnej są dowodem, że nawet ta część mieszczaństwa francuskiego, która uważa się za katolicką, prawdziwie chrześcijańską być nie potrafi. Gdyby Jacek od początku swego pobytu we Francji spotkał życzliwe środowisko, nigdy by nie skończył jako dyrektor podejrzanego lokaliku. Teraz już trudno coś zrobić, myślałem ulokować go na wsi jako zarządcę dóbr mojego wuja, ale nie ma o tym mowy, Marie-Juliette go nie puści. Jacek zupełnie swej degradacji moralnej nie spostrzegł, dyryguje swoją spelunką i czuje się nadal żołnierzem chrześcijańskiego Zachodu, walczącego z komunizmem, podkreśla stale, iż jest polskim oficerem. Marie-Juliette z kobiecym sprytem podtrzymuje ten styl, uważa, że w tożsamość bohatera i ideowca Jackowi do twarzy, poza tym, *c'est très commercial*. Do bohaterskiego decorum jestem potrzebny i ja, żywy świadek wyczynów Jacka. Uratował mi życie: następna seria kulomiotu i już bym tam w ziemi pozostał. Marie-Juliette zaprasza mnie więc od czasu do czasu; przychodzę, bo myślę, że kiedyś może na coś się przydam, wolę trzymać rękę na pulsie. Żałuję, że wcześniej Jacka nie odnalazłem, przed okresem Marie-Juliette. Ale skąd mogłem przypuszczać, że znowu jest we Francji. Wracając do Marie-Juliette to, mimo że wygarniam jej w oczy wszystko co myślę o niej, stosunki nasze są dobre. Szanuję jej inteligencję, krytykując brutalnie użytek jaki z niej robi — ona dobrze przyjmuje moją gwałtowność i otwartość”.

W tym momencie podszedł do mnie Jacek. Mówił mi, że stara się pomóc kolegom, że jednego polskiego biedaka zatrudnił przy myciu talerzy. Dodał: „Rodzinie w kraju też pomagam. Wczoraj jeszcze posłałem bratu dwie używane marynarki. Tam każdy łach się przydaje. Nie mają nic, stale proszą o ubrania i

lekarstwa. Komunistyczna nędza. Bratanek prosił mnie o przysłanie mu „Vespy”. Biorą mnie za milionera. Tego bratanka myślę tu sprowadzić, może nawet na stałe. Ma chłopak 22 lata, studiuje architekturę. Musiałby naturalnie zaraz po przybyciu wybrać wolność; nie chcę u siebie faceta z czerwonym paszportem, mimo że Marie-Juliette ma inne zdanie w tej sprawie. Ona jednak tych spraw nie rozumie, w ogóle Francuzi nie wiele z naszych problemów rozumieją. Najlepszy dowód z tym październikiem, przeceniają całkowicie ten manewr komunistów — przecież to wszystko tylko mamienie naiwnych”.

Jacek rzeczywiście bratanka sprowadził.

Opowiadano mi później perypetie pierwszego ich spotkania. Chłopak uderzył Jacka wyrobieniem i pewnością siebie. Należał do gatunku ochrzczonego przez kolegów mianem „kozaka”. Gadał raczej do rzeczy na najbardziej niespodziewane tematy, słabo znając język francuski odważnie rzucał się w wir rozmów, doskonale umiał czarować swych rozmówców. Ubrany więcej niż przyzwyczajenie: na okazje i występy miał ciemnoszary, świetnie uszyty, jednorzędowy garnitur z kamizelką, na codzień „działał” w swe-trze-blazerze z grubej, jasno-beżowej wełny i w blue-jeansach.

Niedługo po przybyciu, przy pomocy kolegów z politechniki warszawskiej już od kilku miesięcy operujących w Paryżu, znalazł niezłą pracę kreślarską. Stosunki z Jackiem rozwinęły się dość oryginalnie. Jackowi bratanek, tak inny od oczekiwanej, wychudzonej ofiary komunizmu, imponował, wszystko jednak co mówił o polskich sprawach niesłuchanie go irytowało. Bratanek nie był komunistą, twierdził nawet, że na uczelni uchodził za reakcjonistę. Do partii, tej przed- czy popaździernikowej śladu sympatii nie żywił. Ba — co więcej — uprawiał gwałtowny kult Ameryki, marzył o wyjeździe do Stanów. Do kraju z powrotem się nie wybierał, chyba na wakacje jako turysta. Chciał dużo zarabiać, chciał samochodu, eleganckiego mieszkania. Miał dziecienną pasję do automatów, do elektrycznych bilardów, do skomplikowanych elektrofonów.

Jacka wściekało to dorobkiewiczostwo i jego teza: „No, z czasem to chyba jakoś tam się to ułoży, za dwadzieścia lat może będzie tam możliwe życie, komunizm powoli ewoluuje. Ale po co ja na to mam czekać, kiedy mogę gdzie indziej elegancko żyć. Wasza emigracyjna polityka to chała. Kto ma się Polską zajmować! Każdy pilnuje swych interesów i chce żyć. Zachód gwizdże na to co się u nas dzieje”.

Bratanek zachwycał się też Jackowym lokalem. Tłumaczył

młodemu stryjowi, z którym był po imieniu: „Lokalik, bycza zabawa, tylko bracie nie kupuj wódki w butelkach, rób ją sam ze spirytusu — te pijaki i tak się nie poznają. Po co ty stale masz tę politykę w głowie, gadasz o wojnie, o twej akcji, o powodach pozostania na Zachodzie. Drętwa mowa, to całe twoje gadanie o misji i roli. Przecież i tak nic nie działasz poza stawianiem od czasu do czasu wódki twojemu dawnemu dowódcy. Po co ten cały mit, czy ty rzeczywiście wierzysz, że kiedyś znowu będziesz mógł coś kręcić w polityce czy w wojsku? Co to za ułańska śpiewka! Masz babkę z forszą i co ci więcej potrzeba? Śmierć frajerom i idealistom”.

Czy teorie bratanka, czy jego flircik z Marie-Juliette, którą chłopak zdołał do kanapy przycisnąć, a Jacek coś wywachał, czy pęknięcie — w kontakcie z bratankiem i jego kolegami — mitu o akcji, wyzwoleniu i mundurze — wszystko to wytrąciło Jacka z równowagi.

Zaczął opowiadać, że nie ma zamiaru życia skończyć w paryskim sosiku. Mówił, że ma wszystkiego dość, że pora zrobić coś bardziej morowego. Bratanka zaczął nazywać młodym dziadem lub filistrem. Klął jego mieszczańskie ambicje. Wyśmiewał kult urządzania się, lakierowanych mebelków, telewizji, wypucowanego samochodziku. Pewnego dnia oświadczył Marie-Juliette, że wybiera się do Katangi. Stało się to przy pierwszym śniadaniu. Była dziesiąta rano — Jacek siedząc na marokańskim „pufie”, przy niskim stoliku w buduarze swej egerii, jadł toasty smarowane pomarańczowym dżemem. Marie-Juliette zmieniała płytę na elektrofonie, opowiadając ostatnie plotki. Jacek przerwał jej, by powiedzieć, iż proponują mu stanowisko instruktora w armii Tschombego i że myśli je przyjąć. Do baru weźmie się „geranta”, a on pojedzie na rok do Elizabethville. Zeszłego wieczoru spotkał Węgra, Belę, starego bywalca lokaliku, a dziś doradcę wojskowego misji Katangi w Europie. Marie-Juliette przyjęła z zimną krwią deklarację Jacka. Nie wzięła projektu na serio. Uznała go za fantazję słowiańskiego gadulstwa i manii do gestu. Następnego dnia jednak, gdy Jacek zaczął wypełniać formularze werbunkowe i gdy zjawił się Bela, szastający pieniędzmi i zapewnijający o realności przedsięwzięcia, Marie-Juliette zaniepokoiła się. Zdała sobie sprawę, że Jacek rzeczywiście gotów pojechać. Złość jej skupiła się na bratanku, uznała, że chłopaczysko wniosło perturbacje w jej życie. Zwymyślała go przez telefon, oskarżyła, że próbował ją uwieść, że jest niewdzięcznikiem. Chłopak, który raz czy drugi na gazie i prawie że przez uprzejmość Jackową

babkę popieścił, brutalnie ją ściał. Oświadczył, że Jacek jest przemęczony, że Marie-Juliette go zamęcza pracą w lokalu, że idiotyczny pomysł Katangi przyszedł mu z przepracowania. Zadzwoił zaraz do stryja odradzając mu wyjazd. Stosunki ich były bowiem stale, pomimo utarczek i dysput, przyjazne.

Interwencja bratanka skończyła się porażką.

Widząc, że Jacek naprawdę gotów jechać, Marie-Juliette w sukurs wezwała pułkownika E., dawnego dowódcę z korpusu, a obecnie głównego magazyniera we francuskiej fabryce mydeł. Stary oficer sprawę załatwił. W kilku rozmowach wytłumaczył Jackowi, że angażowanie się Polaków w aferę katangijską nie jest wskazane, że redukuje polskiego oficera (to jest Jacka) do roli najemnego żołnierza, że służy tylko wrogiej propagandzie, która i tak wciąż nas przedstawia jako najemnych awanturników. Pułkownik wyczuł, że z Jackiem jest źle. I nie wiele umiał pomóc. Czuł, że jego dawny młody oficer ma dosyć wszystkiego, że strata nadziei na rychłą zmianę, na odrodzenie armii i walkę o wolność, na powrót do Polski, takiej jak dawniej, łamie go psychicznie. Ale cóż na to mógł poradzić? Jacek załamał się odkrywając niespodzianie, że paryskie prowizorium może trwać zawsze.

Kilkanaście miesięcy później Jean-Stanislas odwiedzał Jacka w podparyskiej klinice dla nerwowo chorych. Jacek trafił tam przed paru miesiącami. Zaczęło się to od chwili gdy zaczął ubierać się w stary mundur, mówić, że ma tajne informacje, że wojna będzie lada dzień, gdy zaczął nocami telefonować do swych dawnych generałów do Londynu, mówiąc, że jest gotów do wymarszu, do akcji. Teraz zaczął już powoli przychodzić do siebie. Za trzy tygodnie miał wrócić do domu, do Marie-Juliette, która okazała się w nieszczęściu dzielna, oddana i wierna. Wierniejsza nawet niż kiedykolwiek, zakochana bardziej niż w pierwszych dniach ich miłości. Oświadczyła, że po powrocie przez długi okres Jacek nic robić nie będzie, że wezmą długie wakacje, że pojedą na Wyspy Kanaryjskie wypoczywać. Chciała, by odzyskał radość życia i zapomniął o przeszłości. Zapowiedziała, że nikogo z polskich znajomych nie będą widywać. Nawet wizyty Jean-Stanislasa w klinice ją drażniły.

Jean-Stanislas opowiadał mi to wszystko siedząc w restauracji pseudo-nowoczesnej, zawsze tłocznej, na Place des Ternes, gdzie mnie i pułkownikowi E. postawił z żoną kolację.

Jean-Stanislas, który okazał się najwierniejszym z przyjaciół Jacka uważał, że ostatecznie chyba Marie-Juliette ma rację.

Cóż z tym Jackiem robić — rzeczywistość i jej sprzeczności chłopu wykończyły. Może wegetacja w wygodnej i luksusowej cieplarni, jaką mu Marie-Juliette chce zapewnić, jest jedynym wyjściem dziś, po załamaniu nerwowym. Za rok, za dwa, zobaczymy. Żona Jean-Stanisłasa, ładna wysoka brunetka o żywych czarnych oczach, dowcipna i z lekka ironiczna, zapewniała, że mąż jej zawsze będzie się „swoim antysemitą” zajmował. Zdaniem jej, Jean-Stanisłasi, gotów jest własne dzieci pozbawić strawy, by dać ją Jackowi. Dla niego Jacek to wspomnienie młodości, to wspomnienie wojska, walk, okresu nieraz ponad siły trudnego, pełnego upokorzeń i krzywd antyżydowskich, ale też wspomnienie egzaltacji zwycięstwa, braterstwa broni, przyjaźni. No i ten Jacek to dla Jean-Stanisłasi wcielenie Polski, nieraz macochy dla swych żydowskich dzieci, ale jednak im bliskiej, swojskiej, własnej, jak Wisła, która — jak powiedział Szalom Asz — „szumi dla nas po żydowsku”.

Pułkownik E., wysoki, sprężysty, o rzadkich siwych włosach gładko przyczesanych i śladach kawalerskiej elegancji w skromnym ubiorze, opowiadał, jak niegdyś we Włoszech przydzieliwszy Jean-Stanisłasa do plutonu Jacka, młodziutkiego wtedy oficerka pochodzącego z „narodowych” środowisk, obawiał się starcia tych dwóch różnych osobowości. Obawy okazały się płonne. Jacek z ówczesnego Dawidka żartował, ale bronił go energicznie przed każdym przytykiem z zewnątrz, wysoko cenił jego wartość bojową i spryt, twierdząc, że Dawidek Niemców zawsze fortem podejście, prawdziwy żydowski Zagłoba, ot wprost szalenie się z nim zaprzyjaźnił.

Pułkownik E. martwił się Jackiem, robił sobie wyrzuty, że nie potrafił swemu podkomendnemu pomóc, skarżył się na rasowe konie, z którymi są zawsze kłopoty. Nerwowe, niecierpliwe, nie umieją czekać. Stale im trzeba wyścigów, stale chcą biegać na Grand Prix. A tu czasem najważniejsze czekać na lepszą koniunkturę, wiedząc, że może doczeka się jej dopiero następna generacja.

Późniejsze echa o Jacku przyniósł mi jego przyjaciel, ksiądz o lasce. Lał deszcz, szedłem jesiennym wieczorem po Avenue Montaigne. Nagle z jednego ze stacjonujących wzdłuż chodnika aut ktoś na mnie zawołał po nazwisku. Po chwili siedziałem w samochodzie obok księdza. Czekał na kogoś, miał kilka minut, mówił szybko, marszcząc duży rasowy nos i wykrzywiając brzydką z piętnem bólów i chorób twarz. Mówił, że był u Jacka w willi Marie-Juliette na Cap d'Ail. Tam z kliniki zawiozła

go Marie-Juliette na nieokreślonej długości wypoczynek. Jacek w niezłej formie fizycznej, opalony, jakby odmłodził, oczy tylko ma strasznie podbite, jakoś cofnięte w głębi i dziwnie matowe, martwe. Spokojny i rozsądny, rozsądniejszy i spokojniejszy może niż kiedykolwiek. Ksiądz przetarł twarz ręką i dodał: „Tak pozornie sprawa się załatwiła, ale dawny Jacek umarł. Marie-Juliette zapewnia o jego kompletnym wyzdrowieniu i ma rację, jego kryzysy chyba nigdy nie powrócą. Będzie wegetował, ale po jakimś pochowaliśmy go już”.

Ostatni raz sprawa Jacka wróciła do mej świadomości w paryskim metrze. W ciemny, zimowy, wilgotny i brudny ranek zszedłem po tłumnych, szarych schodach. Jak automat kupiłem poranne gazety, przedarłem się na peron. Zatraskany, przejęty dniem tłum. Pośpiech codziennego wyścigu, codziennych pragnień, marzeń, problemów. Wyścig tłumy ludzkiego, zaabsorbowanego terazniejszością, zaferowanego bieg mający nagle skończyć się daleko od codziennych trosk, między czterema deskami. Stróż cmentarza w Pouilly mawiał niegdyś: „I tak tu wszyscy przyjdą, i ci ważni i ci nieważni — ten wapienny podły piasek na nich czeka, i czekają różne robaczki. Gdyby ludzie bardziej pamiętali o tych robaczkach i tym piaseczku może by i mniej się szarpali i mniej odstawiali waźniaków”.

Ale tłum nic o teoriach starego grabarza z Pouilly nie słyszał, a może nie chciał słyszeć. Kto ich tam wie. Z tłumy nagle wyskoczył na mnie Jacek. O nie, nie Jacek we własnej osobie, ale jakaś sylwetka trochę do niego podobna. To podobieństwo wystarczyło, by myśli moje ku niemu skierować. Ni stąd ni zowąd w paryskim metrze poczułem się boleśnie odpowiedzialny za losy, za sprawę Jacka. Długo to nie potrwało, bo miałem swoje ważne sprawy dnia powszedniego. Chwilę jednak, przy nadmiarze problemów (kupno samochodu, awans w biurze), zdołałem poświęcić Jackowi. Nie umiałem mu pomóc połączyć życia na Zachodzie z polskością. Nie umiałem, jak i inni nie umieli, pomóc mu w znalezieniu sposobu włączenia woli walki o prawa narodu w rzeczywistość, w realia życia obcej, obojętnej i sceptycznej stolicy.

Takie były moje myśli w paryskim, pełnym zaduchu i wyziewów tłumy, metrze. Szybko jednak wróciłem do kłopotów dnia, sprawy awansu, samochodu i rendez-vous z dentystą, który żądał zbyt wygórowanej ceny za koronę na zębie mądrości.

Wiersze

GUCIO ZACZAROWANY

Istoty od nicości odległość jest nieskończona
(„Zabawy przyjemne i pożyteczne”, 1776).

1.

Pochyłe pola i trąbka.

Ten zmierzch i nisko leci ptak i błysły wody.

Rozwinęły się żagle na brzask za cieśniną.

Wchodziłem we wnętrze lilii mostem złotogłowiu.

Dane było życie ale niedosiężne.

Od dzieciństwa do starości ekstaza o wschodzie słońca.

2.

*Dużo jak na jedno życie tych poranków.
Z zamkniętymi oczami byłem wielki i mały,
Nosilem pióra, jedwab, żaboty i zbroje,
Suknie kobiece, zlizywałem róż.
Unosiłem się nad każdym kwiatem od początku,
Stukałem w drzwi zamknięte sal bobra i kreta.
Niemożliwe żeby tyle głosów niezapisanych
Między tubą pasty do zębów i zardzewiałą żyłką,
Tuż nad stołem w Wilnie, Warszawie, Brie, Montgeron, Kalifornii.
Niemożliwe żebym umarł dopóki nie sięgnę.*

3.

*Od smaku i zapachu czeremchy nad rzekami
Idzie świadomość gąszczem laurów, hibiskusów
Zbierając w zieloną puszkę okazy Ziemi.
Nad nią czerwona kora sekwoi sempervirens
I sójki, inne niż za Morzem Beringa,
Otwierają skrzydła koloru indygo.
Sama jedna, bez przyjaciół i wrogów,
Obejmuje leśne zbocza, orle gniazdo.
Niezrozumiała dla węża z żółtą wypustką,
Nie rozumiejąca zasady węża i drzewa.*

4.

*Gwiazdy Filemona, gwiazdy Baucis
Nad ich domem oplecionym korzeniami dębu
I bóg wędrowny śpiący na łożu z rzemieni,
Twardo, mający pięść za wezgłowie.
Ryjkonosy chrzążczyki napotkał jego sandał
I dąży z trudem przez płaskowyż wygładzony stopą.*

*Słyszę także dźwięki fortepiano.
Podkradam się mokrą czernią pod dżunglą spirei
Gdzie leżą butle gliniane po holenderskich wódkach.
Ukazuje się panna z kosmykiem na uchu.
Ale mnie, kiedy szedłem na czworakach, wyrosła broda
I mój łuk indiański spróchniał od deszczów i śniegów.
Ona gra i równocześnie, mała, siada na nocniczek,
Koło huśtawki podnosi sukienkę
I ze mną albo swoim kuzynem robi rzeczy nieprzyzwoite.
A już zaraz bardzo siwa na wychudłym przedmieściu
I odjeżdża nie zwracając tam gdzie jadą wszystkie panny.*

*Niech stanie się wyspa i wyspa dźwiga się z morza.
Różowość jej skał ma odcień fiołkowy.
Nasiona kielkują, na pagórkach i kasztan i cedr,
Źródło chwije paprocią tuż koło przystani.*

*Na płaskich głazach nad wodą jodłową zatoki
Wylegają się duchy podobne do nurków z ładunkami tlenu.*

Jedyna córka czarodzieja, Miranda,
Na osiołku jedzie w stronę groty
Ścieżką ustaną skrzypiącymi liśćmi.
Widzi trójnog i kociot i naręcza chrustu.

Zniknij wyspo. Albo silniej: wyspo, zniknij się.

5.

Lubiłem go, bo nie szukał idealnego przedmiotu.
Kiedy słyszał jak mówi: „Tylko przedmiot którego nie ma
Jest doskonały i czysty”, rumienił się i odwracał głowę.

W każdej kieszeni nosił ołówki, szkicowniki,
Z okruchami bułki, akcydensami życia.

Rok za rokiem okrążał grube drzewo
Przykładając dłoń do oka i mrucząc w podziw.

Jak zazdrościł tym co drzewo rysują jedną kreską!
Ale przenośnia wydawała mu się czymś nieskromnym.

Symbol zostawił dumnym, zajęty własną sprawą.
Z patrzenia chciał wyprowadzić nazwę samej rzeczy.

Kiedy był stary, targał brodę żółtą od tytoniu:
„Wolę tak przegrać, niż wygrać jak oni”.

Jak Peter Breughel ojciec przewrócił się nagle
Próbując spojrzeć w tył przez rozstawione nogi.

I wznosiło się dalej drzewo niedosiężne.
O iste, o istliwe aż do rdzenia. Było.

6.

Zarzucono mu, że ożenił się z jedną kobietą a żyje z inną.
Gdzie czas — odpowiadał — na głupstwa, rozwód i tak dalej.
Ledwo człowiek wstanie, machnie parę razy pędzlem a już
[wieczór.

7.

Gucio, niegrzeczny chłopczyk, został zamieniony w muchę.
Mył się według obrządku much pod skatą cukru
I prostopadle biegł po jaskiniach sera.
Leciał przez okno w jarzący się ogród.
I tam nieposkromione promy liści
Wiozły kroplę napiętą od nadmiaru tęczy,
Mszyste parki z krynicami światła rosły w górach kory,
Sypał się cierpki pył z giętkich kolumn w środku cynobrowych
[kwiatów.

A choć trwało to nie dłużej niż od podwieczorku do kolacji,
Zawsze potem, kiedy miał prasowane spodnie i strzyżone wąsy,
Myślał, trzymając szkło z alkoholem, że ich oszukuje,
Bo mucha nie powinna rozmawiać o narodzie i wysokości
[produkcji.

Kobieta naprzeciwno była wulkanicznym szczytem
Gdzie wąwozy, kratery i w kotlinach lawy
Ruch ziemi pochyła skręcone pnie sosen.

8.

Między mną i nią był stół, na stole szklanka.
Spierzchnięta skóra jej łokci dotykała lśniącej powierzchni
W której odbijał się zarys cienia pod pachą.
Kropla potu gestniała nad falistą wargą.
A przestrzeń między mną i nią dzieliła się nieskończenie,
Hucząca pierzastymi strzałami Eleatów,
Nie wyczerpie jej rok ni sto lat podróży.
Gdybym przewrócił stół, co byśmy spełnili.
Ten akt, nie-akt, bo zawsze potencjalny
Jak zamiar wejścia w drzewo, w wodę, w minerały.
Ale ona też patrzyła na mnie jak na cembrowinę Saturna
I wiedziała że wiem jak nikt nie dosięga.
Tak stanowiona była człowieczość i tkliwość.

Czesław MIŁOSZ

Bitwa o Europę

Dwa są istotne powody burzy, rozpętanej przeciwko szefowi państwa francuskiego:

— odmowa podpisu Francji pod postanowieniami konferencji moskiewskiej w sprawie wstrzymania doświadczeń nuklearnych na lądzie, pod wodą i w powietrzu, oraz

— zapowiedź odmowy podpisania traktatu o nieagresji pomiędzy państwami bloków: Atlantycznego i Warszawskiego.

Przeciwko monopolowi nuklearnemu

Układ moskiewski zmierza do ustabilizowania równowagi nuklearnej, osiągniętej przez oba supermocarstwa, oraz do zabezpieczenia ich monopolu w tym zakresie.

Francuski rzeczoznawca wojskowy, gen. Gallois, przytoczył niedawno kilka cyfr, opartych na studiach specjalistów amerykańskich, Melmana i Lappa. Wynika z nich, że amerykański arsenał nuklearny posiada dzisiaj zdolność niszczącą, przekraczającą 780 razy niezbędne minimum tego, co potrzeba dla unicestwienia 370 skupień na obszarze Sowietów i Chin, z ich 140 milionami ludności, oraz z ich urządzeniami naukowymi, przemysłowymi, handlowymi i politycznymi, decydującymi już nie tylko o możliwościach rozwoju, ale, po prostu, o zorganizowanym istnieniu tych obszarów. Potencjał sowiecki, niechby był nawet wielokrotnie niższy, prawdopodobnie wystarcza również do zniszczenia odpowiednich urządzeń amerykańskich.

W tych warunkach kontynuowanie doświadczeń w celu wzmocnienia potencjału wojennego dwóch supermocarstw zakrawa istotnie na nonsens. Jeżeli postanowienia konferencji moskiewskiej nie dotyczą doświadczeń podziemnych, to tylko dlatego, że w obecnym stanie techniki ich kontrola na odległość jest niemożliwa, a Sowiety, jak wiadomo, sprzeciwiają się kontroli w terenie.

Wyrzeczenie się doświadczeń nuklearnych nie ma nic wspólnego z rozbrojeniem. Jeżeli obie strony dotrzymają układu, a zdaje się, że tym razem mają w tym wspólny interes, nie będzie to nawet początek rozbrojenia. To będzie, za ledwie, wyrzeczenie się nonsensu.

Natomiast postanowienie o otwarciu układu dla wszystkich oznacza wolę supermocarstw niedopuszczenia do zbrojeń nuklearnych poza nimi i wymierzone jest przede wszystkim przeciwko Francji i Chinom. Przyznanie Francji przy tej okazji statutu czwartego (po W. Brytanii) członka klubu atomowego i potwierdzenie tego awansu przez prezydenta Kennedy, lecz bez logicznego następstwa, jakim powinno być jednoczesne dopuszczenie do tajemnic technicznych, umożliwiających fabrykację bez konieczności dokonywania nowych doświadczeń, zaostreza jedynie antyfrancuski charakter postanowień moskiewskich. Jako członek klubu, Francja musiałaby się podporządkować jego uchwałom, wykluczającym jej własną pracę badawczą, bez żadnej za to rekompensaty. Innymi słowy uczestnicy konferencji moskiewskiej zaproponowali Francji samobójstwo za cenę klubowej wstęgi na trumnę. Nic dziwnego, że generał de Gaulle woli w tych warunkach nie wstępować do klubu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jak wynika z cyfr, podanych przez wspomnianych wyżej profesorów amerykańskich, w dzisiejszym stanie precyzji balistycznej potrzeba około 40 pocisków sowieckich dla zniszczenia jednego pocisku nuklearnego, korzystającego z wyrzutni podziemnej. Specjaliści spodziewają się, że postęp techniczny pozwoli za kilka lat poprawić prawdopodobieństwo trafności w stosunku 20x1. Stany Zjednoczone posiadają obecnie, jakoby, 1100 pocisków w wyrzutniach podziemnych. Aby zapewnić bombardowaniom o charakterze wojskowym skuteczność, zapobiegającą masowemu odwetowi, Sowiety powinnyby posiadać 22000 pocisków o dalekim zasięgu. Stanom Zjednoczonym powinno wystarczyć prawdopodobnie, połowa tej liczby, biorąc pod uwagę mniejszą ilość istniejących pocisków sowieckich. I jedna i druga cyfra posiada charakter astronomiczny i bodaj nieosiągalny nawet dla bogatej Ameryki. Gen. Gallois wyciąga stąd słuszny wniosek, że ani Ameryka, ani Sowiety nie potrafiły ujarzmić potwornej siły niszczącej, jaką osiągnęły. Ograniczenie wojny nuklearnej do niszczenia wyrzutni, a więc tylko części, choć najważniejszej, potencjału wroga, okazuje się niemożliwe. Poglądy gen. Taylora i oparta na nich doktryna strategiczna Mac Namara, sekretarza obrony, została zachwiana najpierw, przed rokiem, przez opór Europy. Dobiły ją ostatecznie studia amerykańskich specjalistów.

W tej sytuacji wolno uczynić jeszcze jeden krok naprzód i stwierdzić, że jedyną formą wojny nuklearnej w obecnym stanie wiedzy technicznej może być tylko niszczenie wielkich skupień ludności ze znajdującymi się tam urządzeniami, koniecznymi dla ciągłości życia narodowego, lub może nawet dla samego życia. Ale ten wniosek dotyczy nie tylko supermocarstw, lecz każdego

innego posiadacza broni atomowej. A więc i Francji. Gdyby, poczynając od roku 1966, kiedy pierwsza generacja „siły ciosu” będzie gotowa, Francja osiągnęła zdolność zniszczenia odpowiadającą tylko 2% możliwości amerykańskich (na tyle szacują możliwości francuskie eksperci amerykańscy), wówczas, nieporównanie mniejszym kosztem, niż wielcy magicy, którzy stracili panowanie nad żywiołem, stałaby się współzrędnym partnerem, bez którego decydowanie o losach świata byłoby niemożliwe. A to dlatego, że wśród 7 do 8 skupień sowieckich, narażonych na zniszczenie, mogłyby się znaleźć i Moskwa i Leningrad i Charków i Dnieprostroj i że takiej katastrofy nie zrównoważyłoby żadne zwycięstwo, nawet rozproszkowanie Francji. Oto przyczyna, która spowodowała nareszcie właściwą ocenę wysiłku francuskiego. Niepokój o zdrowie finansów francuskich i o podejmowanie wysiłków, które w chwili doprowadzenia do końca miały się okazać przestarzałe, ustąpiły miejsca niepokoju przed zjawieniem się nowego partnera. Wartość „siły ciosu”, jako elementu odstraszenia od najazdu, a zatem jako promocji do roli partnera, nie mogła znaleźć bardziej dosadnego choć tym razem pozbawionego już pozorów dyplomatycznych uznania, jak objawy gniewu obydwóch szefów supermocarstw i fala wymysłów na łamach ich prasy. Gdy się czyta prasę amerykańską, odnosi się wrażenie, że Stany Zjednoczone znalazły, nareszcie, prawdziwego wroga.

Przeciwko uznaniu żelaznej kurtyny

Podobnie, a może bardziej jeszcze rozumiała powinna się okazać zapowiedź de Gaulle'a o nie uznaniu przez Francję ewentualnego traktatu o nieagresji pomiędzy państwami bloku Atlantyckiego i Warszawskiego. Powody, zarówno wypowiedziane, jak te, których łatwo się domyślić, są w tym wypadku wyjątkowo precyzyjne. Nie ma żadnej potrzeby zawierania takiego paktu, gdy chodzi o zmniejszenie ryzyka wojny, gdyż Sojusz Atlantycki ma charakter wyraźnie obronny, a podobno taki sam charakter posiada Pakt Warszawski. Jeżeli Sowiety wystąpiły z tą propozycją, to nie dlatego, aby zmniejszyć ryzyko wojny, nad którym panują wystarczająco. Cel jest polityczny. Chodzi o zerwanie z fikcją tymczasowości, stworzoną w Poczdamie w roku 1945 i zastąpienie jej przez normę prawa międzynarodowego. Celem polityki sowieckiej jest uzyskania prawnego uznania jej wojennych zdobyczy terytorialnych, potwierdzenie przepełnienia Europy, podziału Niemiec i pozostawienia w orbicie sowieckiej ośmiu państw, żyjących przed wojną życiem niepodległym i liczących obecnie 103 miliony mieszkańców. Uzyskanie takiego uznania, bezcenne samo w sobie, otworzyłoby przed Sowietami możliwości działania w stosunku do Europy Zachodniej, w chwili, zależnej tylko od nich samych. Posiadając w rękach przyznany im przez Zachód zakład w postaci Niemiec Wschodnich, stałyby się, gdyby nie polityka francuska, jedynym partnerem wobec Niemiec Za-

chodnich, które, nie mogąc liczyć na poparcie Stanów Zjednoczonych, mogłyby okazać się, w razie powstania korzystnych warunków politycznych, lub gospodarczych, skłonne do bezpośredniego porozumienia się z tym, od kogo zależałoby zjednoczenie. Od biedy można zrozumieć, że Stany Zjednoczone przestały od dawna interesować się losem narodów, sprowadzonych do roli satelitów sowieckich, i że mogą wyżej stawiać zbliżenie z Sowietami od sprawy przywrócenia wolności stu milionom Europejczyków. Mało kto jednak, a już chyba nikt w Ameryce, nie zadaje sobie pytania, dlaczego rząd Stanów Zjednoczonych skłania się do udzielenia Sowietom pomocy w założeniu miny pod spoistość polityczną Europy Zachodniej, uznawanej i przez Pentagon i przez senat i przez Departament Obrony za przerzucone na drugi brzeg Atlantyku przedmoście amerykańskiego systemu bezpieczeństwa, którego utrata musiałaby pociągnąć za sobą upadek Stanów Zjednoczonych, jako wielkiego mocarstwa. Zdaje się, że Kennedy, podobnie, jak Roosevelt, wyżej sobie zaczyna cenić słowną gwarancję sowiecką, niż europejską rzeczywistość. Zrażony do oporu Europy, który w pewnym zakresie jest tylko oporem francuskim, często — francusko-niemieckim, a czasami, jak w wypadku „kurzej wojny”, oporem całej Wspólnoty, nie jest w stanie zrozumieć, że to, co w jego ocenie może wystarczać Ameryce, nie odpowiada Europie, która, gdy o nią chodzi, ma chyba najwięcej do powiedzenia. Po raz pierwszy, podpisuję się pod opinią Lippmanna, który pisze na łamach „New York Herald Tribune” (przekład autoryzowany w „L'Opinion Economique et Financière” z 18 lipca), że jedną z przyczyn obecnych trudności jest fakt, że „Republika Federalna, to nie są Niemcy, lecz część zachodnia Niemiec podzielonych, sześć krajów Wspólnego Rynku, to nie jest Europa, lecz tylko część Europy niekomunistycznej, która, ze swej strony jest tylko częścią Europy w ogóle”.

Formuła Lippmanna, potwierdzająca, w tym wypadku, tezę od dawna głoszoną na łamach „Kultury”, oddaje w sposób właściwy istotę sprawy. Zalegalizowanie podziału Europy może się wydawać możliwe z odległości Waszyngtonu, ale przez samą Europę musi być i będzie odrzucone. Oczywiście, trzeba się porozumieć co do znaczenia słowa „Europa” w chwili obecnej. Na pewno nie ma prawa przemawiać w jej imieniu W. Brytania, dla której sprawa Europy Środkowo-Wschodniej jest jeszcze bardziej obojętna, niż dla Stanów Zjednoczonych i która dąży do każdego, choćby najgorszego porozumienia się z Sowietami, niemal za każdą cenę, zwłaszcza, gdyby ją płacić mieli Europejczycy. Niemcy są skrępowane swoją sytuacją prawną państwa pobitego, formalnie okupowanego, oczekującego na zawarciu pokoju, i, w jego następstwie, na przyjęcie do Organizacji Narodów Zjednoczonych i na pełne uznanie. Granicząc bezpośrednio z dywizjami sowieckimi w Niemczech Wschodnich, trzymają się kurczowo amerykańskiego puklerza i nie złączą zastanawiać się nad jego wartością, a zwłaszcza nad jego trwałością, aż dopiero gdy pierwsze eskadry „Mystère IV” uzbrojone w bomby atomowe, znajdują się

w powietrzu i gdy w następstwie trudności finansowych zacznie się rysować na horyzoncie groźba stopniowej ewakuacji dywizji amerykańskich z Europy. Jeżeli Francja przemawia ustami de Gaulle'a w imieniu Europy, to nie dlatego, aby chciała narzucać swoje przywództwo, tylko dlatego, że posiada najwięcej swobody. Ona bowiem zdołała ocalić, jak nikt z członków Sojuszu Atlantycznego, pełnię państwowych praw suwerennych, ona stworzyła koncepcję Europy niepodległej, gdy zawodowi Europejczycy przenieśli się na atlantycką barkę, ona tworzy narzędzie niezależnej polityki europejskiej, budując tak zwalczaną przez zwolenników monopolu „siłę ciosu”, ona wreszcie przygotowuje warunki przyszłego zjednoczenia Europy. Jedno jest pewne. Dopóki de Gaulle będzie u władzy, dopóty akcja formalnego uznania podziału Europy będzie natrafiała na opór. Dopóki to niebezpieczeństwo nie zniknie, dopóty de Gaulle będzie uważał za swój obowiązek osobistą obecność na posterunku obrońcy interesów Francji i Europy. A jeżeli tak, to nawet w razie drugiego mandatu Kennedy'ego ostateczna rozprawa będzie miała miejsce z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Bo drugi mandat Kennedy'ego skończy się w roku 1969, a de Gaulle'a w roku 1972. Ale to jest założenie pesymistyczne. Losy świata powinny zdecydować się wcześniej.

Przyspieszone tempo zmian

Chodzi o to, że Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki nie mają czasu. Oba mocarstwa mają swoje pięty achillesowe, oba, mimo pozorów, nie są wszechmocne.

Stany Zjednoczone stoją w obliczu poważnych trudności wewnętrznych o charakterze politycznym i finansowym.

W Europie, nie znającej problemów rasowych, nie docenia się rozmiarów napięcia, wynikłego z przebudzenia się mas murzyńskich. Akcja administracji federalnej zmierzająca do przeprowadzenia całkowitego równouprawnienia, spotyka się z oporem władz stanowych i dużej części ludności białej, gdyż segregacja weszła w psychikę amerykańską tak głęboko, że usunięcie jej wymaga prawdziwej rewolucji obyczajowej. Wzrastające napięcie z tego powodu zaczyna coraz poważniej zagrażać łaadowi wewnętrznemu Stanów Zjednoczonych i zmusza prezydenta Kennedy do odciążenia części swej energii od spraw międzynarodowych i do skierowania jej na front wewnętrzny.

Kryzys dolarowy, wynikający z chronicznie ujemnego bilansu płatniczego, wszedł w okres najwyższego napięcia i uzyskuje coraz większy wpływ na politykę zagraniczną. Mimo solidarności głównych banków europejskich, z Bankiem Francji włącznie, aby nie dopuścić do dewaluacji dolara i do mogącego stąd wyniknąć zachwiania ładu monetarnym na świecie, odpływ złota przybiera rozmiary katastrofalne, a dotychczasowe decyzje ratunkowe, jak nieznaczne podniesienie stopy dyskontowej, uchodzą wśród spe-

cjalistów za nieśmiałe i niewystarczające. To kryzys dolarowy, a nie założenia doktrynalne spowodowały nacisk Stanów Zjednoczonych na zaniechanie rozbudowy autonomicznej Europy gospodarczej i na wprowadzenie jej w ramy szerokiej Wspólnoty Atlantycznej, podporządkowanej interesom amerykańskim. Z tego samego powodu wyniknie w najbliższej przyszłości ograniczenie wydatków na pomoc dla krajów gospodarczo niedorozwiniętych a może przyjdzie kolej na oszczędności wojskowe w Europie i na zmianę polityki europejskiej przez następców obecnego prezydenta. Walter Lippmann, któremu niesposób zarzucić sympatii dla obecnej polityki francuskiej, znajduje w tym niebezpieczeństwie jedno z usprawiedliwień dla obaw gen. de Gaulle'a o trwałość zobowiązań amerykańskich w Europie. „Nie trzeba zapominać — pisze — że generał nie mówi o roku 1963, ani nawet 1967. Myśli on o latach, które nastąpią po 1970 i nie ma wątpliwości, że ma rację, gdy mówi, że J.F. Kennedy nie może udzielić dzisiaj żadnej obietnicy, wiążącej na daleką przyszłość”. Pośpiech w dążeniu do odprężenia w stosunkach ze Wschodem kosztem ostatecznego rozgraniczenia sfer wpływów na zasadzie *status quo* terytorialnego oznacza, że zakładanie miny pod zobowiązania europejskie Stanów Zjednoczonych na daleką przyszłość już się rozpoczęło.

Związek Sowiecki ma również powody do pośpiechu. Pierwszym z nich jest dążenie do wykorzystania koniunktury, wynikającej z trudności amerykańskich, zanim Francja będzie w stanie, wojskowo i politycznie, przeciwstawić łaadowi amerykańsko-sowieckiemu alternatywę europejską.

Ale, poza wyborem chwili, pozwalającej na dokonanie operacji ugodowej tanim kosztem, albo bez kosztów w ogóle, Związek Sowiecki ugina się również pod ciężarem trudności.

Pierwsze z nich są natury wewnętrznej. Aby odebrać charakter przedrewolucyjny ewolucji wewnętrznej, wynikającej z otwartego, a nieuniknionego po zerwaniu z systemem Stalina, procesu powolnej liberalizacji, konieczne są głębokie zmiany planu gospodarczego w kierunku rozbudowy lekkiego przemysłu przetwórczego. Podniesienie stopy życiowej ludności Związku Sowieckiego przestało być obietnicą programową, a stało się koniecznością, w coraz wyższym stopniu decydującą o bezpieczeństwie systemu. Wymaga to zarówno ograniczeń w wydatkach zbrojeniowych, jak uzyskania pomocy gospodarczej z zewnątrz, przez rozwinięcie wymiany handlowej z Zachodem.

Zerwanie z Chinami otworzyło cały szereg procesów, niepokojących kierownictwo partii komunistycznej. Oznacza ono nie tylko zagrożenie w dalszej przyszłości sowieckiego władztwa na obszarze azjatyckim, ale, bezpośrednio i natychmiast, zachwianie spójnością ruchu komunistycznego w świecie i to nawet na wewnątrz sfery wpływów sowieckich. Stąd konieczność szybkiego wykorzystania euforii, wywołanej przez podpisanie układu moskiewskiego i próba wzięcia z rozpędu ostatniej przeszkody politycznej, jaką stanowił dotychczas opór Waszyngtonu przed

formalnym uznaniem podziału Europy i Niemiec. Ewentualny traktat o nieagresji pomiędzy Sojuszem Atlantyckim i Blokiem Warszawskim ma na celu osiągnięcie tego uznania i uzyskanie, poza prawnym potwierdzeniem układu terytorialnego, wytycznego w Poczdamie, dwóch korzyści równoległych: zapobiegnięcie fermentom wśród satelitów, przyspieszonym przez schizmę chińską, oraz przygotowanie podstawy wyjściowej do dalszych inicjatyw w kierunku Europy Zachodniej przez zachowanie możliwości awansów pod adresem Republiki Federalnej w celu rozbicia tą drogą Sojuszu Atlantyckiego.

Niemcy są zaniepokojeni i zdezorientowani. Troska o bezpieczeństwo, oraz interesy handlowe na krótką metę, przemawiają za utrzymaniem dotychczasowych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Złożenie podpisu pod układem o wstrzymaniu doświadczeń nuklearnych nie przedstawiałoby większego problemu, wobec tego, że Republika Federalna nie jest zaangażowana w produkcję tej broni. Ale manewr sowiecki popycha ją w kierunku kłopotliwym, bo oto Ulbrycht zgłosił również akces do traktatu moskiewskiego i znajdzie się wśród podpisujących. Bonn zdaje sobie sprawę, że gdyby doszło do podpisania umowy o nieagresji pomiędzy grupą Sojuszu Atlantyckiego i Warszawskiego, podział Niemiec uległby uprawomocnieniu, bez względu na wszelkie zapewnienia i interpretacje dyplomacji waszyngtońskiej. Nie wiadomo, czy schodzący z widowni kanclerz i jego nadchodzący sukcesor przejrzeni w tym stopniu co de Gaulle istotę zapadającego nad światem nowego porządku, opartego o dyptyk amerykańsko-sowiecki, wolno jednak się spodziewać, że, gdy przejrzą, potrafią wysnuć wszystkie wnioski z niewczesnego przebudzenia. A wtedy lepsze się otworzą perspektywy przed zamysłem de Gaulle'a.

Czy istnieje plan de Gaulle'a?

Dla dokończenia analizy sytuacji, wywołanej przez inicjatywę sowiecko-amerykańską i przez ustosunkowanie się do nich szefa państwa francuskiego w czasie lipcowej konferencji prasowej, pozostaje znalezienie odpowiedzi na dwa pytania, z którymi spotykam się ze strony moich polskich i francuskich przyjaciół, oraz na jedno, postawione niedawno przez Waltera Lippmanna.

1) O ile wszyscy na ogół zgadzają się z interpretacją pierwszego etapu polityki de Gaulle'a, podaną w cyklu „Alternatywy”, o tyle prawie ta sama jednomyślność panuje w wyrażaniu wątpliwości na temat drugiego etapu, mającego polegać na zjednoczeniu Europy w jej granicach cywilizacyjnych, a więc z wyłuskaaniem z orbity sowieckiej jej obecnych satelitów europejskich. Spotykam się ciągle z zapytaniem, co upoważnia mnie do przypisywania podobnych intencji szefowi państwa francuskiego.

Odpowiadam z całą skromnością, że na pewno nie jego zwierzchnia. Ale dla kogoś, kto rolę i metody obecnego szefa państwa francuskiego obserwował dzień po dniu od dnia 18 czerwca 1940,

kto studiuje ten fenomen woli i jasnowidztwa politycznego, porównywalny tylko z tym samym darem Józefa Piłsudskiego, odczytanie nie przedstawia większych trudności. Jak to nieraz bywało w historii, mąż stanu z prawdziwego zdarzenia równoważy zazwyczaj niewystarczalność środków materialnych przewagą intelektualną i siłą woli. Trudna, zawiła i skomplikowana jest taktyka de Gaulle'a, gdyż w warunkach, w jakich on pracuje, wobec niezrozumienia, a często wrogości swoich i obcych, musi posługiwać się zaskoczeniem, kluczeniem i chytryością. Jego strategia jest jednak prosta, a przede wszystkim niezmienna. Kto raz uchwyci wątek, potrafi rozwinąć kłębek.

Tylko ten, kto zdaje sobie sprawę z właściwego u de Gaulle'a mistycznego niemal poczucia misji zrozumie, że jego dążenie nie może polegać na usprawnieniu systemu równowagi amerykańsko-sowieckiej, panującego obecnie nad światem. Do czego potrzebne jest de Gaulle'owi uzbrojenie Francji w atomową „siłę ciosu”, stworzenie politycznej Europy sześciu na podstawie konfederalnego związku państw i uzyskanie dla tego tworu pewnej swobody ruchu w ramach Sojuszu Atlantyckiego? Logika de Gaulle'a jest nieubлагana. Europa sześciu, Europa podzielona, nie może być ani niepodległa, ani wolna od zagrożenia wojennego i wewnętrznego rozkładu. Utrwalenie żelaznej kurtyny może odprężyć na jakiś czas stosunki amerykańsko-sowieckie, ale nie rozwiąże żadnego z problemów europejskich, przeciwnie pozostawia wszystkim w zawieszeniu, ze wszystkimi zarodkami przyszłych niebezpieczeństw, wynikających z nieuniknionych dążeń wyzwolących w rodzaju rewolucji węgierskiej w roku 1956. Nie może istnieć, nie może nawet powstać Europa bez pewności, że Niemcy dochowają jej wierności bez względu na kuszenia sowieckie. Aby tych kuszeń nie było, musi zniknąć zastaw wschodnio-niemiecki w rękach sowieckich, a więc Niemcy powinny być zjednoczone. Ale zjednoczone Niemcy, to 75 milionów ludności, plus środkowe położenie w Europie, plus potencjał przemysłowy, plus talent organizacyjny, a w wyniku, możliwość innych pokus, których lepiej nie wywoływać. Zjednoczenie Niemiec musi być poprzedzone wypracowaniem wspólnej, francusko-niemieckiej doktryny europejskiej, a przeprowadzone jednocześnie z wyłuskaaniem z orbity sowieckiej jej europejskich satelitów, wszystkich, jeżeli to się okaże możliwe, a w każdym razie tych, którzy graniczą bezpośrednio z obecną Wspólnotą Sześciu, zarodkiem przyszłej Europy europejskiej. Dopiero zjednoczenie całej Europy kontynentalnej może stworzyć warunki dla przyjęcia W. Brytanii, o ile ta zdecyduje się grać lojalnie rolę członka klubu. Dopiero zjednoczona Europa będzie mogła pozwolić sobie na otwarcie granic celnych zarówno dla Ameryki, jak dla zwolnionego z hipoteki podbojów Związku Sowieckiego. Jednocześnie, przekształciwszy się w logicznie zorganizowaną całość terytorialną i w drugą z kolei potęgę gospodarczą, a pierwszą pomiędzy Sowietami i Stanami Zjednoczonymi potęgę ludnościową, będzie mogła podjąć się z powodzeniem roli promotora rozwoju gospodarczego i kultu-

ralnego na obszarze Afryki i Bliskiego Wschodu, a może nawet Ameryki łaćńskiej. W doprowadzeniu do takiego układu widzi de Gaulle misję Francji i jej wielkość.

Jego umysł jest chłodny, a logika nieludzka. Nie wiem, czy de Gaulle posiada sympatie do Polski i czy gotów byłby uczynić coś dla Polaków z powodów uczuciowych. Przypuszczam, że na skutek wspomnień z wczesnej młodości ma do Polski sympatię i że nie uczyniłby dla niej nic kosztem interesów francuskich. Ale to jest normalne w polityce. Lękalibyśmy się przyjaciela, który dla oddania nam przysługi narażałby interesy swego kraju. W planie de Gaulle'a, Polska odgrywa rolę czynnika równowagi na wewnątrz przyszłej Europy, a to dzięki swemu położeniu geograficznemu, potencjałowi ludnościowemu i gospodarczemu, a przede wszystkim dowiedzionej w czasie wojny i wykazywanej obecnie determinacji zachowania własnej osobowości politycznej i cywilizacyjnej. Polska wewnątrz zjednoczonej Europy, to jednocześnie, zdaniem prezydenta Francji, najlepszy pomost do stosunków z Rosją.

2) Drugie pytanie i wątpliwość zarazem dotyczy możliwości, jakimi rozporządza de Gaulle, gdy chodzi o realizację jego zamysłu, przyjmując, że taki plan istnieje.

Możliwości i przeszkody

Oczywiście, siły materialne Francji są ograniczone. Pod względem obszaru zajmuje ona drugie miejsce w Europie, ale w takim dystansie w stosunku do obszaru sowieckiego, że z tej kolejności nie można wysnuć żadnego wniosku. Pod względem ludnościowym zajmuje piąte miejsce w Europie, a pod względem gospodarczym piąte, lub szóste na świecie zależnie od miejsca Japonii. Gdyby jednak udało się stworzyć wspólną doktrynę europejską z Niemcami, to wówczas zarodek francusko-niemiecki obecnej Wspólnoty Sześciu stanowiłby drugą w Europie po Związku Sowieckim potęgę ludnościową i gospodarczą, a trzecią z kolei potęgę przemysłową na świecie. Wprowadzanie w życie traktatu francusko-niemieckiego ze stycznia tego roku zmierza właśnie do opracowania takiej doktryny, ale Niemcy nie przyswoją jej sobie wcześniej, jak po kompromisie amerykańsko-sowieckim w sprawie formalnego uznania podziału Europy i gdy obietnice amerykańskie przestaną być jedyną gwarancją bezpieczeństwa. Już ten powód wystarcza, żeby umocnić de Gaulle'a w jego decyzji wyposażenia Francji w atomową „siłę ciosu”, o ile w ogóle jakieś podniety byłyby potrzebne. Fakt posiadania jedynego dzisiaj narzędzia, jakie uchodzi za warunek prowadzenia niezależnej polityki międzynarodowej, stanie się największym atutem Francji, wyrównującym słabe strony w innych dziedzinach. Godnym podkreślenia atutem jest także położenie geograficzne Francji, które sprawia, że bez jej udziału nie można stworzyć żadnej Europy, nawet atlantyckiej i żadnego systemu obrony, który mógłby pozwolić Europie na wywiązanie się z roli przedmościa, osłaniającego Amerykę.

De Gaulle gra właściwie tymi dwoma elementami, potęgując ich absolutne znaczenie śmiałością swej wizji i odwagą działania.

Piętą achillesową jego pozycji jest jego osamotnienie polityczne we własnym kraju, oraz brak zrozumienia na terenie międzynarodowym. Oczywiście, dopóki nie dojdzie do jakiejś katastrofy gospodarczej, czy finansowej, wygra on każde referendum, gdyż przy każdej okazji bezpośredniego z nim stosunku masy ludowe pójdą w większości za nim, jako za tym, któremu zawdzięczają zakończenie wojny w Algierze, wprowadzenie ładu wewnętrznego, stabilizację franka, powolny, ale stały i widoczny wzrost stopy życiowej i wreszcie pewną satysfakcję z powodu przeciwstawiania się „Anglosasom”. Elita jednak, a zwłaszcza tak liczne w tym kraju elitarne korpusy osobowe, oparte na tradycjach szkolnych i solidarności zawodowej, albo go nie rozumie, albo go zwalcza. Miałem już okazję pisać o przyczynach tej wrogości. Nie przedstawia ona przeszkody nie do przebycia, gdyż słabą stroną elit, zwłaszcza partyjnych, jest utrata kontaktu z masami i wynikające stąd poczucie bezsilności, powodujące raczej odłożenie walki o władzę na okres, który nastąpi po odejściu de Gaulle'a. Największym jednak zagrożeniem planów szefa państwa francuskiego jest niewątpliwie brak wiary wśród elit francuskich w możliwość powrotu Francji do wielkiej roli w polityce międzynarodowej. Jest ta niewiara tragicznym dziedzictwem maltuzjanizmu politycznego, gospodarczego i biologicznego III Republiki, w której uformowały się najstarsze obecnie wiekiem pokolenia, zawodowo i politycznie jeszcze czynne, jest następstwem przegranej wojny i demoralizującego rozkładu IV republiki, a zwłaszcza trudności, wynikających z przejścia z pozycji państwa kolonialnego do sytuacji hexagonu, zajmującego kluczową pozycję w Europie.

Przebudzenie polityczne elit francuskich utrudnia w wysokim stopniu nieprawdopodobna ignorancja w zakresie wiedzy o zagranicy, a w szczególności, gdy chodzi o wiedzę o Europie Wschodniej. Przeciętny Francuz nie podejrzewa bodaj leżących przed jego krajem możliwości potencjalnych, wynikających z konfliktów, które historia wytworzyła na wschód od linii łączącej Hamburg z Triestem. Poziom studiów sławistycznych, jak o tym świadczą poświęcone temu zagadnieniu wydawnictwa, nie wytrzymuje żadnego porównania z dorobkiem niemieckim czy nawet angielskim w tej dziedzinie. Nie wiadomo dlaczego panuje wśród większości mieszkańców tego kraju legenda o jednolitości Słowian i przekonanie, że Polak, lub Czech, to prawie to samo, co Rosjanin. Idiotyczny slogan o *poussée slave* przeszedł do szeregu zasadniczych elementów myślenia politycznego przeciętnego Francuza i to nie tylko z mas ludowych, ale i z elit. W wypadkach skrajnych można się spotkać z poglądem, że to Zakon Krzyżacki był przedmurzem chrześcijaństwa przed słowiańskim parciem na Zachód. O tym, że nie było nigdy ekspansji polskiej, lub czeskiej i związanych z nimi narodów niesłowiańskich, jak Węgrzy i Rumunii, w kierunku zachodnim, a było tylko parcie rosyjskie, które od

początków 16 wieku aż do końca 18-go powstrzymywała zaporą polsko-litewsko-turecka, nic tutaj nie wiadomo w sferach kulturalnych. Trudno wyobrazić sobie, jak wielkie spustoszenia zaszły w umysłach francuskich pod wpływem sojuszu z Rosją, poprzedzającego pierwszą wojnę światową. Oczywiście, można Francuzom wskazywać choćby dorobek niemiecki, jako wzór, wcale przecież nie doskonały, studiów slawistycznych, ale to praca na daleką metę, wymagająca zbyt długiego czasu, aby przynieść natychmiastowy pożytek polityczny. Wypadki biegają bowiem z coraz bardziej zawrotną szybkością i rozstrzygnięcia mogą zapaść w najbliższych latach.

Omawiając konferencję prasową z 29 lipca, Walter Lippmann, stwierdza, chyba po raz pierwszy, że gen. de Gaulle patrzy dalej, niż prez. Kennedy, między innymi dlatego, że Francji potrzeba 10 lat dla przekształcenia się w potęgę nuklearną w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Po czym zadaje pytanie, które uważa prawdopodobnie za podchwytliwe:

„Czy Zachód musi czekać w bezruchu dyplomatycznym, aż Francja i kierowana przez nią Europa osiągną przyzwoity stan zbrojeń?”

Sądzę, że można wyręczyć de Gaulle'a w odpowiedzi. Walter Lippmann zapomniał o propozycji szefa państwa francuskiego z września 1958 roku w sprawie reorganizacji kierownictwa Sojuszu Atlantycznego przez dopuszczenie do niego głosu Europy. Nie wiadomo, oczywiście, jaki wpływ uzyskałaby Francja na politykę sojuszu. Nie można jednak przesądzać z góry, że nie uzyskałaby żadnego wpływu. A skoro tak, to usprawiedliwiona jest teza, że de Gaulle poszukiwałby w ramach i pod osłoną Sojuszu Atlantycznego realizacji planu, który uważa za swoją misję. Dążyłby, jak Stany Zjednoczone, do odprężenia w stosunkach pomiędzy Wschodem i Zachodem, lecz nie przez jednostronne ustępstwa, a tylko przez wysiłek załatwienia problemów europejskich, które po drugiej wojnie światowej zostały w zawieszeniu. Kto wie, czy zamiast traktatu o wstrzymaniu doświadczeń nuklearnych nie byłibyśmy świadkami umowy szerszej, przewidującej zniszczenie pewnej ilości wehikułów, umożliwiających pociskom nuklearnym spełnienie ich zadania. Znaleźlibyśmy się wówczas na progu rozbrojenia, a nie utrwalenia monopolu dwóch supermocarstw. Kto wie, czy zamiast projektu traktatu o nieagresji pomiędzy Paktem Atlantycznym i Warszawskim nie czytaliśmy dzisiaj opracowanej przez Paryż i Waszyngton wspólnej propozycji kierownictwa Sojuszu Atlantycznego pod adresem Związku Sowieckiego, przewidującej ułożenie, powiedzmy 10-letniego planu rozwiązania problemów europejskich przez stopniowe wycofanie sił amerykańskich i sowieckich z Niemiec Zachodnich, i Wschodnich, oraz z innych krajów zszatelizowanych, przez stopniowe przywrócenie tym krajom pełnej suwerenności państwowej aż do prawa zawierania dobrowolnych związków stowarzyszeniowych z kim zechcą, z Europejską Wspólnotą Gospodarczą włącznie, oraz przez neutralizację nuklearną całego obszaru, objętego taką umową. Wzajemian za to,

obok wycofania się Amerykanów z Europy, Związek Sowiecki uzyskiwałby rozwiązanie Paktu Atlantycznego, oraz wspólną, amerykańsko-europejską pomoc gospodarczą, umożliwiającą mu rozwiązanie narastających trudności wewnętrznych i przygotowanie się do odparcia jawnego już zagrożenia chińskiego.

To amerykańska ekskluzywność, na daleką metę szkodliwa dla amerykańskich interesów, przeszkodziła dojściu do porozumienia z Sowietami na zasadach uznania interesów europejskich. Szefowi państwa francuskiego nie pozostaje nic innego, jak uporczywa wierność celom jego strategii, osłaniania wszystkimi, dopuszczalnymi i nawet niedopuszczalnymi manewrami o charakterze taktycznym. Wśród tych manewrów może zająć potrzeba głosowania za uznaniem Chin i ich przyjęciem do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wynikające z takiego manewru przyspieszenie tempa rozwoju gospodarczego Chińskiej Republiki Ludowej z wszystkimi, mogącymi stąd wynikać następstwami politycznymi, może uczynić Rosję skłonniejszą do odkrycia Francji i porozumienia się z nią w sprawie rozwiązania europejskiego. Alarmiści francuscy, chorzy na obsesję izolacjonistyczną, posunęli się aż do puszczenia pogłoski o możliwości blokady angielsko-amerykańskiej przeciwko francuskim urządzeniom doświadczalnym na wysepkach Pacyfiku. Oczywiście, tego rodzaju akcja, mająca charakter wojenny wobec sojusznika, oznaczałaby koniec Przymierza Atlantycznego, nie ma więc potrzeby liczenia się z nią poważnie. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że zamiast dążyć do porozumienia z Francją i do zrozumienia interesów, których ona broni, a które nie są sprzeczne ani na bliską, ani na daleką metę z najistotniejszymi interesami amerykańskimi, prezydent Kennedy wybierze drogę nacisków, zewnętrznych i wewnętrznych, czyli stratę drogiego czasu. Tak, czy inaczej, bitwa o Europę rozpoczęta. Gdyby de Gaulle miał ją przegrać, zeszedłby z widowni, jako prekursor wielkiej idei, zwyciężony przewagą materialną z zewnątrz, oraz małodusznością własnego społeczeństwa. Wracającym z nowej Jałty towarzyszyłyby, prawdopodobnie, owacje tłumów. Kiedyś oklaskiwano Daladier i Chamberlaina, gdy wracali z Monachium. Ale cena zapłaconą za odprężenie okazała się straszliwa. Jako Europejczyk, pragnę zwycięstwa de Gaulle'a.

Paryż, 4 sierpnia 1963.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Perspektywy afrykańskie

W ostatnich latach jesteśmy świadkami emancypacji kontynentu afrykańskiego — procesu który zakończył erę kolonialną. Spadkobiercami europejskich mocarstw kolonialnych są państwa

murzyńskie o nowych, często zmienionych nazwach, których mozaika wyparła dawną, znaną nam różowość *Commonwealth'u* brytyjskiego, liliowość francuską i bodaj czy nie żółtość belgijską. Cóż ten proces oznacza, jaki jest sens tej emancypacji?

Zanim na to pytanie odpowiemy, spróbujmy najpierw zastanowić się przez chwilę jak do tego procesu doszło. Jakie były determinanty historyczne emancypacji kontynentu, które zdecydowały o tym, że proces ten odbył się w całej Afryce niemal że jednocześnie (poza południowym cyplem kontynentu) i że objął szczepy i ludy bez różnicy ich rozwoju cywilizacyjnego i bez względu na doktrynę kolonialną (lub brak jej) mocarstw odpowiedzialnych do momentu emancypacji za losy podopiecznych ludów.

W samym sformułowaniu pytania domyśleć się już można odpowiedzi. Jednolitość i jednoczesność emancypacji wskazuje na to, że spowodowały ją czynniki poza-afrykańskie, od miejscowych, jakże zróżnicowanych warunków, zgoła niezależne. Tak jak epoka handlu niewolnikami, a później era kolonializmu narzucone były kolosowi afrykańskiemu z zewnątrz, tak i jego emancypacja odbyła się, jeśli już nie wbrew, to przynajmniej bez jego decydującego współdziałania. *L'Afrique continue à subir*.

Stwierdzenie to jest oczywiście w zupełnej sprzeczności z oficjalną tezą, tak drogą czarnym politykom, których przemówienia z trybuny Narodów Zjednoczonych zaludniły w naszej wyobraźni europejskiej kontynent bojownikami o wolność w stylu Kościuszków i Waszyngtonów. Może ono nawet brzmieć reakcyjnie w zestawieniu z istniejącą literaturą, ba nawet poezją wyzwolenczą.

A przecież, jeśli emancypację Afryki porównamy do podobnych procesów które rozegrały się w Europie, Ameryce i Azji, to uderzyć nas musi to, że ten sam proces wyzwolenczy, który na tamtych kontynentach rozegrał się w czasie i przestrzeni, który przybrał najrozmaitsze formy stanowiące w istocie historię tych narodów, został w wypadku Afryki zakończony w przeciągu jednej dekady, przy akompaniamencie tych samych targów konstytucyjnych, konferencji okrągłych stołów, słowem omalże nużących swoją jednostajnością parafernaliów.

Decydującą bowiem przyczyną emancypacji Afryki była utrata kiplingowskiej wiary w misję kulturalną Białego. Póki ta wiara trwała, póki usprawiedliwiała użycie siły w imię niesienia cywilizacji, póty granice imperiów kolonialnych się rozszerzały. Co wówczas uchodziło za cnotę, dziś uważamy za zbrodnię. W imię dziś obowiązującej moralności powiesilibyśmy Cecil Rhodes'a i tylu innych *Empire Builders*, mimo, że współczesne im generacje stawiały im pomniki i nazywały kraje całe według ich imienia. Za utratą wiary przyszła krytyka, coraz jadowitsza, systemu i dokonań rządów kolonialnych. Spóźniona o dwa wieki reakcja sumienia Europy za krzywdę wyrządzoną Afryce w epo-

ce handlu niewolnikami przyspieszyła ten proces myślowy (1). Rywalizacja między Ameryką a Rosją w ukuwaniu sloganów wyzwolenicznych proces ten zakończyła. Doszło do tego, że trzeba dziś wielkiej odwagi, by zaryzykować już nie branie w obronę, ale krytyczną ocenę dokonania ery kolonializmu w Afryce. Antropologia porównawcza wysuwa dziś tezę o równorzędności wszystkich kultur i oskarża Europę w erze kolonializmu o obskurantyzm w ocenie miejscowych czarnych kultur.

W rezultacie tych procesów ideologicznych mocarstwa kolonialne rozpoczęły równocześnie w całej Afryce dekadę rozmontowywania imperiów kolonialnych. Tempo tej likwidacji, popędzane równocześnie z Moskwy i Waszyngtonu, wzrastało do tak historycznych proporcji, że wystarczyło Belgii dwudniowych rozruchów w Leopoldville'u, by doktrynę paternalizmu zamienić na 30-letni plan dekolonizacji, by z kolei (po następnych rozruchach) plan ten zastąpić bezładną ucieczką. Emancypacja Afryki nie kosztowała ni też ni krwi. Krew jeśli się polała, to nie w epoce walki o niepodległość, ale w wyniku jej uzyskania.

Budzący się dziś nacjonalizm (2) murzyński w niczym procesie dekolonizacji Afryki nie spowodował, ani nie przyspieszył. Można by, nie bez pewnej złośliwości twierdzić, że w ubiegłym stuleciu rewolty Zulusów i wojny ze szczepami Matabele, wojny uparte i krwawe, dostarczyły symptomów znacznie bardziej przekonywujących fermentu w Afryce, niż tych parę rozruchów i strajków rozspanych w czasie i przestrzeni, które poprzedziły dekolonizację. Gdyby istniał wówczas aparat presji międzynarodowej jakim są dziś Narody Zjednoczone, to Zulusi i inne szczepy afrykańskie mogły z równym, a raczej większym, prawem uzyskać niepodległość już sto lat temu. W okresie poprzedzającym emancypację Afryki nacjonalizm murzyński nie zdołał w żadnym punkcie kontynentu wytworzyć sytuacji eksplozywnej, która by mocarstwo kolonialne zmusić mogła do kapitulacji (3).

Tak więc era kolonializmu w Afryce należy do przeszłości. Zastąpiła ją niepodległość przynajmniej formalna, na którą złośliwcy ze Wschodu znaleźli już epitet neo-kolonializmu. Już sama etymologia tego słowa nawiązująca do skompromitowanego kolonializmu, nadaje temu nowotworowi wydźwięk. Trzeba przyznać że nie bez pewnej racji.

Sposób w jaki poszczególne kraje murzyńskie reagują na nowo-uzyskaną niepodległość — w przeciwieństwie do jednolitej ich pasywności w okresie narzucanej im emancypacji — zaczyna się

(1) Ocena strat ludnościowych wyrządzona Afryce w erze handlu niewolnikami waha się między 50 a 80 milionami.

(2) Określenie „nacjonalizm” użyte jest tu w braku odpowiedniejszego. Że jest błędne, tego dowodem jest to, że nie wiadomo jaki naród jest przedmiotem tego nacjonalizmu. Chyba nie naród murzyński.

(3) Rewolta Mau-Mau była sprawą jednego tylko szczepu i nie objęła żadnego z sąsiadujących z Kikuju szczepów.

różniczkować, tak dzięki innemu stopniu przygotowania do samodzielnego życia, jak i różnic etnicznych i cywilizacyjnych. Od anarchii i zaniku wszelkiej władzy w Kongu, po dyktaturę w Ghanie, obraz się zmienia, kontrasty są wielkie, ale mimo tych różnic nie trudno dopatrzeć się wspólnej nici łączącej te pozornie tak odmienne zjawiska. Nowopostale kraje murzyńskie muszą budować swój byt państwowy w warunkach niezmiernie trudnych. Ekonomicznie zacofane, cywilizacyjnie zapóźnione nie rozporządzają one żadnymi wprost środkami by olbrzymie braki wyrównać, by dzielącą ich od bardziej uprzywilejowanych narodów przepaść wypełnić. Dlatego siłą rzeczy muszą opierać się na pomocy z zewnątrz, dlatego niepodległość ich jest podległością we wszystkich dziedzinach, podległością w stosunku do emancypatora i do jego systemu. I to właśnie, ta podległość nazywa się neokolonializmem.

W najgorszej swojej formie neo-kolonializm polega na aliansie kapitalizmu z nowo-powstałą klasą czarnej burżuazji. Klasa ta zrodzona z niepodległego bytu wypełniła, a raczej przepeliła kadry byłej Białej administracji, wypełniła również nowo stworzoną, na Europie modelowaną, aparaturę demokracji. W rezultacie, tam gdzie przed niepodległością (*avant les événements*, jak się to w niektórych krajach mówi) wystarczał gubernator ze sztabem urzędników i techników mamy dziś sejm, senat, gabinet ministrów i cały rozdzęty (*la loi du petit copain*) komplet administracji, dublowany przez tych samych Białych, którzy poukrywani w bocznych pokoikach, bez pluszowego dywanika, przemianowani zostali na „doradców”. W wypadku federalnej konstytucji wszystko to trzeba jeszcze pomnożyć przez ilość partycypujących prowincji. Koszt tej nowej administracji jest wielokrotnie wyższy niż za czasów kolonialnych, raz z tego powodu, że aparatura demokracji (w niektórych krajach wypada jeden poseł na 6000 wyborców, podczas gdy w Europie proporcja jest 1/100.000) jest niezmiernie rozdzęta, a po wtóre że czarni dygnitarze kwalifikacyjnie wielokrotnie mniej wydajni od swych poprzedników przejęli skalę płac (wraz z dodatkiem kolonialnym) odziedziczoną po nich. Symbolem władzy w Afryce stała się bezszelestna limuzyna, z szoferem w liberii i... anonimowe konto bankowe w Szwajcarii.

Można by w nieskończoność przedłużać listę, raczej anegdotyczną, tych Lorenzo il Magnifico sprowadzających z uralskich kopalni, i to samolotami, malachit do swoich pałaców, tych Madame de Récamier w sukniach od Diora, na łóżkach ze szczyrego złota. Istotą problemu jednak jest to, że poza rzadkimi, zbyt rzadkimi wyjątkami uczciwości i idealizmu, nowa burżuazja przejęła od kolonializmu to co było w nim najgorsze.

Równocześnie odbywa się w całej Afryce powolna, ale konsekwentna selekcja in minus elementu „białego”. Zanika typ ideowego urzędnika dawniej wcale liczego, który swój zawód traktował poważnie, nieraz z misjonarskim zacięciem. Relegowany do

swego pokoiku, wkrótce zdaje sobie sprawę, że nie istnieje najmniejsza szansa przeprowadzenia żadnego z jego najrozsądniejszych postulatów. Prędzej czy później zrozumie, że tam gdzie zdrowy rozsądek i logika nie pomoże, tam przekupstwo zadziała. Ież czasu potrzeba na to by ten idealista zamienił się w cynika? Jego kolega, biały urzędnik reprezentujący jedno z przedsiębiorstw plantacyjnych, kopalnianych czy przemysłowych, stanowiących w całej omal Afryce jedyne źródło dochodu państwa, nie jest w lepszym położeniu. Zmuszony kalkulację swą opierać na znacznie wyższej marży zarobków (tam gdzie 10% oprocentowania kapitału inwestycyjnego wystarczało przed niepodległością teraz, z powodu niestałości reżymu 25%, czyli amortyzacja w przeciągu 4 lat będzie wymagana), zmuszony także „oliwić” całą machinę administracyjną dla zapewnienia funkcjonowania swego przedsiębiorstwa, łąduje w cyniźmie jeszcze znacznie szybciej od „doradcy”. Wzajemne oddziaływanie tych dwóch światów czarnego i białego nieuchronnie się pogarsza. I otóż to, to błędne koło, *ce cercle vicieux* stanowi o istocie neokolonializmu.

Mogłoby się wydawać, że czarna farba, której autor użył dla odmalowania dzisiejszej rzeczywistości w Afryce płynie z jego poczucia wyższości rasowej i pogardy dla Czarnego. Taki zarzut byłby niesłuszny. Głównym powodem niskiego poziomu moralnego burżuazji murzyńskiej jest to, że niepodległość spadła na te kraje bez żadnej z ich strony partycypacji, innymi słowy, znacznie za wcześnie. W rozwoju swym do statutu narodu historia wytrąciła Czarnemu okres przygotowawczy, okres który jest kuźnią charakterów i przywódców. W ogniu walk niepodległościowych nie wykształcił się u Murzynów element ideowy, bo tych walk nie było. Przeciwnie, ci którzy grają w Afryce rolę liderów rozumieją tę niepodległość, uzyskaną bez wysiłku, zupełnie opacznie, — jako coś co się im dla własnej ich, immamentnej wartości, przez świat cały uznanej, samo przez się należało. I to z racji zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone przez Europę Czarnemu, którego kultura dorównuje europejskiej. Utwierdzają w tym przekonaniu Czarnego modne dziś teorie antropologiczne, o których wspominałem już powyżej, a zwłaszcza licytacja między Wschodem a Zachodem o jego względy.

Za ilustrację tego twierdzenia niech posłuży fragment przemówienia Nkrumah wygłoszonego z okazji otwarcia uniwersytetu w Akrze: „Nie ulega już dziś żadnej wątpliwości, że z Uniwersytetem w Sangkoré Afryka uzyskała prawo, aby być zaliczoną, już od czasów średniowiecza, w poczet narodów przodujących intelektualnie światu. Gdyby ten Uniwersytet w Sangkoré nie był uległ zniszczeniu, gdyby Profesor Ahmed Baba, autor 40 prac historycznych nie był sam świadkiem zagłady swego uniwersytetu i swego dzieła, gdyby ten Uniwersytet w Sangkoré był przetrwał zniszczenia wywołane inwazjami, to historia oświaty akademickiej i rozwój intelektualny Afryki byłyby odmienne od tego czym są dziś. Afryka usiłowała wskrzesić i ożywić swoje tradycje

erudycji i swój wysiłek ku postępowi, ale, niestety, zamiast tego niewolnictwo i handel niewolnikami, ta zaraza kontynentu, owładnęła Afryką i zagroziła samemu bytowi naszej rasy”.

Słowa te w ustach czarnego intelektualisty i w dodatku dyktatora nabierają pewnego ciężaru gatunkowego. Znamiennie jest tu fałszerstwo historii, usiłujące przedstawić Czarną Afrykę jako ognisko średniowiecznej kultury, której dalszy rozwój został zahamowany, ba nawet przerwany wskutek *barbarzyństwa* białej cywilizacji. Piszącemu te słowa nie udało się jak dotychczas stwierdzić autentyczności prof. Baby, ani też faktu istnienia uniwersytetu w Sangkoré. Prawdopodobnie chodzi tu p. Nkrumah o szkołę mahometańską imam'ów, która istotnie kwitła w Sangkoré w średnich wiekach, ale która z Czarną Afryką nie wiele więcej miała wspólnego niż aleksandryjska szkoła neoplatońska z 4 wieku przed Chrystusem (4).

W tej perspektywie logiczne byłoby zaryzykowanie twierdzenia, że system opresji Verwoerda w Afryce Południowej jest historyczną szansą nacjonalizmu afrykańskiego wykucia własnej elity, zaprawionej w autentycznej walce o wolność. Jedyna zrozumiała dziś leaderom murzyńskim polityka szantażu między Wschodem a Zachodem nie sprzyja kształceniu się charakterów.

Usiłując odgadnąć dalszy rozwój sytuacji w Afryce należałoby postawić pytanie, jaka siła, lub kombinacja sił będzie zdolna złamać neo-kolonializm, to sprzysiężenie hamujące rozwój kontynentu. Taką siłą mógłby być oczywiście albo narzucony system totalitarnego komunizmu, albo wyłonione z amorficznej masy czarne chłopstwo. Odpowiedź czysto teoretyczna, bo na drugą wymienioną alternatywę należałoby zapewne czekać w najlepszym wypadku kilka generacji, a na pierwszą, na wprowadzenie do Afryki komunizmu — nie w oparciu o bagnety, nie ma — moim zdaniem — w tej chwili wiele szans. Na to komunizm musiałby w Afryce dysponować jakąś minimalną ilością kadr, których w tej chwili nie posiada, ani w najbliższej przyszłości wykształcić nie potrafi. Nie wydaje się prawdopodobne, by czarna burżuazja (a każdy wykształcony w Rosji aktywista automatycznie do tej klasy się zalicza), tak zafascynowana odziedziczonymi po kolonialnym władcy symbolami władzy miała z nich zrezygnować na rzecz surowości (*austerity*) postulowanej przez komunizm. Jeszcze wiele chyba wody upłynie w rzece Kongo, nim ideologia taka lub inna, prawicowa lub lewicowa, zapanuje tu korzenie. Coś na ten temat mógłby powiedzieć Kościół Katolicki, któremu pęd do posad tłuścio płatnych wypróżnił seminarium.

Czy istnieje trzecia alternatywa?

Jeśli siły wewnętrzne, działające na kontynencie, nie są i nie będą w stanie w najbliższej przyszłości przełamać neokolonia-

(4) Nkrumah w ogóle jest specjalistą od fałszerstw historycznych. Nazwa jego kraju „Ghana” nawiązuje do imperium murzyńskiego z czasów średniowiecznych o tej właśnie nazwie, które jednak ani terytorialnie ani etnicznie nie pokrywało się z dzisiejszą Ghaną.

lizmu, to w Afryce pogłębi się wytworzone już polityczne i ekonomiczne *vacuum*, które wypełni jakaś poza-afrykańska siła.

Demografowie przepowiadają, że w roku 2000 ludność świata wzrośnie do cyfry 6 miliardów. Czyż te 6 miliardów (z których 2/3 w Azji) walczące o każdy skrawek ornej ziemi, lepiące rękami terasy na lessowych zboczach Chin, oprze się pokusie wypełnienia afrykańskiej próżni? Czyż nie będą miały znakomitego powodu i to *natury etycznej*, do wkroczenia i zajęcia Afryki dla siebie? Czyż nie przytoczą na poparcie swych żądań argumentu, że prawo własności, niegdyś prawo absolutne, domaga się nowej interpretacji? W myśl której obszar zajmowany chwilowo przez jakiś naród nie jest jego absolutną własnością, ale jest mu dany w użytkowanie i to w imię dobra ludzkości, i że jeśli z tego zadania wywiązać się nie potrafi — będzie z tego obszaru, (znowu w imię dobra ludzkości) wyrugowany.

Łatwo sobie wyobrazić, że w imię tej zasady Azja będzie sobie rościła prawo zamienienia w swój śpichrz niewykorzystanych bogactw Afryki.

Może się wtedy okazać, że emancypacja Afryki zamiast być dla rasy czarnej dobrodziejstwem, stała się dla niej przekleństwem; że historia spletała Murzynowi bolesnego figla, nie dając mu łaskawie czasu — który przecież dała innym rasom — na powolne dostosowanie się do kultury, z którą go zetknęła, i że zadanie dostosowania się w przeciagu jednej generacji od prymitywizmu do epoki atomowej jest zadaniem ponad jego siły.

W tej perspektywie, gdy już nie o co innego chodzi, ale o przetrwanie czarnej rasy, nagłe, od 1960 roku, zainteresowanie się Chin Afryką, nabiera szczególnego wyrazu. Autor nie rozporządza żadnymi danymi na to by twierdzić, że Chiny są już świadome swej szansy historycznej, która się przed nimi otwiera, nie potrafiłby również udowodnić, że wzmagająca się ich z każdym rokiem działalność postawiła już sobie w tej chwili za cel opanowanie Afryki, ale z obserwacji ich metody wynika już, że w porównaniu z konkurentami z Ameryki, Europy, a także Rosji rozporządzają ogromnymi atutami, których tamtym brak. Do tych atutów należy zaliczyć, że Chiny występują tu jako kraj-rekonwalescent z długoletniego okresu wyzysku kolonialnego, że sami należąc do upośledzonych, walcząc we własnym kraju z głodem, pragną bezinteresownie pomóc nieszczęśliwemu czarnemu bratu, i to pomocą rękoma, których nie plami białość. Takie podejście zjednywa im zaufanie czarnego kontrahenta, więcej, stanowi dla niego namacalny przykład, że z impasu politycznego i ekonomicznego można wyjść własnym wysiłkiem i własnymi siłami.

Czy pod tym chińskim welonem bezinteresownego humanizmu kryje się świadomość historycznej szansy potwierdzająca tezę tego artykułu, o tym tylko dalsza obserwacja potrafi rozstrzygnąć.

Kronika angielska

„POEMAT DLA DOROSŁYCH”

Jerzy Putrament w dyskusji na XIII Plenum KC PZPR powiedział m.in. co następuje:

„Dla nikogo nie jest tajemnicą, że jesteśmy pod szalonym naciskiem wrogiej propagandy. Jesteśmy obiektem ustawicznego maglowania radiowego przez nieprzyjaciela. Na Zachodzie tworzy się specjalne pisma dywersyjne, obliczone nie tyle na polską inteligencję emigracyjną, ile właśnie na docieranie do kraju. Takim dywersyjnym pismem jest oczywiście paryska „Kultura”. To jest zupełnie zrozumiałe, nieprzyjaciel czuje, że tutaj są pewne możliwości penetracji i wykorzystuje te wszystkie możliwości”.

Niewątpliwie „Kultura” jest pismem „obliczonym na docieranie do kraju”. „Kultury” od pierwszego jej numeru nie uważaliśmy za pismo „emigracyjne” tylko za polski, niezależny periodyk wydawany zagranicą. Wydajemy „Kulturę” w Paryżu tylko dla tego, że nie możemy wydawać jej w Warszawie.

Lecz nim zajmiemy się wystąpieniem Putramenta poświęćmy chwilę uwagi referatowi tow. Wiesława. Gomułka przypomina... Chruszczowa i Orzeszkową *rolled into one*. Trącający myszką, sentymentalny patriotyzm koiarzy się w tow. Wiesławie z „kulturalnym” zamordyzmem. Nie rozumie i nie lubi pisarzy i intelektualistów. Posłuchajcie następującego, charakterystycznego fragmentu referatu Gomułki:

„Względna trwałość rewizjonizmu i złożoność walki z nim w dziedzinie ideologii wynika przede wszystkim z bazy społecznej, którą znajduje on w warstwach drobnomieszczańskich oraz w mentalności drobnomieszczańskiej. Rewizjonizm w krajach budujących socjalizm faktycznie zmierza do likwidacji marksizmu-leninizmu na rzecz socjaldemokratyzmu”.

Zamierzam wypowiedzieć nieprawdopodobną herezję, która jednak znajdzie pokrycie w faktach.

Proletariacka rewolucja w Europie może być zdetonowana wyłącznie przez intelektualistów burżuazyjnych, którzy piszą dla burżuazyjnej inteligencji, względnie dla burżuazyjnej *middle class*. Pisarzy i intelektualistów nie-burżuazyjnych w Europie (z wyjątkiem Sowietów) po prostu nie ma. Fakt, że literat czy naukowiec wziął swego czasu legitymację partyjną, którą później albo zwrócił albo zatrzymał — niczego nie zmienia. Można by wymienić serię nazwisk pisarzy krajowych z legitymacjami i bez legitymacji partyjnych — których lewicowość i postępowość tylko podkre-

ślają ich typowy burżuazyjny pion i rodowód. Jeżeli przez kulturę burżuazyjną rozumieć kulturę liberalną i zachodnią — to trzeba stwierdzić, że europejski intelektualista nie może jednego dnia porzucić tej kultury — bo wylądowałby w próżni. Mówienie w Polsce o socjalistycznej kulturze i jej odrębności jest nonsensem. To co w PRL chrzci się mianem socjalizmu z rozmaitymi przydawkami — w dziedzinie czytelnictwa bywa najczęściej upowszechnianiem w skali masowej kultury burżuazyjnej. Osobiście podejrzewam, że gusta literackie Gomułki są również w tym względzie reprezentatywne tzn. staroświecko-burżuazyjne. Pierwszy sekretarz z całą pewnością woli solidną prozę Sienkiewicza od mętnego Putramenta, woli Konopnicką niż Jewtuszenkę i odda wszystkich abstrakcjonistów za jeden rysunek Matejki.

Polska kultura zachodnia kwitnie na dużych marginesach. Kilka miesięcy temu Ludwik Hieronim Morstin z okazji 50-lecia swej pracy literackiej został odznaczony orderem Sztandaru Pracy 2-giej klasy. Jest to jedno z najwyższych odznaczeń Polski Ludowej. Morstin, miłośnik antyku, autor „W Kraju Latynów” i „Obrony Ksantypy” znakomicie reprezentuje polską wersję zachodniej kultury. Władze PRL postąpiły mądrze wyróżniając zaszczytnie takich pisarzy jak Morstina czy Parandowskiego. W ten sposób zmniejszają wagę „doświadczalnego odcinka” literatury kierowanej i nie odcinają się od głównego zachodniego prądu kultury polskiej.

Nie jest wykluczone, że w przyszłości pisarzami w pełnym tego słowa znaczeniu będą mogli być tylko Morstinowie i Parandowscy. Nastąpi wówczas jasno określony podział kompetencji. Współczesność, a więc cały wiek XX i XIX będą wyłączną domeną literatury, historii i socjologii, upartyjnionej i usocrealizowanej. Strefa tematyki „bezpiecznej” obejmie dzieje sprzed 200, 300 laty plus średniowiecze i antyk. Literaci będą pisali „Bolesławów Chrobrych” i „Stare Baśnie” a wiek XIX i XX będą nicowali partyjni propagandyści. Tego typu wykreślenie formalnej linii podziału pomiędzy literaturą a propagandą przyczyniłoby się wybitnie do wyjaśnienia sytuacji.

Pisarze *de facto* niczego nie straciliby wycofując się w przeszłość, ponieważ od dawna ich związek z współczesnością pozostawia wiele do życzenia. Związek z współczesnością nie polega na pisaniu kilometrowych — często wnikliwych — reportaży, ponieważ literatura nie jest narodową księgą załań. Społeczno-narodowa funkcja literatury polega na czym innym.

Wyjaśnijmy rzecz na aktualnym bieżącym przykładzie. Likwidacja „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury” oraz referat Gomułki na XIII Plenum — oznaczają zgodę między-frakcyjną na grobie „Października”. Okres po-październikowy z wszystkimi jego wzlotami, załamaniem i upadkami — dobiegł kresu. Cokolwiek jeszcze dzieli panów z KC pogodziła ich na razie wspólna wiara w zamordyzm i w „dokręcanie śruby”.

Spójrzmy na złożenie do grobu „Października” z perspektywy ściśle literackiej, ze stanowiska polskiej współczesnej literatury.

Jeżeli „Październik” jest martwy to po co Ważyk pisał swój „Poemat dla Dorosłych”? Po co Brandys pisał „Obronę Granady”, po co

dziesiątki innych utworów, wśród nich wiele wybitnych? Ktoś powie: Krzyk samotnego pisarza realizuje się nieraz po stu latach — słowo odważne owocuje niekiedy w następnych pokoleniach. Jeżeli wielkie wolno porównać z małym — przyznam, że nigdy nie przygniatała mnie frustracja, mimo przeraźliwie jasnej świadomości... przestrzeni jaka dzieli głoszone przez nas postulaty od niewymiernej daty ich realizacji.

Przyczyną frustracji nie jest klęska. Przyczyną frustracji jest uznanie klęski za nonsens. Nim „Październik” zlikwidowano — pogrzebano go pod kopcem „racji stanu”. Uniknięcie Budapesztu winno było oznaczać wybór innych metod a nie wyparcie się celu. Stratedzy „racji stanu” i głosiciele lojalistycznego pozytywizmu przekonali łatwo społeczeństwo, że w imię „dojrzałości” politycznej trzeba zrezygnować zarówno z demonstracji siły jak i z postulatów wolnościowych w imię których w Budapeszcie chwycono za broń. Dzięki owej „dojrzałości politycznej” nie chwyciliśmy za broń i zrezygnowaliśmy z celów, które przyświecały tym, którzy za broń chwycili. I dlatego z Budapesztu na Węgrzech pozostało coś bardzo istotnego, a z „Października” w Polsce nie zostało nic prócz frustracji.

Pod „racją stanu” lojalistów i pozytywistów pogrzebano „Poemat dla Dorosłych” i cały zryw polskiej literatury, który wiersz ten zapoczątkował i symbolizował. To nie jest literatura powstania, które poniosło klęskę. To jest literatura zrywu wolnościowego, który nim się uformował uznano za bezsensowny i sprzeczny z „racją stanu”.

W rezultacie ponieśliśmy znacznie większą klęskę niż powstańcy węgierscy. Powstańcom w Budapeszcie odebrano karabiny — polskim październikowcom odebrano coś znacznie więcej. I tu leży przyczyna frustracji i niewiary. Kto dziś zaryzykuje nowy „Poemat dla Dorosłych”?



Jerzy Putrament w cytowanym przemówieniu w czasie dyskusji na XIII Plenum stwierdził m.in.: „W tej chwili literaturę świata dałoby się podzielić na dwie wielkie kategorie — literaturę nadziei i literaturę rozpacz”.

Oczywiście nadzieja to Wschód — rozpacz to Zachód. Trzeba być wyjałowionym z poczucia rzeczywistości i humoru by wypalić z powagą taki nonsens. Na miłość boską — czy Putrament nie widział pierwszych kilku numerów warszawskiej „Kultury”? Czy można sobie wyobrazić wymowniejszy obraz nędzy i rozpacz?

Nie tylko rozpacz ogarnia gdy sięga się po prasę krajową. Stanisław Stomma w artykule pt. „W XIX Rocznicę” (tzw. „Manifestu Lipcowego”) peroruje:

„Nowy nasz polski dom państwowy budować trzeba na wielkim wicherze Historii powszechnej”.

Słownie, ale jak to zrobić?

Na to pytanie znajdujemy prostą i jasną odpowiedź w artykule Wła-

dysława Machejka — również krakowskiego mędrca — w jego płomiennym manifestie w „Życiu Literackim” nr 26:

„Tylko partia marksistowska i postępowi literaci, artyści mają tak bardzo wspólny, tak bardzo nieprzejednany stosunek do budowy nonkonformistycznego świata na czele z nonkonformistycznym człowiekiem. Wiele zależy od ludzi sztuki, żeby łączność pomiędzy potęgą materii regulowaną w naszych warunkach przez partię i wyzwoleniem ducha nie była złudzeniem”.

Jest jednak coś urzekającego w kryształowej jasności logiki marksistowskiej. Czytając Machejka trudno nie przyznać racji Bierutowi, który powtarzał: „W porównaniu z dialektyką wszystko jest łatwizną”. W porównaniu z dialektyką tow. Machejka wszystko jest łatwizną nawet „budowanie na wicherze Historii powszechnej”.

W artykule „Otwarty katolicyzm contra zamknięty marksizm” podkreśliłem snobistyczną wartość terminów: socjalistyczny, postępowy, lewicowy itp. W tej dziedzinie w kołach intelektualnych panuje wielki konformizm. Trzeba odwagi cywilnej, by w polskim klimacie powiedzieć o sobie, jak Kisielewski, że nie jest się *nawet* socjalistą. Wydawałoby się więc, że partia powinna znaleźć z łatwością wspólny język z pisarzami i intelektualistami, którzy w większości są lewicowi i postępowi.

W rzeczywistości jednak partia boi się lewicowości i radykalizmu intelektualistów. To jest bowiem „lewicowość otwarta”, więc potencjalnie groźniejsza niż „reakcyjność” Kisielewskich czy Cat-Mackiewiczów. Z punktu widzenia polityki partii — jeżeli pisarz nie jest ortodoksyjnym marksistą lepiej by był konserwatystą niż postępowym lewicowcem.

Wiem od ludzi z kraju, że najwięcej krytycyzmu w stosunku do partii spotyka się wśród robotników. Krytyka robotników jest rzeczowa i odważna. Wszyscy jednak są za socjalizmem. Za socjalizmem są robotnicy, intelektualiści, pisarze, postępowi katolicy i pracująca inteligencja. Wszyscy są za socjalizmem, lecz nikt nie jest za partią.

Polacy w przeciwieństwie do Rosjan nie są ani teoretykami ani ideologami. Najbardziej reprezentatywny i charakterystyczny w tej dziedzinie był krótki artykuł Leszka Kołakowskiego, który składał się z samych negatywów i jednego pozytywnego zdania końcowego. Kołakowski wylicza dokładnie i obszernie czym socjalizm być nie powinien i zamyka ową litanię stwierdzeniem, że socjalizm... to dobra rzecz. Po 19 latach Polacy doskonale wiedzą czym socjalizm być *nie* powinien, lecz nikt nie wie czym być powinien. Nikt nie ma koncepcji pozytywnej.

Droga do unowocześnienia polskiego modelu wiedzy poprzez demokratyzację. Ustrojowi dyktatury partii i zamkniętego marksizmu przeciwstawić trzeba ustrój demokracji i „otwartego socjalizmu”.

Choć wielu ludzi, zwłaszcza na emigracji, oburzają te słowa — twierdzą, że płacimy obecnie za poniewieranie demokracji w okresie dwudziestolecia. Nie mamy za sobą wypracowanego modelu i tradycji demokratycznej, nie mamy ani wiary w demokrację ani przywiązania do instytucji demokratycznych. Musimy zacząć od „A”, tak jak Rosjanie.

W Sowietach trzeba było niemal 50-ciu lat, by pierwsze nieśmiało

przebliski opinii społecznej stały się widoczne. Demokracja to jest opinia społeczna w akcji. Nie może być mowy o demokracji tam, gdzie nie ma żywej i czynnej opinii społecznej. Cynizm, dowcipy, wzruszanie ramionami — to nie jest opinia społeczna. Podział na „my” i „oni” również nie ma nic wspólnego z opinią społeczną. Obiektywnie rzecz biorąc Polskę należałoby okupować i poddać obliczonemu na wielką skalę programowi re-educacji i re-demokratyzacji. Program tego rodzaju musiałby być poparty siłą — w przeciwnym wypadku, po upadku komunizmu, mielibyśmy w Warszawie białą dyktaturę z tajną policją, Berezą itd.

Niestety nikt nas nie będzie wyzwał i nikt nas nie będzie re-demokratyzował. Nikt nam również nie da cudownej koncepcji i nie wymyśli dla nas zbawczego programu.

Przed kilku miesiącami rozmawiałem z pewnym uczonym krajowym, który przejazdem bawił kilka dni w Londynie. Ów pan — to Europa. Zachód, wielka kultura — można by go żywcem przenieść do Cambridge albo na Sorbonę. Takich jest wielu, lecz ci, najbardziej świątli, nie oddziałują. Na dnie duszy żaden z tych panów nie wie na czym polega różnica pomiędzy poddanym dyktatora, a wolnym obywatelem demokratycznego państwa. Postawę tych ludzi należałoby określić mianem „wyczekiwania”. Wyczekują zmiany koniunktury, liberalizacji, poprawy gospodarczej itp.

Demokracja zaczyna się od postawy wewnętrznej jednostki, która niestety dla większości Polaków jest całkowicie obca. Autentyczne przemiany społeczne nie są narzucane z zewnątrz czy to przez zaborcę czy przez „liberatora”. Autentyczne przemiany powodowane są zawsze naporem społecznym, którego źródłem jest aktywna postawa jednostek.

Demokracja nie musi oznaczać kopiowania Zachodu i może przybierać najróżniejsze formy. Demokracja jest w znacznie większym stopniu metodą pojmowania ustroju niż określonym ustrojem. Jednak w żadnym wypadku demokracja nie może oznaczać dyktatury mniejszości nad większością. Nie musimy powracać do socjaldemokracji dawnego typu. Lecz ostateczną próbą każdego ustroju socjalistycznego jest jego demokratyczność. Autentyczny socjalizm budować mogą tylko demokraci.

„BIAŁA KSIĘGA” W MINIATURZE

Kto z nas zna historię emigracji? W gruncie rzeczy znawców tego przedmiotu jest bardzo niewiele. Jedną z najbardziej dramatycznych kwestii w politycznych dziejach emigracji stanowi zagadnienie tzw. legalizmu. Innymi słowy, jak żyła i umierała druga Rzeczpospolita.

W dniu 6 czerwca 1947 r. zmarł w Ruthin Castle Prezydent RP Władysław Raczkiewicz. Prez. Raczkiewicz sprawował urząd prezydenta od dnia 1 października 1939 r. i w czasie wojny uznawany był za głowę Państwa Polskiego przez wszystkie polskie partie polityczne oraz przez państwa sprzymierzone i neutralne. Co stało się po jego śmierci?

To, co zaszło po śmierci prez. Raczkiewicza stanowi do dziś źródło rozłamów, sporów, polemik i setek artykułów, których wartość historyczno-dokumentacyjna bywa bardzo różna.

Jako londyński korespondent „Kultury” śledziłem z uwagą przebieg owego dramatu i w moich kronikach zainteresowani znajdą materiały do częściowego odtworzenia tego okresu naszych dziejów.

W niniejszej notatce chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na odpowiedź, której udzielił Adam Ciołkosz na interpelację w sprawie jedności politycznej na emigracji. Odpowiedź powyższa ukazała się jako załącznik do „Biuletynu EZN”, nr 10/11 — 63, i nosi tytuł: „Sprawa Politycznej Jedności Emigracji Niepodległościowej”.

Ciołkosz na 7 stronach pisma maszynowego opracował z niezmierną sumiennością i obiektywizmem historię tego ciernistego problemu. Opracowanie Ciołkosza nie jest ani polemiką ani krytyką tylko ustaleniem przebiegu historycznego rzeczowo udokumentowanego.

LONDYŃCZYK

PRAPREMIERA SENSACJI SOWIECKIEJ

Prasa światowa podała w końcu sierpnia wiadomość, że w „Izwiestjach” ukazał się poemat antystalinowski Al. Twardowskiego, red. nac. „Nowawo Mira”, pt. *Tiorğin na tamtym świecie*. Poemat ten, według informacji korespondentów zagranicznych, był skończony w 1963 r. Otóż poemat ten krążył w masowych odpisach po Rosji co najmniej od 6 lat, a jedna z kopii znalazła się w posiadaniu redakcji „Kultury” na początku 1962 r. Nie mogąc wydać tego poematu w języku rosyjskim, redakcja „Kultury” wyraziła zgodę na jego druk w wychodzącym w Monachium kwartalniku rosyjskim „Mosty”, gdzie ukazał się w nrze 10-ym na początku 1963 r.

Nie jest to zresztą nasza pierwsza „prapremiera”. W listopadzie 1961 roku „Kultura” drukowała, w znakomitym przekładzie Józefa Łobodowskiego, „wiersze anonimów sowieckiego”. W rok później wiersze te ukazały się w „Litieraturnoj Gazietie” jako wiersze pisane potajemnie w okresie „Kultu jednostki”.

Korzystamy z okazji by zawiadomić czytelników, że nowa powieść A. Terca „Liubimow” ukaże się w najbliższym czasie w ramach „Biblioteki Kultury” w przekładzie J. Łobodowskiego. Jest to już 9 (tak: dziewięć!) nielegalny rękopis jaki dostajemy ze Związku Sowieckiego.

Kontrapunkt amerykański

Artykuł Aleksandra Kawałkowskiego w marcowym numerze „Kultury” redakcja zaopatrzyła odnośnikiem, że traktuje go jako dyskusyjny. Nie wiem w jakim stopniu odnośnik miał na celu stwierdzenie, że tezy artykułu nie wiążą redakcji, a w jakim

był zaproszeniem do dyskusji. W tym drugim rozumieniu proszę o udzielenie mi głosu.

Artykuł Kawałkowskiego z września ub.r. i jego marcowe uzupełnienie są znakomitą pozycją w publicystyce politycznej. W odróżnieniu od naświetlenia poszczególnych fragmentów i aspektów polityki europejskiej de Gaulle'a i jego stosunku do Stanów Zjednoczonych, Kawałkowski poddał analizie całość tego zagadnienia. Podjął próbę postawienia problemu i stworzył konstrukcję logiczną, która może być kluczem do zrozumienia idei politycznych de Gaulle'a w zasięgu światowym. Ale w każdej konstrukcji są przesady i człony nie nasuwające zastrzeżeń i takie, co wzbudzają wątpliwości. Z niektórych pragnąłbym się tu zwierzyć.

Przed wszystkim — najbardziej efektowna — teoria zapalnika. Trudno powiedzieć, czy na niej tylko de Gaulle oparł decyzję stworzenia francuskiej, niezależnej broni nuklearnej czy też odgrywały rolę jeszcze inne czynniki. Jest to jednak obecnie sprawa niezbyt istotna, skoro w niedługim już czasie Francja będzie dysponować bronią atomową i w pewnych warunkach może rolę zapalnika spełnić. W tym punkcie rozumowanie Kawałkowskiego uderza swoją logiką: Stany nie mogą dopuścić, aby Europa stała się domeną sowiecką, co w razie konfliktu zbrojnego musiałoby nastąpić, gdyby Francję zostawić samą, oko w oko, z Rosją. Szala przechyliłaby się na stronę sowiecką tak silnie, że Ameryka znalazłaby się w sytuacji gracza szachowego, który stracił królową i musi przegrać partię. Toteż użycie przez Francję własnej, choćby skromnej rozmiarami, broni atomowej byłoby równoznaczne z uruchomieniem potężnego arsenału nuklearnego Stanów Zjednoczonych. Wszystko to wydaje się bezzębne pod tym jednakże warunkiem, że... Ameryka uzna ten stan rzeczy.

Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą — szczególnie dla nas, którzy tyle doświadczyliśmy na własnej skórze — że de Gaulle pragnie się uniezależnić od obcej decyzji i sam decydować w momencie zagrożenia o środkach obronnych. Niedawno Don Cook z „New York Herald Tribune” dotknął tego problemu, naświetlając zmiany, jakie zaszły w amerykańskiej doktrynie wojennej w Europie od czasów prezydentury Eisenhowera. Doktryna poprzednia przewidywała utrzymywanie w Europie wojsk konwencjonalnych w sile, zdolnej do powstrzymania pierwszego impetu ofensywy sowieckiej, przy równoczesnym użyciu wszystkich innych środków walki z bronią atomową włącznie. Po objęciu rządów przez Kennedy'ego, na skutek gwałtu podniesionego przez *appeaserów* różnego autoramentu, że sprawy tak doniosłej, jak rozpoczęcie wojny atomowej, nie można oddać w ręce generałów na froncie, przeniesiono decyzję użycia broni nuklearnej do Białego Domu, wprowadzając równocześnie do poprzedniej strategii „teorię wyczekiwania” (*pause theory*). Polega ona na utrzymywaniu w Europie wielkiej armii konwencjonalnej, która ma wdać się w wojnę typu przed-nuklearnego, a dopiero gdyby ta nie mogła włożonego na nią zadania spełnić, prezydent podjąłby decyzję o użyciu broni atomowej. Na tym tle zarówno obawy,

jak i decyzja de Gaulle'a mają swoje uzasadnienie. Oczywiście — z francuskiego punktu widzenia.

Nie można jednak zapominać o istnieniu kontrapunktu amerykańskiego. Bo jeżeli rozumiemy powody, dla których de Gaulle wzdraga się przed zostawieniem Ameryce wyboru momentu rozpoczęcia wojny atomowej w obronie świata zachodniego, to musimy uznać, że i Stany mogą nie chcieć powierzyć takiej decyzji de Gaulle'owi. Oczywiście z amerykańskiego punktu widzenia.

Kawałkowski daje do zrozumienia, że w sytuacji jaka zaistniała, Ameryka nie ma wielkiego wyboru i musi się z tym stanem pogodzić. Nie wydaje się, aby chciała i mogła się z tym pogodzić. Jeżeli tego prawa odmówiono generałom amerykańskim, których prezydent jest zwierzchnikiem, jeżeli utrzymuje się w Europie wielką armię konwencjonalną, której kosztą stanowią groźbę dla bilansu płatniczego Ameryki i kursu dolara, a to wszystko po to, aby ewentualność użycia broni atomowej odsunąć do najostateczniejszych granic, to czyż można przypuścić, aby decyzję tej wagi oddano czynnikiem poza-amerykańskim? Należy rozważyć tu dwa warianty. Pierwszy — to całkowite uzgodnienie polityki zagranicznej Francji i Ameryki i atmosfera wzajemnego zaufania. W tym wariantcie zapalnik byłby instrumentem technicznym, uznanym przez obie strony za „straż przednią” wojsk zachodnich. I drugi wariant: brak uzgodnienia zarówno celów, jak i środków działania, klimat niechęci i wzajemnych podejrzeń. W tej sytuacji zapalnik staje się instrumentem politycznym, a Ameryka jest zmuszona do szukania sposobów zneutralizowania zapalnika, aby wydostać się z paradoksalnej sytuacji, w jakiej słabszy sojusznik mógłby ją zmusić do rozpoczęcia wojny wbrew jej woli.

Trudno jest przewidywać, jakie próby mogłaby Ameryka w tym celu podjąć. Od mniej lub więcej rozsądnych aż do szaleńczych włącznie, do jakich Departament Stanu zdążył nas już przyzwyczaić. Ale jedna z takich ewentualności dopomina się, aby ją wymienić: jest nią możliwość bilateralnego układu amerykańsko-sowieckiego. Dużo się mówi i pisze o bezpośredniej linii telefonicznej Biały Dom — Kreml. Bez względu na to, w jakiej mierze wiadomości takie są ścisłe, myśli o bezpośrednim porozumieniu z Sowietami, lęgną się w niejednym umyśle amerykańskim. Nie sprawiałoby trudności ilustrowanie tego stanu rzeczy przykładami z niedawnej przeszłości. Najjaskrawszy jednak w tej chwili jest przykład Kuby, a wolta dokonana w ciągu ostatnich miesięcy w tej sprawie, jest godna zastanowienia. Zaprzestanie lotów rozpoznawczych nad Kubą, nagła zmiana stosunku do uchodźców kubańskich i ich ruchów wyzwolenicznych, a ostatnie zezwolenie udzielone liniom lotniczym amerykańskim przelotu do Ameryki Centralnej ponad wyspą celem „skrócenia czasu” — wszystko to są odgłosy pukania do bram Moskwy, nie Hawany.

Warto jest pamiętać, że pragmatyzm jest doktryną amerykańską i wykładnikiem jej postawy życiowej, a podporządkowanie

celów dalekosiężnych celom doraźnym ma swoje dość uprzywi-
lejewane miejsce w światopoglądzie politycznym Ameryki. Gdyby
wspólna platforma z de Gaulle'm okazało się nie do osiągnięcia,
nie trudno sobie wyobrazić, że potencjalny zapalnik mógłby ode-
grać rolę katalizatora, przyspieszającego proces dwustronnego
porozumienia amerykańsko-sowieckiego. Wydaje się, że w takim
układzie stosunków, jaki istnieje dziś, *rebus sic stantibus* —
teoria zapalnika postawiona jest prawidłowo. Gdyby jednak
Stany zostały się zmuszone do wytrącenia z rąk de Gaulle'a klucza
do amerykańskiego arsenału nuklearnego i układ stosunków zmie-
niły, to zapalnik bądź to rdzewiałby w magazynach, bądź użyty
— nie wypalił.

Wspomniałem przedtem o dwóch wariantach, w jakich należy
rozpatrywać stosunki francusko-amerykańskie. Ale jeśli za naj-
ważniejszy problem, nurtujący obecnie świat zachodni uznać impe-
rializm komunistyczny, to w gruncie rzeczy istnieje tylko jeden
wariant; pełne porozumienie francusko-amerykańskie, bez czego
nie ma scementowanego bloku zachodniego.

Mimo wszystko co Europa może mieć do zarzucenia Ameryce,
nie należy zapominać, że Ameryka stworzyła podstawę do dzi-
siejszego rozkwitu gospodarczego Europy, najpierw odbudowaw-
szy ją drogą „pożyczek”, a następnie rozbudowawszy via Plan
Marshalla. Wypada również pamiętać, że czyniąca tak duże po-
stępy gospodarcza i polityczna konsolidacja Europy rozwija się
bez przeszkód ze strony Rosji tylko dlatego, że odbywa się w
cieniu olbrzyma amerykańskiego. I wreszcie dobrze jest sobie
zdać sprawę, że jeszcze dużo wody upłynie w Sekwanie nim
Europa stanie się trzecią wielką siłą światową, do czego niejedno-
krotnie współpraca amerykańska, gospodarcza, wojskowa czy po-
lityczna może być potrzebna.

Toteż problemowi konsolidacji francusko-amerykańskiej na-
leży wyznaczyć pierwsze miejsce, przed wszystkimi innymi wzglę-
dami, stojącymi na drodze do tego celu. Byłoby niedorzecznością
przypuszczać, że de Gaulle tego nie widzi, co więcej, że do tego nie
dąży. Raczej sądzić należy, że uważa stosowaną przez siebie tak-
tykę — ostrą, nieustępliwą, często drażniącą — za prowadzącą
do tego celu najskuteczniej. Kawałkowski broni tej taktyki, wy-
kazując na przykładach, że de Gaulle ma „rację”. Ale o „rację”
nie warto się wadzić; bo czy kiedykolwiek grały one rolę w
polityce?

Jest natomiast faktem, że taktyką swoją de Gaulle antagoni-
zuje opinię amerykańską, co z pewnością nie stwarza klimatu
potrzebnego dla osiągnięcia porozumienia. W czasie wojny de
Gaulle na zarzut bezkompromisowości w stosunku do aliantów
dał znakomitą odpowiedź: jest zbyt słaby, aby pertrektować na
płaszczynie kompromisu. Dziś, na szczęście, może negocjować z
pozycji siły. Czyż tej zmienionej sytuacji nie powinna towarzyszyć
odmienna taktyka?

Damian S. WANDYCZ

Sprawy i troski

W oczach Londynu

RACHMAN = „the Pole”, „Polish Peter” a nawet „that despi-
cable Pole” („nikczemny Polak”). Język angielski powiększył się
o kilka słów pochodnych: Rachmanism, Rachmanite itp. W ocenie
przeciętnego czytelnika popularnej prasy codziennej Rachman
jest Polakiem bardziej reprezentacyjnym od... — i brak porów-
nania. Jesteśmy bezimienną masą: „London Poles”. Reprezentuje
nas „Polish Peter” Rachman.

Na użytek publiczny skonstruowany został efektowny „ima-
ge” Rachmana. Otyły Nero, rozgrywający spokojnie partie sza-
chów w Polskiej YMCA na Bayswater, podczas gdy pieczołowicie
przezeń wybrani i przeszkoleni „Schwartzes” z Ghany czy Jamajki
fachowo „wyżywiali” niewygodnych lokatorów urządzając impro-
wizowane wieczory muzyczne i koedukacyjne imprezy towarzy-
skie.

Rachman. Rzucił się w oczy, mięsisty, z apoplektycznym kar-
kiem, pożerający wielkimi kęsami funtową babkę w „Daquise”,
jakby wyróżniać chciał zaległości wielu pokoleń przodków i za-
spokoić żywiołowy pra-głód dostatku. Przed kawiarnią luksusowy
samochód wybijający się wyraźnie z szarej masy starych wozów
i studenckich motocykli. Przy Rachmanie dziś tak głośno „Schatze”
dobrane z najwyższym znawstwem, świadome swej roli (i ceny)
„Lolity” w najnowszych kreacjach Mary Qant z pobliskiego
„Bazaar'u”. Rozpoznamy je obecnie na fotografiach: kosztownie
rozkudłana Christine Keeler, sprytna Mandy.

Kto by pomyślał, że te właśnie zwierzątka wystąpią w roli
„nieoficjalnych i nadzwyczajnych komisarzy królewskich badają-
cych stan spraw w Wielkiej Brytanii” — jak słusznie ujął to
Anthony Sampson w świetnym artykule pt. „Revelation by scan-
dal” w „The Observer” z 21.VII. r.

Spektakl trwa, przeobrażając się z XIX-wiecznej operetki w
„cloak and dagger” melodramat — a wreszcie autentyczną trage-
dię. Obsada: minister i arystokraci, Murzyni o wysoce urozma-
conej przeszłości, lekkomyślny dr Ward — ofiarny opiekun oso-

bliwego fraucymeru, Iwanow — „czwarty do bridge'a” wyładowujący energię przy budowie skalnego ogrodu w Clivedon — a przy tym, do kompletu, nasz pan Rachman. I fantastycznie zestawiony korowód czołowych „poules de luxe” (Ł 250 za weekend, Ł 25-50 za przeciętną „sesję”).

Marginesowa w teorii sprawa Rachmana rozpełtała umiejętnie rozgrywaną przez Labour Party kampanię „mieszkaniową”. Rzec dzieje się pod nieobecność bohatera, który zmarł, jak się zdaje, w momencie dobrze wybranym, poślubiwszy na krótko przed tym, ku słusznej irytacji Mandy, tajemniczą Miss Audrey. Legenda o podstawieniu bezimiennego nieboszczyka i samotnych spacerach po Hyde Park'u posłuży zapewne za temat jakiemuś angielskiemu Simenon'owi.

Technika Rachmana polegała na wyzyskaniu słabości niedawnego rozporządzenia regulującego sytuację zasiedziających lokatorów („statutory tenants”), „stats” w malowniczym języku Rachmana. Obecność ich wpływała na obniżkę wartości sprzedażnej domu i uniemożliwiała przeróbki. Źródłem fortuny Rachmana były takie właśnie zagwożdżone przez „stats'ów” kamienice. Repertuar sposobów walki z nimi był szeroki i pomysłowy. Poza wspomnianym już chwytem muzycznym w grę wchodziły wszelkiego rodzaju efekty dźwiękowe i metody psychologiczne np. umiejętne mieszanie klas społecznych i kolorów skóry lokatorów. Gdy i te metody zawodziły zjawiali się robotnicy i pod pretekstem reparaacji zdejmowali dach. Dach znikał — i oni znikali. Działac natomiast zaczynały tzw. „acts of God” w postaci deszczu, śniegu lub wichury. Okazywało się ponadto, iż dom wystawiony jest na sprzedaż i że nie podobna ustalić adresu czy osoby odpowiedzialnej za administrację domu. Zrezygnowani „stats” zabierali lary i penaty. Dom potrajał cenę. Po przebudowie stawał się siedzibą szanownych lub dobrze płacących lokatorów. Proceder ten otrzymał obecnie oficjalną nazwę „Rachman technique”.

Sprawa Rachmana i wiązanie jej z mocno podkreślaną polskością wywołała w polskim Londynie żywą falę antysemityzmu. Instynkt wybielania i przerzucania odpowiedzialności dyktował odcinanie się od Rachmana, uznawanie go za jednostkę nie należącą do społeczności emigracyjnej. Jest to jednak daleko idące uproszczenie. Nie ulega wątpliwości, iż ów były kapral 2 Korpusu mówił poprawnie i chętnie po polsku, zatrudniał dawnych kolegów, składał sporadycznie skromne ofiary na cele polskie (np. na opiekę nad grobami żołnierzy polskich we Włoszech), był częstym gościem w „lokalach” polskich i do śmierci zachował wierność ciężkiej i tłustej kuchni sarmackiej. Czy w machinacjach swoich był wyjątkiem, jaskrawo odcinającym się od nieskazitelnie szlachetnej reszty posiadaczy analogicznych domów, klubów itp.? Czy ex-wachmistrz osadzający w strategicznym punkcie domu rosłego „Murzynka” z gitarą lub (częściej) niesfornego Hindusa z kilkorgiem dzieci działa z różnych i wznioślejszych pobudek, dlatego, iż może się wykazać piastowskim rodowodem?

Czy nie zanosi się przypadkiem na inne, równie skandaliczne rewelacje, których bohaterami mogą się okazać jasnowłosi Sarmaci wysokiego wzrostu?

Nie nastęrczaliśmy do niedawna materiału do porównań z „białymi” Rosjanami. Nastęrczamy go obecnie. Specjalnością pewnego odłamu uchodźstwa stały się kluby nocne i karciane i wiele związanych z nimi zawodów: barmanów, fordanserek, itp. Bohaterowie komedii Chudzyńskiego „Łowcy mgły” mają swe wyraźne odpowiedniki w wielu prototypach. Nawet szanowne, działające pod egidą wielkich nazwisk, „Ognisko” budzi wysoce mieszane uczucia, gdy od stolików dolatują fragmenty rozmów o planowanych transakcjach handlowych — albo, gdy wielka sala teatralna zapełnia się gęsto zastawionymi stolikami do pozornie niewinnej gry w brydża, która ciągnąć się będzie do białego dnia, angażując w przegranych niepokojąco wysokie sumy. „Marynki” i „White Eagle” ustępują miejsca „Polish and Russian specialities” i lokalom o nazwach tak osobliwych jak „La Vodka” czy „Cossacks”. Niedawny, niezbyt zresztą fortunny, sketch w satyrycznym programie BBC „That was that week that was” zdierał brutalnie nimb z łysin polskich pionierów kuchni kontynentalnej w Londynie.

Każda wielka metropolia nasuwa spryciarzom i kombinatorom możliwości łatwego „dojścia do forsy”. Prawo angielskie sprzyja na pewien sposób ich przedsięwzięciom. Szary człowiek jest po prostu bezsilny wobec dżungli przepisów i komentarzy; Rachman i jemu podobni widzą w nich niemal wyzwania do „wielkiej gry”. Wysoka stopa podatkowa prowokuje nadużycia — jak słusznie zauważył ekonomiczny felietonista „The Sunday Times” George Schwartz. Stąd, zwłaszcza w ostatnich latach — także i u rodaków — wzmożony pęd do ryzykownych kombinacji. A tu jeszcze śwędzą niejednego ex-bohatera należycie odleżałe, ostrożnie wyciągane z walizek „walory” i „kasztany”.

Sprawa Rachmana jest jednak, mimo wielkiego jej znaczenia, marginesem życia Emigracji. Stąd najżywsze jej echa w centrum Londynu. W szerokich masach, obrastających kępkami Suburbie, wyczuwać się daje coraz wyraźniej tendencja decentralizacji. Niedzielne spotkania towarzyskie przed Brompton Oratory, o których pisali ongiś Czaykowski i Sulik, należą już do przeszłości i nie mają swego odpowiednika przed kościołem na Chiswick'u, choć konkursy piękności samochodów odbywają się tam na większą skalę. Gdzie świeczka dla diabła, tam i Bozi ogarek. A więc przykładni parafianie ufundowali samochód proboszczowi ks. K. Sołowiejowi. Zebrano ponad 900 funtów — wymowne świadectwo rosnącej zamożności.

Sprawa swoistej komercjalizacji i małej użyteczności społecznej znacznej części majątku emigracyjnego wraca raz po raz na tapetę. Większość organizacji niechętnie publikuje sprawozdania finansowe i ujawnia adresy posiadanych przez nie domów itp. Czynną to natomiast bardzo chętnie organizacje i towarzystwa biedne, działające na ostrzu żyłki, z ciągnięciami się z roku na

rok deficytami w budżetach i długami w drukarni, a więc np. Instytut Historyczny im. Sikorskiego, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie czy Polskie Towarzystwo Historyczne. Mimo imponującego rozkwitu szkół sobotnich i niezmordowanych wyśiłek na odcinku publikacji podręczników nie wiele lepiej wygląda sytuacja Polskiej Macierzy Szkolnej, tego samorzutnie wyłonionego „komitetu ocalenia polskość”, odchodzącego szczęśliwie od amatorskich i nieporadnych form działania, które ciążyły nad początkami działalności.

W tych warunkach wydarzeniem godnym odnotowania był śmiało pomyślany projekt wielkiej emigracyjnej fundacji kulturalnej zrucony przez Polish University College Association Ltd. czyli tzw. PUCAL. Instytucja ta opublikowała szczegółowe wyniki gospodarki finansowej, nie ukrywając nawet pozycji tak drażliwych jak własne koszty administracyjne. Młodzież uznała to za swego rodzaju wyzwanie i — ustami Jerzego Dziewulaka — sformułowała w „Dzienniku Polskim” z 31 lipca postulat przeprowadzenia wywiadów „z wszystkimi organizacjami” „od politycznych do towarzyskich” i opublikowania wniosków w cyklu artykułów o „społecznym mieniu polskim”, które „jest własnością publiczną”.

Nie jest to, niestety, inicjatywa nowa czy odkrywcza. Wielokrotnie, a więc np. z okazji projektów Domu Polskiego w Londynie, podejmowano próby takich sondaży. Rozbijały się one nie tylko o opory instytucji, które z biegiem lat zamieniły się w rodzaj spółek akcyjnych czy spółdzielni zużywających *gros* dochodów na utrzymanie biur czy inne świadczenia na rzecz wąskiego grona wtajemniczonych. Zagrały również względy innej natury, a więc np. obawy przed nadmiernym napływem zgłoszeń o pomoc, strach przed elementem ryzyka związanym z każdym nowym przedsięwzięciem zbiorowym, ambicja utrzymania indywidualnego oblicza tej czy innej instytucji, i — w stopniu może najwyższym — właściwa podeszłemu wiekowi przesów niechęć do jakichkolwiek zmian.

Na tym ostatnim odcinku da się zauważyć zjawisko szczególnie niepokojące. Jest nim przerażająca obojętność zasłużonych skądinąd ale dobrze już zębem czasu nadszarpniętych seniorów o ciąg dalszy ich działalności, o przyszłość stworzonych przez nich instytucji, a nawet o dobre własne ich imię w oczach potomności. Większość reprezentacyjnych placówek londyńskich to kolosy na glinianych nogach, grożące zawaleniem gdy zbraknie kluczowych a „niezastąpionych” ich patronów. Sygnałem ostrzegawczym był nagły zgon śp. prof. Adama Żółtowskiego po wypadku ulicznym. Lekcja nie dostrzeżona. Wszelkie próby połączenia dublujących swą działalność (— i kulejących —) placówek rozbijają się o trudności statutowe i regulaminowe, choć te same statuty i regulaminy nasuwają równie bogate możliwości wprowadzenia zmian i poprawek dostosowujących normy prawne do wymogów rzeczywistości.

Tym tłumaczy się zarysowujący się coraz wyraźniej „konflikt pokoleń”. „Średniacy” odgrywają w nim stosunkowo nikłą rolę, „starsi panowie” poradzili sobie z nimi najłatwiej, przedłużając

w nieskończoność stan służby czynnej. Buntują się młodzi i najmłodszy, co w chłodnym rozrachunku zapisać można na dobro Londynu. Społeczność tutejsza jest niewątpliwie organizmem żywym! Tym większa potrzeba zapewnienia ciągłości i przekazania „młodemu”, „następcom”, „potomności” nieuszczerplonego a zadziwiająco dużego majątku społecznego. Są nim przecież niewątpliwie nie tylko zbiory archiwalne, muzealne czy biblioteczne, ale i mienie takich organizacji jak Towarzystwo Pomocy Polakom, Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim, Fundusz Społeczny Żołnierza, Polska YMCA, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów (i różne jego filiacje) itd. Stanowią one niejako fasadę — na planie dalszym kryją się niezliczone drobne organizmy dysponujące okruciami mienia społecznego. Losy ich budzą słuszną niepokój. Co np. dzieje się ze szczątkami majątku przedwojennego Towarzystwa Polskiego i jego domem na Earl's Court'cie? Ujawnienie całości obrazu miałyby niewątpliwie wpływ na oczyszczenie atmosfery i możliwości takiej reorganizacji assetów, która — bez podważania bytu organizacji żywych — dałaby podstawy stworzenia trwałej „przyszłościowej” fundacji. PUCAL, jako instytucja zmajoryzowana przez przedstawicieli świata technicznego, a wykazująca duże zrozumienie potrzeb humanistyki, mógłby odegrać tu rolę katalizatora dodatniego.

Czerwiec-lipiec 1963. Tzw. londyński „sezon”. Goście ze świata. A więc prof. Władysław Tatarkiewicz. Był przed rokiem i powrócił młodszy, jeszcze bardziej spragniony zwiedzania muzeów, bibliotek — a nawet kinoteatrów, przetrząsania „okazji” na londyńskim „pchlim targu” na Portobello Road. Skromnie przemilczał sukcesy naukowe i otwierające się przed nim szerokie możliwości publikowania prac własnych w czołowych firmach wydawniczych Oxfordu i Londynu. Jest, co tu mówić, autorytetem pierwszej klasy w światowych kołach estetyków. Innym światowym sukcesem uczonego polskiego są odkrycia archeologiczne prof. Kazimierza Michałowskiego na pustyni nubijskiej w Faras. „The Sunday Times Magazine”, kolorowy dodatek ilustrowany popularnego tygodnika niedzielnego, poświęcił cały niemal niemal numer z dn. 14 lipca reprodukcjom „Buried frescoes of the Nile”, kwitując otwarcie i z uznaniem zasługi ekipy polskiej.

Wieczór autorski Czesława Miłosza (*sorry, profesor* Miłosza) w Instytucie Sikorskiego. Powiewające u sufitu sztandary, o których nieposzanowanie obawiał się ongiś Zygmunt Nowakowski, i tym razem nie spadły. Przyjęły ponoć z wyraźną aprobatą i wzruszeniem wiersz Miłosza o matce Gajcego.

Nie mówi się już o Gombrowiczu, chyba w związku ze sprawozdaniem z obrad jury nagrody „Wiadomości” — (w nrze z 11 sierpnia). Był taki, owszem, o tak, tak... Teraz: MIŁOSZ. Ten głos, ta dykcja, „jak on te wiersze czyta”. Duma ponosi pannę Krysię z Biblioteki Polskiej: jeździła do hotelu po Miłoszów z ramienia „Kontynentów”; „Miłosz rozmawiał z mną o Conradzie” — rzuca od niechcenia Andrzej Busza. A więc Miłosz: profesor, pedagog, aktor, leader i poeta współdziałają w efekcie wie-

czoru. Kalifornia Jeffers'a nakłada się na Kalifornię bohatera wieczoru, nowe nuty: groteska („Rozmowy z panią Hermancją”, „Gucio z czarowany”); anglosaskie „detachment”; aura życiowego sukcesu; wyraźnie wynikające z nowych wierszy „zaakceptowanie otoczenia” (Kalifornii). W sumie: wydarzenie. Odtrutka na codzienność. Zastrzyk zachęty dla młodych, z którymi Miłosz (pedagog!) potrafi nawiązać kontakt zadziwiająco łatwo. Na sali: widety „starszych panów” strzygących uszami, czy prelegent nie szargnie sztandarami, intelektualistki z biżuterią z Cepelii, młodzi weterani literatury z „Kontynentów”, podekscytowane panieneczki i Magdalena Czajkowska z korektą angielskich przekładów wierszy Zbigniewa Herberta z „The Polish Review”.

Drugi (w kolejności przybycia do Londynu) gość z Kalifornii: prof. Wacław Lednicki. Na doroczne „uwielbiny”. W glorii najwyższych uniwersyteckich odznaczeń, ze świeżo uzyskanym dyplomem honorowym doktora praw Uniwersytetu Kalifornijskiego, stopniem rzadko i skąpo przyznawanym osobistościom największego formatu. Z pierwszym tomem pamiętników wydanym wreszcie przez Świderskiego. Imponuje szerokością zainteresowań, erudycją, sukcesami naukowymi. A także literackimi, bo w pamiętnikach objawił się jako tęgi pisarz i narrator.

Ta odświętność sezonu stwarza sztuczną fasadę przykładowej emigracyjnej wspólnoty. Jak w wystawionej właśnie w „Ognisku” zgrabnej komedii Edwarda Chudzyńskiego „Łowcy mgły”. Rzecz dobrze pomyślana: dwoje zbłąkanych dzieci: londyński krupier i fordanserka gra komedię szczęśliwej i szanownej egzystencji wobec nagle zjawiającego się z kraju leciwego ojca-profesora. Dobrze wydobyty element angielskiego „pretending”, życia na niby i pospolitego sarmackiego zakłamania. Na sali kto wie czy nie większość „krajowców” zwożonych pilnie autokarami na mniej lub więcej „grzecznościowe” zaproszenia.

Paryż zna to od dawna, przeżywa w skali większej od Londynu. Schemat się powtarza. Zainteresowany przyjazdem do Anglii „krajowiec” zapewnia przygodnego znajomego (albo i nieznanego), iż na terenie londyńskim ma solidne punkty oparcia i „da sobie radę” a angielskim włada swobodnie, gdyż od dwu tygodni lub miesiąca uczy się pilnie z płyt. Przyjeżdża z dwugodzinnym spóźnieniem. Policjant kieruje go na ów „zaproszeniowy” adres na dalekim przedmieściu. Taksówka pożera 90% „walut”, w szczytowym momencie wynoszących niespełna funta. W walizce: butelki spirytusu, puszka kawioru, płyty „Mazowska”, paciorki z brudnego bursztynu, pół kilo ciężko zdobytych kabanosów i wianuszek grzybowych suszonych. (Czasem wariant „sentymentalny”: prawdziwy polski groch na uczciwą grochówkę z boczkami albo kasza jaglana). „Grzecznościowa” przysługa okazuje się przysługą bez pokrycia — zapraszający przezornie wyrusza na niezależne własne wakacje, zostawiając dom na opiece angielskiej lokatorki, cockneyki-imperialistki. Wartość towaru błędnie wobec faktu, iż nikt nie chce wielkiej puszki kawioru a frędzle kabanosów powiewają nad ladą pobliskich „Delicatessen” na Ealingu. Komunikacja

zżera szyling po szylingu. Po Londynie miota się tłum zawiedzionych i rozgoryczonych turystów znęconych legendą o łatwym życiu i atrakcyjności gości z kraju, klnących na czym świat stoi.

Przeciętny i typowy bliźni z kraju pożąda okularów, sztucznej szczęki, cortison'u dla sąsiadki, zamszowej kurtki i wizy do Paryża. Gdyby był w Paryżu — pożądałby wizy do Anglii. Zmuszony do zmiany planów, niezrozumiany i pokrzywdzony, zarzuca sieci na krewnych, krewnych krewnych, British Council i „Ognisko”. Po czym: „Hajże na Woolworth'a! Na C A! Na Marksa i Spencera! (— „że Marks — mawiał nieboszczyk prof. Stroński — rozumiem. że Spencer — także. Ale żeby i Marks i Spencer i różowe majtki?”).

W garści — wymiętoszony funciak, w mózgu wizja płaszcza z plastyku dla ukochanej Jolanty. Ma być: mleczny, na trzy guziki, z ukośnymi kieszeniami, zdolny osłonić należycie biust ukochanej Sarmatki. Te godziny jazdy schodami ruchomymi! Te przetrząsania tysięcy artykułów mody damskiej nie odpowiadających surowym specyfikacjom krajowym! Te powroty do pierwszego sklepu i pierwszego płaszcza na wieszaku na lewo koło lady ze sztucznymi kwiatami! Ta rozterka duchowa! Ta decyzja ostateczna, epokowa!

Autokary przyjeżdżają co tydzień. Telefon: „Nazwisko moje nie panu nie mówi — przyjechałem z Jeleniej Góry — jestem kuzynem sąsiadki...” etc. etc. etc.

Lato. „Sezon” londyński trwa.

(m.l.d.)

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIEȚA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Gospodarka polska na bezdrożach planowania

Jak działa i rozwija się powojenna gospodarka polska? Można chyba stwierdzić bez większej przesady, że pytanie to zadawało sobie i zadaje miliony ludzi mieszkających w Polsce, jak również tysiące Polaków na obczyźnie, odwiedzających kraj, czy też otrzymujących listy od rodzin z potwierdzeniem odbioru paczek. Naturalnie przyniatająca większość osób miała i ma na to pytanie gotową odpowiedź: gospodarka działa i rozwija się źle, gdyż winni temu są komuniści, Związek Sowiecki, gospodarka planowa lub też kombinacja wszystkich trzech czynników. Na takie dictum nie ma właściwie kontr-argumentu, ale pomimo to jest to odpowiedź wręcz prymitywna, nie do przyjęcia przez ludzi, którzy dla takich czy innych powodów są sceptykami czy też domagają się racjonalnego wytłumaczenia istniejącego stanu rzeczy.

Przez długie lata ludzie ci zmuszeni byli do wysłuchiwania czy też wyczytywania całego szeregu ogólników, frazesów i banałów, które spływały na nich tak ze Wschodu jak i z Zachodu. Dopiero jakieś 10 lat temu zaczęły ukazywać się na Zachodzie poważne prace dotyczące systemu gospodarki sowieckiej i wkrótce biblioteki zapełniły się monografiami i studiami na prawie każdy temat związany z gospodarką sowiecką. Były to narodziny ery „sowiektologii” czy jak kto woli „kremlinologii”. Niebawem objęła ona nie tylko ekonomię ale wszelkie inne dziedziny życia w ZSSR, dopingowana bezsprzecznie przez sukcesy sowieckie na różnych frontach.

W tym samym czasie, jeśli chodzi o literaturę zachodnią, kraje wchodzące w ramy Bloku Sowieckiego pozostawały na uboczu. Po wypadkach w Polsce i na Węgrzech w 1956 sytuacja znacznie się poprawiła i dopiero wtedy eksperci zachodni doszli do wniosku, że monolit sowiecki przestał właściwie istnieć i że każdy z członków Bloku różni się od swych sąsiadów, nie mówiąc już nawet o ojczyźnie proletariatu, która przez tyle lat starała

się zniszczyć wszelkie istniejące odrębności. W dalszym ciągu jednak większość „sowiektologów” twierdzi, że aczkolwiek istnieją różnice jeśli chodzi o tradycje historyczne, strukturę klasową, stopę życiową itp., to nie ma większych różnic jeśli chodzi o ustrój i politykę gospodarczą. Do tej pory istnieje przekonanie, że model sowiecki można bez trudności zastosować do gospodarki czechoskiej czy węgierskiej i będzie on pasował bez poważniejszych przeróbek.

Jedną z wielu zasług omawianej książki (1) jest wykazanie że powyższy problem jest niezmiernie uproszczony, jeżeli nie całkowicie błędny. Autor, młody profesor ekonomii na uniwersytecie Yale, jest bodajże najlepszym specem w pewnych dziedzinach gospodarki polskiej i zdanie jego zasługuje na największą uwagę. Książka jego jest chyba pierwszą poważną próbą odpowiedzi na pytanie postawione na początku: jak działa i rozwija się gospodarka polska. Zaznaczyć tutaj trzeba, że autor traktuje gospodarkę polską w wąskim zakresie, tj. ogranicza się przede wszystkim do przemysłu i nie zajmuje się prawie zupełnie rolnictwem i innymi sektorami. Głównym tematem pracy jest analiza planowania gospodarczego, które w warunkach polskich nie miało zastosowania w rolnictwie. Na dodatek problem rolnictwa w dzisiejszej Polsce jest problemem politycznym zarówno jak i gospodarczym (czego nie można powiedzieć o przemyśle) i autor, jako ekonomista, postąpił mądrze pozostawiając rolnictwo na boku. Pozwoliło mu to skoncentrować się na aspektach gospodarki polskiej, które chociaż mniej atrakcyjne niż rolnictwo, są bodajże od niego ważniejsze. W podobny sposób Montias nie zajmuje się celami, ku którym dąży gospodarka polska a jedynie analizuje środki używane do osiągnięcia tych celów.

Książka Montiasa powinna być zadedykowana Komisji Planowania w Warszawie. Przewija się ona przez wszystkie rozdziały, macza palce we wszelkich możliwych dziedzinach, ustawia i burzy plany, zmienia ceny, i w ten sposób przez ostatnie 15 lat jakoś popycha naprzód ten wehikuł zwany gospodarką polską. Można by powiedzieć, że wysiłek autora poszedł w kierunku pokazania sposobów pchania tego wehikułu od 1945 po dzień dzisiejszy. Nie trzeba też podkreślać, że głównym motorem w tym wypadku był plan — jednoroczny, sześcioletni czy dwudziestoletni. Dlatego też Montias zaczyna swoją analizę gospodarki polskiej od analizy planowania.

W czasach stalinowskich, kiedy gospodarka polska była kierowana *à la russe*, planowanie było znacznie mniej skomplikowane niż dzisiaj. Nie brakowało wtedy jeszcze siły roboczej, supercentralizacja decyzji nie zawracała sobie głowy takimi problemami jak ceny i rynek, „wąskie gardła” były zjawiskiem raczej rzadkim. W połowie lat pięćdziesiątych sytuacja zaczęła się zmie-

(1) J.M. Montias, *Central Planning in Poland*; New Haven and London, Yale University Press, 1962.

niać i z konieczności musiał zmienić się sposób planowania, który do tej pory był raczej prymitywny, częściowo dlatego, że cała gospodarka znajdowała się na stosunkowo niskim stopniu rozwoju. W tym to czasie zaczęło brakować siły roboczej, istniejące fabryki pracowały na pełnych obrotach, tj. bez „luzu” produkcyjnego, zwiększał się z każdą chwilą asortyment towarów produkowanych przez przemysł, następowało stopniowe powiązanie przemysłów, które do tej pory nie miały ze sobą wiele wspólnego (np. przemysł włókienniczy i samochodowy).

Również w tym samym czasie zaczęto w Polsce zastanawiać się nad samą teorią planowania. W okresie stalinowskim planowanie opierało się na rozwiązywaniu szeregu równań, które z kolei wyznaczały niewiadome, tj. produkcję globalną w danym dziale przemysłu. Równania te opierały się z zasady na jednym tylko sposobie produkcji danego towaru, co samo przez się uniemożliwiało jakąkolwiek eksperymentację. Montias wykazuje, że w takich warunkach nie ma pewności, czy dany plan oparty na powyższych równaniach pozwala na optymalne wykorzystanie istniejących zasobów. Ponieważ ceny w systemie gospodarczym typu sowieckiego nie odzwierciedlają w pełni tzw. „rzadkości”, nie mogą być użyte w celu sprawdzenia czy dany plan jest planem optymalnym. Jedynym wskaźnikiem wykazującym, że plan przygotowany był błędnie, jest powstanie deficytów i nadprodukcji w różnych działach przemysłu. Jeżeli jednak nie ma ani deficytów ani nadprodukcji, czyli, że bilanse materiałowe i siły roboczej sporządzone były prawidłowo, to według autora nie znaczy to wcale, że dany plan jest planem optymalnym. Ostateczne plany zatwierdzone przez Komisję Planowania mogą być planami optymalnymi, jeżeli oparte są na prawdziwych danych. Nie można tego jednak automatycznie sprawdzić, poza prymitywną metodą tzw. *trial and error*, chyba że istnieje system prawidłowych cen.

Ceny ustawione prawidłowo pozwoliłyby planistom spróbować rozdzielić istniejące zasoby pomiędzy konkurujące ze sobą działy czy metody produkcji i w ten sposób ustalić optymalny plan. Nawet gdyby ceny takie istniały, Montias nie ma jednak większych złudzeń co do sukcesu planu. Z dużą dozą słuszności i znajomości stosunków polskich stwierdza on, że dopóki istnieją trudności z ustaleniem planu „zbilansowanego” (tj. bez deficytów i nadprodukcji), dopóty trudno wymagać aby planiści mogli eksperymentować z planem optymalnym. Pod tym względem autor różni się od Oskara Lange, który w czasie jednego ze swych odczytów na uniwersytecie Columbia stwierdził, że ze „zbilansowaniem” planu już sobie w Polsce poradzono i że w tej chwili pozostaje tylko kwestia „optymalizacji”.

Główna część pracy Montiasa poświęcona jest problemowi cen w Polsce. Warto by tutaj zaznaczyć, że autor jest chyba w tej chwili największym autorytetem w tej właśnie kluczowej dziedzinie i ekonomiści z budynku przy Placu Trzech Krzyży mogliby się od niego niejednego nauczyć.

Montias rozpoczyna swą analizę od stwierdzenia, że planiści

w systemach gospodarki planowej stoją przed poważnym dylematem, który w gruncie rzeczy uniemożliwia prowadzenie racjonalnego rachunku gospodarczego. Innymi słowy, jeśli planiści nie dysponują wszelkimi danymi niezbędnymi do wyznaczenia optymalnych rozmiarów produkcji, to w takim razie muszą mieć racjonalne ceny, które mogłyby spełniać podobną funkcję. Skoro jednak rynek w pełnym tego słowa znaczeniu nie istnieje, to cen tych nie można zdeterminować przy braku optymalnych rozmiarów produkcji. Ponieważ planiści nie mają do swej dyspozycji ani prawidłowych (racjonalnych) cen ani wszystkich danych dotyczących produkcji, plany z natury rzeczy nie mogą być planami optymalnymi.

Analizując przyczyny braku efektywnego systemu cen, Montias dochodzi do wniosku, że głównymi przeszkodami w tym wypadku są racjonowanie tzw. dóbr producentów i wyznaczanie planów w jednostkach fizycznych. I w jednym i w drugim przypadku ceny są zupełnie niepotrzebne. Planowanie w jednostkach fizycznych doprowadzało do takich paradoksów, że konsument danego dobra (np. fabryka maszyn zgłaszająca zapotrzebowanie na pewną ilość stali) żądała w pierwszym rzędzie odgórnego wyznaczenia pułapu produkcji, na podstawie którego mógłby skalkulować swoje zapotrzebowanie na dane dobro. Z drugiej strony pułap ten mógł być wyznaczony przez Komisję Planowania w trakcie rozdziału danego dobra pomiędzy działy produkcji czy przedsiębiorstwa, i do tego potrzebne było zapotrzebowanie wziętej na przykład fabryki maszyn. Według autora, jedynym wyjściem z tego impasu byłoby jednoczesne koordynowanie produkcji i zapotrzebowania w postaci jednego, integralnego procesu. Nie jest wykluczone, że szersze zastosowanie maszyn elektronicznych pozwoli na to w przyszłości, i sądząc po odgłosach dochodzących ze Związku sowieckiego i Polski, tamtejsi ekonomiści przywiązują do tego ogromną wagę.

Powyższe uwagi dotyczyły przede wszystkim planowania na krótki okres czasu. Przy planowaniu na dłuższe okresy czasu dochodzi jeszcze kwestia planowania inwestycji. Tutaj planiści napotykają na jeszcze jeden dylemat, a mianowicie muszą zdecydować czy lepiej jest planować przy pomocy bilansów „perspektywicznych”, które zależą w dużej mierze od bilansów „bieżących” i które otoczone są atmosferą niepewności, czy też stosować rachunek efektywności inwestycji, oparty na cenach, które nie odzwierciedlają ani „rzadkości” bieżących ani przyszłych.

W latach zaraz po wojnie inflacja zniekształciła ceny i na dodatek brak było danych dla planowania „fizycznego”. W latach 1949-1955 rachunek ekonomiczny został odrzucony ale jednocześnie nie zrobiono postępów w metodach bilansowania materiałów. Podstawą dla inwestycji były decyzje polityczne i ani ceny ani koszty nie miały najmniejszego wpływu na te decyzje; partia żądała tylko aby plany były zbilansowane. Po 1955 planiści próbowali połączyć planowanie „wartościowe” i „fizyczne” i dzięki postępom w technice planowania odnieśli pewne sukcesy.

W tym miejscu Montias stawia pytanie, czy w systemie, w którym wszelkie dobra są ściśle racjonowane i w którym bilanse perspektywiczne przejęły funkcje rachunku ekonomicznego, ceny posiadają w ogóle jakiś sens poza tym, że służą dla celów agregacji i kontroli, nie mając najmniejszego wpływu na decyzje w sprawach produkcji. Według autora w latach 1949-1951 komuniści w Polsce próbowali wyeliminować ceny jako środek dla rozdziału (alokacji) zasobów, zastępując je decyzjami administracyjnymi. Próba ta zakończyła się fiaskiem, głównie na skutek nawału roboty papierkowej. Od tego czasu zdecydowano, że tzw. „prawo wartości” oddziałuje na decyzje producentów i wobec tego ceny jako pochodne „wartości”, powinny być używane dla podopory planów „fizycznych”.

I tutaj jednak również planiści napotkali na dylemat. Okazało się, że funkcji cen jako rozdzielnika zasobów nie można było pogodzić z ich funkcją jako środków agregacji i kontroli. Te ostatnie z natury rzeczy muszą być względnie łatwe do ustalenia i, co ważniejsze, powinny pozostawać na niezmiennym poziomie przez dłuższy czas. Z drugiej strony, po to aby ceny pomagały producentom w podejmowaniu prawidłowych decyzji, muszą one odzwierciedlać bieżące „rzadkości”, które zmieniają się względnie często. Na dodatek przy planowaniu inwestycyjnym i perspektywnym ceny powinny odzwierciedlać „rzadkości” przyszłe. Podobnie jak i w innych wypadkach planiści rozwiązali powyższy dylemat kompromisowo, co w rezultacie nie przyczyniło się do polepszenia sytuacji na tym odcinku.

Jednym z najciekawszych rozdziałów książki Montiasa jest historia reform cen w Polsce. Czytając go ma się często wrażenie, że Komisja Planowania jak i inne resorty gospodarcze w Polsce. prowadzone są przez nieuków, dla których podstawowa analiza ekonomiczna jest czymś zupełnie obcym. Montias cytuje przykład reformy cen w styczniu 1953, która załamała się w dwa dni później na skutek reformy płac, która nie została wzięta pod uwagę przy wyznaczaniu nowych cen.

Nic dziwnego więc, że jednym z pierwszych tematów dyskusji „modelowych” podjętych przez ekonomistów polskich w połowie 1956 była kwestia cen. Dyskusja o cenach i o ich zastosowaniu w planowaniu ciągnęła się do 1958. Brali w niej udział czołowi ekonomiści dzisiejszej Polski — Lange, Kalecki, Brus, Lipiński i wielu innych. Pomimo zasadniczych różnic w poglądach na pewne podstawowe zagadnienia, wszyscy zgadzali się, że reforma cen jest rzeczą absolutnie konieczną. Ostatecznie w lipcu 1960 miała miejsce szeroka reforma cen, wprowadzająca w życie większość uzgodnionych poprzednio postulatów. Najważniejszymi wśród nich były: utrzymanie cen na niezmiennym poziomie przez dłuższe okresy czasu (postulat tzw. „planistów” faworyzujących planowanie „fizyczne”); struktura cen krajowych miała być zbliżona do struktury cen światowych i ceny dóbr (z wyjątkiem surowców) miały być oparte na kosztach przeciętnych ponoszonych przez najmniej wydajne („najdroższe”) przedsiębiorstwo.

Dwa ostatnie postulaty były wysunięte przez zwolenników oparcia cen na kosztach krańcowych, którzy w ten sposób chcieli chociaż zapewnić pewną racjonalność w układzie cen.

Oceniając reformę 1960 Montias stwierdza, że główną jej zaletą było umożliwienie ulepszenia kalkulacji inwestycyjnych. Z drugiej strony nowe ceny nie są lepszymi wskaźnikami wyboru pomiędzy procesami produkcyjnymi na krótki okres czasu, ponieważ w dalszym ciągu nie odzwierciedlają one „rzadkości” danego dobra w danym momencie. Aczkolwiek istniejący obecnie system cen nie jest układem racjonalnym, autor uważa, że dopóki zasoby rozdzielane są na drodze zarządzeń administracyjnych, dopóty istniejące ceny nie będą miały wielkiego wpływu na podejmowanie błędnych decyzji o wyborze takiego czy innego procesu produkcji.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szersze omówienie szeregu innych tematów poruszonych przez autora, jak np. problem inflacji, różne sposoby „łatania dziur” w planie, załamanie się planu sześcioletniego czy też zmiany w gospodarce polskiej po październiku 1956. Każdy z tych tematów analizowany jest niezmiernie wnikliwie, z dużą dozą obiektywizmu i ogromną znajomością przedmiotu. Zainteresowani czytelnicy znajdą w załączniku analizę matematyczną szeregu problemów związanych z planowaniem, która dla zwykłych śmiertelników niewiele się różni od czarnej magii. Biorąc pod uwagę fakt, że Polska, w przeciwieństwie do większości członków Bloku Sowieckiego publikuje znaczną ilość danych statystycznych, jedną z zasług autora jest to, że potrafił przebrnąć przez ich gąszcz i wykorzystać je do maksimum.

Czy książka Montiasa ma jakieś słabe strony? Jednym z zarzutów, które można by jej postawić to brak ciągłości między poszczególnymi rozdziałami, na skutek czego czytelnik dość łatwo gubi się w masie bądź co bądź skomplikowanej analizy. Poza tym odczuwa się do pewnego stopnia brak szerszego omówienia takich zagadnień jak polityka budżetowa i problemy handlu międzynarodowego. Również popaździernikowe dyskusje modelowe zasługują na dużo szersze omówienie niż ma to miejsce u Montiasa. Jak widać, powyższe zarzuty dotyczą tylko stosunkowo drobnych spraw i bynajmniej nie pomniejszają poważnego wkładu autora do znajomości teorii i praktyki planowania w Polsce.

Warto w tutaj zaznaczyć, że powyższy pogląd nie znajduje echa w Polsce. Aczkolwiek książka Montiasa ukazała się przeszło rok temu, do tej pory żadne z poważnych czasopism ekonomicznych wychodzących w kraju nie zamieściło jej recenzji. Można zgodzić się, że „prawda w oczy kole” ale nie ma usprawiedliwienia na podobne postępowanie, szczególnie gdy te same pisma zawierają recenzje książek wydanych na Zachodzie, których większość nie umywa się do pracy Montiasa.

Wielka Encyklopedia Powszechna

Historia polskich wydawnictw encyklopedycznych nie jest bogata. Nazwiska wydawców, którzy się w niej zapisali wyciszyć można na palcach jednej ręki, wśród nich zaś jednemu tylko Orgelbrandowi udało się doprowadzić do końca wielkie zamierzenie. Ale od czasów Orgelbranda zbyt wiele rzeczy na świecie uległo zmianie, toteż mówić tu możemy istotnie tylko o historii.

W świecie współczesnym, gdzie poszczególne dziedziny nauki specjalizują się coraz bardziej, nikogo nie trzeba przekonywać o konieczności posługiwania się encyklopedią. Niezmierna popularność i stałe aktualizowanie wydawnictw tak sławnych jak *Britannica*, *Larousse* czy *Brockhaus* prawdę tę potwierdzają z każdym rokiem, mnożące się zaś wydawnictwa pomniejsze w całym świecie są jej następnym dowodem. Istnieją i powstają instytucje, których jedynym celem jest publikacja różnorodnych encyklopedii ułatwiających czytelnikowi znalezienie obiektywnej, zwięzłej i możliwie najaktualniejszej informacji w każdej z niezliczonych dziedzin współczesnej nauki i wiedzy o toczącym się coraz szybciej i coraz bardziej skomplikowanym życiu.

Czytelnik polski przez długie lata informacji takich był pozabawiony. Tomy Orgelbranda czy nieukończonej *Ultima Thule* z 1938 r. dawno przestały informować, podejmowane zaś przed wojną kilka- czy jednotomowe encyklopedie również pobrzmiwają dzisiaj historyczną nutką i próżno by w nich szukać wiadomości o sprawach, którymi dziś żyjemy — od politycznego podziatu świata poczynając a kończąc na postępie nauki czy sztuki. Trzeba było dwudziestu lat i pewnego zmniejszenia napięcia w stosunkach krajowych, by dopiero w 1959 r. ukazać się mogła *Mała Encyklopedia Powszechna PWN*, opracowana i wydana w rekordowym jak na tego typu wydawnictwo okresie trzech lat. Rekordowym tym bardziej, że rozpoczynać musiano w całkowitej próżni, budując zarówno warsztat pracy jak i zbierając materiały oraz niełatwe doświadczenia bez żadnego precedensu. *Mała Encyklopedia Powszechna* okazała się wielkim sukcesem — jej 50-tysięczny nakład szybko wzrósł do 400 tysięcy i dziś, po czterech latach jest całkowicie wyczerpany. Zostawiając na boku ocenę jej zalet i wad, omówionych ówczesnie w „Kulturze”, stwierdzić trzeba, że w warunkach polskich, przy różnego typu naciskach zewnętrznych encyklopedia ta osiągnęła maksimum obiektywizmu, na jaki sobie pozwolić można było, i że dała czytelnikom to, czego próżno szukać by mogli w trudno dostępnych encyklopediach zagranicznych: zwięzłą i aktualną informację o współczesnym świecie, jego ludziach, sprawach i wydarzeniach. I rzecz charakterystyczna: podjęte równocześnie wydawnictwo miesięcznych ze-

szytów encyklopedycznych (*Encyklopedia Współczesna*), wzorowanych na *Larousse Mensuel* po półtora roku istnienia zawiesiło działalność z braku subskrybentów, natomiast popyt na jedynotomową lecz pełną encyklopedię trwa dotychczas nieprzerwanie.

W tej atmosferze rozbudzonego zainteresowania, zaspakajanego częściowo tylko przez różne encyklopedie podręczne, obejmujące jedną gałąź nauki czy wiedzy (prawo, zdrowie, technika, przyroda, muzyka itp.) Państwowe Wydawnictwo Naukowe w Warszawie rozpiisało prenumeratę na dzieło ogromnego kalibru — Wielką Encyklopedię Powszechną w 13 tomach, której tom pierwszy ukazał się niedawno (1). 130-tysięczny nakład, dostępny na razie tylko subskrybentom, raz jeszcze potwierdził potrzebę i wielkie zainteresowanie tego rodzaju publikacją, bez względu na cenę całości przewyższającą przeciętny miesięczny zarobek w Polsce.

Jest rzeczą oczywistą, że trudno na podstawie jednego tomu opiniować o całości, można jednak na jego przykładzie ocenić zarówno rozmach przedsięwzięcia jak i dotychczasowe rezultaty pięcioletniej pracy zespołu autorów i redaktorów, nad którym, zwykłą koleją rzeczy, spiętrzyły się niezliczone komitety sięgające aż po Radę Naukową, reprezentującą wszystkich bodaj członków Polskiej Akademii Nauk.

Wielka Encyklopedia Powszechna PWN w porównaniu z najwybitniejszymi tego typu wydawnictwami najbliższa jest formą nowemu wydaniu niemieckiego *Der Grosse Brockhaus*, sięga więc do wzoru mającego znakomitą i pieczołowicie kultywowaną tradycję. Ilość, objętość i ujęcie haseł podobnie jak i doskonała szata graficzna bardziej przypominają *Brockhousa* niż encyklopedie francuskie, angielskie czy amerykańskie. Wybrano tu złoty środek między małowycelnym maczkiem *Larousse'a* a dość staroświecką formą *Britanniki*, dając układ podobny do doskonałego, choć pozwalający pomieścić w jednym tomie hasła od A do Ble, stanowiące jedną dwunastą całego materiału, który uzupełniony zostanie pod koniec osobnym indeksem nazw i nazwisk nie wyodrębnionych w hasła samodzielne. Tytuły haseł złożone wersalikami zwracają dostatecznie uwagę czytelnika, bez rozbijania zwartego, dwukolumnowego układu strony i dają się łatwo odszukać. Ilustracje, tę okrasę każdej encyklopedii, włączono w tekst bądź też umieszczono na osobnych jednobarwnych i kolorowych wkładkach, uderzających starannością wykonania. Nawet zwykły w wydawnictwach krajowych mankament został tu szczęśliwie przezwyciężony: papier jest dobry, biały i nie przebija druku odwrotnej strony. Bez wątplenia, *Encyklopedia* jest dużym osiągnięciem polskiego przemysłu poligraficznego.

Z oceną treści poszczególnych dziedzin i haseł poczekać należy do czasu wypowiedzi specjalistów różnych gałęzi nauki, już teraz jednak ogólnie stwierdzić można, iż zarówno dobór haseł

(1) *Wielka Encyklopedia Powszechna PWN*, tom 1, A-Ble, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa (1962), s. 838 plus wkładki i mapy, zł. 135.

jak i ich treść zwracają uwagę cechą najtrudniejszą bodajże do osiągnięcia w warunkach pracy redakcyjnej w Polsce — pełnością i obiektywnością. Wszystkie wybitniejsze nazwiska ludzi polityki, nauki i sztuki reprezentowane są tu niemal bez wyjątków, jeśli zaś niektóre z nich znalazły się w *Encyklopedii* bez należytego umotywowania przypisać to zapewne należy trosce redakcji o podanie jak najpełniejszej informacji o życiu w kraju. Wysunięty wobec *Matej Encyklopedii Powszechnej* zarzut pominięcia szeregu nazwisk działaczy emigracyjnych, które i w tym tomie nie znalazły dla siebie miejsca, odeprzeć by można przypomnieniem, że encyklopedia przeznaczona jest przede wszystkim dla czytelników w kraju, dla odbiorców, którzy szukać w niej będą informacji o postaciach najczęściej spotykanych w codziennej prasie, radio itp. Wydaje się też słusznym przypomnienie, że encyklopedia nie jest wieńczącym zasługi pomnikiem lecz po prostu źródłem informacji o faktach historycznych i sprawach bieżących, stale zaś następująca w różnych encyklopediach wymiana haseł zdezaktualizowanych prawdę tę niezbitnie potwierdza i — jeśli *Wielka Encyklopedia Powszechna* doczeka się po latach wznowień — zapewne potwierdzi. W zmieniającym się świecie perspektywa historyczna ulega zmianie a wraz z nią maleją i odchodzą w niepamięć zarówno fakty jak i ludzie. Szczęśliwi, których przechowa historia, na jej kartach znajdą potwierdzenie swej sławy, innym wystarczyć musi jednodniowa pamięć dzienników. Encyklopedia zaś znaleźć się powinna gdzieś po środku, chwytając wartości przemijające zwolna lub zwolna się w historię obracające, by pomóc zarówno tym, którzy historię tworzą, jak i tym, którzy ją oceniają. Sprawa umieszczania haseł omawiających postaci żyjące jest zawsze nadzwyczaj drażliwa, a kapitalne praktyki redakcji *Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej* drażliwości tej nieraz dowiodły. W *Encyklopedii PWN* starano się o obiektywizm: ton haseł takich jak Arciszewski lub Anders jest mimo wszystko spokojny i pozbawiony epitetów, trzeba bowiem pamiętać, że określenie gen. Andersa jako „jednego z przywódców najbardziej reakcyjnych kół emigracji” jest, jak na warszawskie warunki, sformułowaniem bardzo łagodnym.

Nie mogło tu, oczywista, obyć się bez pewnych przejawskrawień czy świadomych niedomówień. Następujące tuż po sobie hasła Armia Krajowa i Armia Ludowa jednakową objętością stwarzają złudzenie co najmniej równoznaczności obu organizacji, ostrożność zaś sformułowania ich stanu liczebnego w 1944 r. brzmi niemal humorystycznie: AK „szacuje się, wg różnych źródeł, na ok. 250-350 tys. ludzi”, o AL zaś mówi się jedynie, iż „stan liczebny jednostek partyzanckich wynosił ok. 14 tys. ludzi, a stan garnizonów był kilkakrotnie większy”. Armia Polska w ZSSR jest hasłem dwukrotnie dłuższym od hasła Armia Polska w Wielkiej Brytanii itp., są to jednak proporcje świadomie założone i ze stanowiska wydawców zrozumiałe. W niepodpisanej przedmowie czytamy przecież, że „*Wielka Encyklopedia Powszechna PWN* oparta jest na założeniach racjonalistycznych i materialistycznych; jej kierunek światopoglądowy wyznaczają założenia

ideologii socjalistycznej; jest napisana dla społeczeństwa kraju, który kształtuje nowe, socjalistyczne stosunki społeczne i ekonomiczne”.

Interpretacja założeń tych nie zawsze wygląda racjonalistycznie. Dla przykładu tylko przytoczyć można zdanie z hasła o niezmiernie dziś w Polsce popularnym sowieckim pisarzu I. Bablu, który „pokazał żywołową, walkę chłopca w czasie wojny domowej”. Pierwsze lepsze opowiadanie z *Konnej Armii* nasuwałoby raczej sformułowanie niewiele z „żywołową walką chłopca” mające wspólnego, są to jednak, powtórzmy, sprawy zrozumiałe w wydawnictwie krępowanym naciskami zewnętrznymi. I chyba należy być dla nich pobłażliwym bardziej niż dla potknięć pseudonaukowości, takich jak nazwanie popularnej „grającej szafy” bombastycznym „automatem muzycznym do odtwarzania płyt”(?)

Wielka Encyklopedia Powszechna PWN, z wszystkimi swymi drobnymi i ideologicznymi potknięciami stanowi przecież w sumie wielki krok naprzód i przejdzie do historii polskich wydawnictw jako dzieło wybitne. Wolno życzyć jej wydawcom by osiągnięty poziom zdołali utrzymać i swe dzieło doprowadzili do końca.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- CARLISLE (Olga Andreyev). *Voices in the Snow*. Encounters with Russian Writers. Str. 224 i 6 nlb. (Wyd. Random House, New York, 1962, dol. 4,95).
- MACLEAN (Meta). *Rozśpiewany okręt*. Odyseja ewakuowanych dzieci. Przel. z ang. Irena Hradyska. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Katolicki Ośr. Wydawn. „Veritas”, Londyn, czerwiec 1963, 12 sh.).
- JARZĘBOWSKI (Józef, ks. Marianin). *Mówią ludzie roku 1963*. Antologia nieznanych i mało znanych głosów ludzi współczesnych. Indeks nazwisk i miejscowości. Str. 320. (Nakł. Katolickiego Ośr. Wydawn. „Veritas”, Tom LIX serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, czerwiec, 1963, 30 sh.).
- KOŚCIAŁKOWSKI (Stanisław). *Via Lucis*. Str. 48 z portretem autora. (Wydawn. Instytut Marianum w Wielkiej Brytanii, A.D. MCMLXIII).
- GIERTYCH (Jędrzej). *About the Plan to Destroy the Polish Nation with Atomic Bombs*. An open letter to the Christian opinion of the world. Str. 16. (Londyn, marzec, 1963).
- LEGEŻYŃSKI (Stefan). *Polegaj jak na Zawiszy*. Opowiadania, Str. 40. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Biblioteczka Młodzieży. Londyn, 2 sh. 6 d.).
- GÜNTHER (Władysław). *Pióropusz i szpada*. Wspomnienia ze służby zagranicznej. Str. 207 i 7 nlb. w tym Skorowidz Osób. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu).

- KONARSKI (Szymon). *Cztery lata w okupowanym Paryżu*. 14.VI. 1940 — 25.VIII. 1944. Str. 78 i 2 nlb. oraz 4 fotografie. Indeks nazwisk. (Skład Główny „Libella”, Paryż, 1963).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Réflexions autour de l'enquête de „Culture”*. Str. 152-158. (Odbitka z „Culture”, Quebec, Nr 1 XXIV (1963).
- GIDYNSKI (Joseph C.). *Virtual Confiscation of Dwelling Houses in Post-War Poland*. Str. 81-89. Odbitka z „The American Journal of Comparative Law”, Vol. II, Nr. 1, Winter, 1962).
- ZIMMER (Szczepan K.). *The Jagellonian University Library in Cracow*. Str. 24. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. VIII, Nr 1, 1963, New York).
- GIDYNSKI (Joseph C.). *Private Property Rights to Dwelling Houses in Post-War Poland*. Str. 36. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. VII, Nr 1, 1962, New York).
- JAWORSKI (Jan, ks. dr). *W kręgu rodziny*. Str. 240. (Nakł. Kat. Ośr. Wydawn. „Veritas”, Londyn, Maj, 1963).
- PIWOWARCZYK (Jan ks.). *Katolicka etyka społeczna*. T. II. Str. 313 i 9 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, kwiecień, 1963).
- BELCH (Stanisław, ks. dr). *Katechizm małżeński*. Str. 64. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 4 sh.; 6 dol.).
- PAPIEŻ JAN XXIII. *Encyklika o Pokoju* (Pacem in Terris). Str. 46 i 2 nlb. Seria IV, Zeszyt 2 „Dokumentów nauki Kościoła” pod red. ks. dr. Stanisława Belcha. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn).
- GLIŃSKI (Mateusz). *Nowe dowody autentyczności listów Chopina do Delfiny Potockiej* (Odwiedź p. J. M. Smoterowi). (Varytyper, Windsor, 24 maj, 1963).
- ROYEK (M. E. prof.). *National State as Indispensable Basic Unit of the World Community*. Str. 11. Powielacz (Odbitka z Nepal-America Cultural Bulletin, Vol. 1, Nr 6, April, 1962 — Cz. I: Nationalism).
- ROYEK (M. E. prof.). *Antiquity, Continuity and Unity of Western Civilization*. The text of the talk delivered at Nepal-America Cultural Center on March 15, 1963. Str. 8. Powielacz (Odbitka z NACC Bulletin, Vol. II, Nr 16, April, 1963).

KSIĄŻKI UKRAIŃSKIE

- BOJCZUK (Bohdan). *Spomyny lubowy*. Poezji. Str. 94. (Wydawnictwo Nju-Jorkskoj Hrupy. New York, 1963).
- ANDIJEWSKA (Emma). *Kuty opustiń*. Str. 68. (Wydawnictwo Nju-Jorkskoj Hrupy. New York, 1962).
- Zbirnyk na poszanu Zenona Kuzeli*. Praci Filologicznoji ta istoryczno-filosoficznoji sekciji za redakcijeju Wołodymyra Janewa. (Zapysky Naukoho Towarystwa im. Szewczenka. T. CLXIX str. VIII 584. Paryż, 1962).
- FEDORIWSKYJ (Stepan). *Notatky powstancja*. Str. 201. („Prometej” New York, 1962, cina 3 dol.).
- OHŁOBYLN (Oleksander). *Dumky pro suchasnu ukrajinšku Sowjetsku istoriohrafiju*. Str. 87. (Orhanizacija Oborony Czotyrioch Swobid Ukrainy. New York, 1963).
- KUBIJOWYCZ (Wołodymyr). *Nacionalnyj skład naseleńnia Radiańskoj Ukrainy w switli sowjetskich perepysiw z 17.12 1926 i 15. I. 1959*. Str. 16. (Widbytko iz zbirnyka prysz. pamiaty Z. Kuzeli. Zapysky NTSz. Paryż, 1962).
- RUDNYČKYJ (Jar.). *Materijaly do ukrajinško-kanadijskoji folklorystyky j dijalektolohiji*. Str. 647-893. (Ukrajinska Wilna Akademia Nauk. Winnipeg, 1963).

Humor krajowy

Do SAM'u w Warszawie wchodzi kobieta i zaczyna rozglądać się co by tu można było kupić. Wybór, niestety jest niewielki i rozczarowana babka podchodzi do kierownika, żeby mu nauragać. Kierownik odpowiada szorstko. Od słowa do słowa dochodzi do kłótni i rozgniewana kobieta krzyczy: „To niech mnie Pan pocałuje w d...”

— Pani zapomina — odpowiada kierownik, że jest Pani w sklepie samoobsługowym.



W sklepie spożywczym w Warszawie tłok. Jedna z gospodyń zwraca się do sprzedawcy:

— Proszę Pana czy mąka jest?

— Dzięki Bogu jest proszę Pani.

— A proszę Pana, sól jest?

— Dzięki Bogu jest proszę Pani.

Słyszac tę wymianę zdań stojący obok wysoki urzędnik państwowy wtrącił się do rozmowy i powiedział do sprzedawcy:

— Nie rozumiem co znaczą Pana odpowiedzi, dzięki jakiemu Bogu?

— Na tego rodzaju pytania powinien Pan odpowiadać „Dzięki partii”.

Sprzedawca przeprosił grzecznie za pomyłkę i kiedy po chwili niestrudzona gospośnia zapytała:

— A proszę Pana, masło jest?

Odpowiedział:

— Nie proszę Pani, dzięki partii nie ma.



Cyrankiewicz zmarł i poszedł do czyścica. Tam okazało się, że musi się zameldować w odpowiednim oddziale. Czyścic bowiem jest podzielony według imion. Posłano go do oddziału dla „Józefów”. Pierwszą osobą jaką spotkał tam był Józef Stalin. Ucieszony, że jednak są znajomi, zapytał go jak się tu żyje.

— Nie najgorzej, odpowiedział Stalin, mogłoby być nawet zupełnie dobrze gdyby nie to, że naszym blokowym jest Józef Piłsudski.



W roku 2063 w Moskwie szperacze grzebali w encyklopediach i słownikach, żeby się dowiedzieć kim był niejaki N.S. Chruszczow.

W końcu znaleźli: — krytyk literacki.

DEWIZA POLAKA

My nie z soli, ani z roli, ale z naszych alkoholi.

DOWCIPY Z MYSZKA

Pewnego dnia gdy ministrowie nudzili się czekając na rozpoczęcie posiedzenia, Mińc zapytał zebranych.

— Czy wiedzą panowie jaka jest różnica między ministrem sanacyjnym a ludowym?

Nikt nie wiedział.

— Taka, że kiedy minister sanacyjny, zdenerwował się mówiono mu: „Panie, pohamuj się!, obecnie w takich okolicznościach mówi się: „Chamie opanuje się!”.

ZAGADKI

Pyt.: — Czy socjalizmowi uda się przeskoczyć kapitalizm, który jak wiadomo stoi nad przepaścią?

Odp.: — Jeżeli kapitalizm stoi nad przepaścią, to niech socjalizm skacze.

Pyt.: — Co to jest: krótkie zabawne i służy do siedzenia.

Odp.: — Dowcip polityczny.

Pyt.: — Jaka jest dewiza księdza patrioty?

Odp.: — Brewiarza i wódki nie odmawia.

Pyt.: — Jakie są kierunki w sztuce w Polsce Ludowej?

Odp.: — Zaraz po wojnie był formalizm, potem nastąpił ubizm, od roku 1955 panował iluzjonizm, a obecnie mamy neopresjonizm.

Pyt.: — Jak w przyszłości będzie się określało obywatela PRL?

Odp.: — Polak dziad z pradziada.

Oficjalne terminy ze słownictwa PKO, nie mające nic wspólnego z humorem.

1) Przesyłanie pieniędzy z zagranicy przez PKO — *eksport wewnętrzny*.

2) Osoba upoważniona do korzystania z takich przesyłek — *krajowiec dewizowy*.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Griffith, N.S.W. (Australia), 9, czerwiec 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Kwietniowy numer *Kultury* doszedł mnie w czerwcu, przesyłam kilka spóźnionych uwag, może nie wartych aż druku — zechce Pan Redaktor sam osądzić.

1) Czesław Miłosz pisze na str. 31: *Nagle wylazi znów na scenę tzw. geopolityka, tubalnym głosem zaczynają przemawiać duchy Wielopolskiego i Dmowskiego. W wieku, który całą geopolitykę przewrócił do góry nogami odradza się myślenie niewolników imperium, choćby niewielu już tylko szermowało staroświeckim podziałem na „reżym” i „społeczeństwo” (naturalnie „narodowe i religijne”). Dlaczego nie postawić kropki tam, gdzie trzeba, gdy uświęcona sztanca brzmi: „polskie i katolickie”? Nadto mimo współzależności i wzajemnych implikacji, a nawet pokrewieństwa „reżymu” i „społeczeństwa”, i mimo „staroświeckości podziału”, — czyż jednak podział ten nie jest czymś realnym: nie tylko z „zasadniczo” antyreżymowej pozycji ciotki Emigracji (też „polskiej i katolickiej”), bo także nie tylko wbrew obserwacyjnemu, *nolens volens*, stanowisku Miłosa?...*

Zapewne, Polska wobec Zachodu jest głuchą prowincją; a my, dzie-dzicznie obciążeni sarmatyzmem, w kontraście z Zachodem jesteśmy tym żałośniej parafialni: bardziej tu, na gościnnym Zachodzie, niż tam gdzie wszyscy są u siebie w domu, we własnej parafii. Tu, pod parasolem obcych konstytucji, zagwarantowano nam swobodę słowa oraz wszelkie materialne wygody i wygodki, z których, niczym z tronowego stolca, możemy z wyższością spoglądać na tamtych parafian. Ale my sami — ćwierć narodu polskiego, losem wojny rzucona na Zachód — czegoż nauczyliśmy się tutaj? Dopiero dzieci nasze, „gdymy będą i wzrosną” i przesiąkną kulturą obcych krajów, w których one na świat przyszły i które (o zgrozo!) za własne uznawać będą, — dopiero dzieci nasze na Zachodzie nabędą szans wyzbycia się polskiej wersji parafianizmu (na korzyść wersji innej, nie jestem pewien czy lepszej).

Czyli... „nagle wylazi znów na scenę tzw. geopolityka”. Sam Miłosz zresztą wpada w jej podstępny dołek (na str. 33), gdy pisze: *Literatura czerpie korzyści z uświadomienia sobie swego terytorialnego obszaru. Podział Europy na takie obszary jest faktem, choć różnie z tym kiedyś bywało.*

(...) *Tak czy owak, podział Europy na trzy części: zachodnią, środkowo-wschodnią i Rosję* ustalił się od dość dawna i utrzyma się jeszcze długo.

Powyższe uwagi moje są trochę nie *à propos* głównego wątku Miłosza, i proszę nie brać ich za jakiś dowód mej niezgody z sumą jego wywodów. Przeciwnie. Eseju jego bynajmniej nie uważam za jeszcze jedną permutację *Wesela* Wyspiańskiego. Protestuję więc, gdy Miłozh certuje się przed nami, że jest to tylko jego „pamiętnik artysty”, dla jego własnej higieny. Nie, nie! Nam wszystkim: na przeczyszczenie, którego nam trzeba.

2) Na marginesie bardzo interesującego *Kongresu w Durbanie* p. Stefana Komornickiego, może warto byłoby dorzucić uwagę, że w Związku Afryki Południowej jest białych potomków Burów ponad milion, a ludności tubylczej wprawdzie „tylko” (co najmniej) dziesięć razy tyle, lecz na całym Czarnym Łądzie jest jej ok. 250 milionów: olbrzymi basen młodych, a zatem ostrych nacjonalizmów.

3) Angielska cytata p. Adama Jaworskiego z powodu wydania w *Kanadzie* znaczka z podobizną Gzowskiego — chyba nie jest angielska: „it will bring to (?) the attention of the forgotten” znaczyłoby „zwróci to uwagę zapomnianego” (tj. uwagę... zmarłego Gzowskiego!). Woryginalne brzmiało to chyba „it will bring attention to the forgotten”. Ostatecznie może to nie ważne, ale gdy w poważnym czasopiśmie podaje się także tłumaczenie cytaty (w odsyłaczu na str. 157), to już chyba obowiązuje pewna sumienność: *Ten znaczek pocztowy został wydany aby upamiętnić wielkiego Kanadyjczyka polskiego pochodzenia*, — pisze tłumacz zgodnie z brzmieniem angielskim; ale do drugiej części tłumaczenia przemycił już treść własną, której w cytacie w ogóle nie ma: *w nadziei zwrócenia uwagi opinii publicznej na człowieka, którego udział był wielki, lecz który został całkowicie zapomniany*. Zgodnie z cytata byłyby bez dodatków: *w nadziei że to zwróci uwagę na zapomnianego*.

4) Wreszcie, rzecz najmniej ważna, ale jako stary radiota nie umiem powstrzymać się od gadulstwa na temat zabawnego anachronizmu, jaki przydarzył się p. Wiktorowi Sukiennickiemu w *Prologu naszego dramatu* rozpoczętym sowiecką zapowiedzią radiową z głośnika, nadaną już w dniu... 13 listopada 1918 roku!...

Wtedy bowiem radiofonia była jeszcze w powijakach. Wprawdzie pierwsza wojna światowa przyczyniła się do przyspieszenia jej rozwoju, lecz fonia wciąż jeszcze była w stadium eksperymentalnym, w rękach wracających z wojny żołnierzy łączności, którzy później stali się trzonem entuzjastycznej, światowej armii radioamatorów (temu to bractwu początki radiofonii zawdzięczają więcej niż zawodowcom). I dopiero 2 listopada 1920 r., a więc w dwa lata po dacie p. Sukiennickiego, na domiar w bogatej Ameryce, a nie w zubożałej wojnę Europie, można było pokusić się o otwarcie pierwszej w świecie (i oczywiście wciąż jeszcze zabkującej) stacji fonicznej *KDKA* w Pittsburgu. W Europie nastąpiło to dopiero w 15 miesięcy później, i nie w Sowietach, lecz we Francji, gdzie pierwszą audycję nadano z wieży Eiffla w lutym 1922 r. Brytyjskie *B.B.C.* narodziło się 14 listopada tegoż roku, a więc dokładnie w cztery lata po dacie p. Sukiennickiego. W Niemczech radiofonia zakończyła okres eksperymentalny w rok później, w październiku 1923 r.

Jako młody chłopiec szczyliłem się w Poznaniu własnoręcznie zamastrowanym odbiornikiem, bodaj jednym z pierwszych w Polsce (z galena, ściągniętą ze szkolnych zbiorów mineralogicznych!); a później, z części radiowych, z trudem sprowadzonych z Berlina, zbudowałem „prawdziwy”,

lampowy *push-pull*, którego istic świńskie kwiki co wieczór zwabiały całą moją zachwyconą rodzinę i pełnych szacunku sąsiadów, niczym na uroczyste święto wieprzobicia. W ten sposób słuchaliśmy audycji z Zachodu, a od r. 1925 także własnej, doświadczalnej stacji w Poznaniu. Dopiero później, 18 marca 1926 r., w Warszawie uruchomiono pierwszą oficjalną rozgłośnię *Polskiego Radia*.

Postęp radiofonii szedł więc z Zachodu na Wschód, a nie na odwrót. Szedł tempem ślimaczym. I chociaż, jak słyszę, wynalazcą radia był nie jakiś tam Marconi, lecz genialny towarzysz Popow, to jednak śmiem wątpić, czy Rosja Sowiecka dysponowała radiofonią przed np. Niemcami. Jeśli nawet jakiś rosyjski radioamator zdołał może nawiązać kulejącą łączność foniczną z jakąś umówioną jednostką na Zachodzie, to jednak o szerzeniu rządowej propagandy tą drogą nie mogło być mowy. Byłoby to gadanie w pustkę, bo w r. 1918 ilość odbiorników w Europie (oczywiście, prymitywnych) można było policzyć na palcach.

Nieznaną jeszcze była zhora głośników, megafonów, gigantofonów, do perfekcji doprowadzona dopiero w erze ogłoszeniowych „pitchmanów” radiofonii amerykańskiej, a w Europie dopiero przez Niemcy hitlerowskie (w Warszawie czasu okupacji co drugą latarnię uliczną ozdobiono głośnikiem, zwaliśmy je „szcekcakczkami”). Dzisiaj radiofonia stała się tak już nieodzowną cechą naszego wrzaskliwego wieku propagandy, że nie dziw, iż zapomnieliśmy o tym, jak to było kilkadziesiąt lat temu, gdy świat był jeszcze wolny od zgiełku handlowych, religijnych i politycznych propagitek.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy mego poważania.

Zbigniew JASIŃSKI

Jerozolima, 18 lipca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do mojej książki pt. *Klub Krzywego Koła* wkrał się na str. 12 w. 6 od góry przykry błąd drukarski, wypaczający zupełnie sens tego, co chciałem powiedzieć. Zamiast mianowicie „oraz Lange” winno być „raz Lange”. W rzeczywistości prof. Lange z prelekcjami w K.K.K. występował kilkakrotnie, a tylko raz odmówił, w okolicznościach, o których wspomina na str. 152 książki.

Przy okazji prostuję także zniekształcenie nazwiska na str. 116 w. 12 od góry. Zamiast „Gieratowski” winno być „Greniewski”. Na str. 133 w. 2 od góry zamiast „polityczna” winno być „historyczna”.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy poważania.

Witold JEDLICKI

Elgin, 24 czerwca 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Wdzięczny jestem Panu Ledóchowskiemu za określenie obozu, do którego należę, *Progressive Party of South Africa*, mianem „utopiści”. Wszelka idea jest utopią dopóki nie przyjdzie czas na jej realizację. Idea

wolności i równości zasiana 2 tysiące lat temu w przykazaniu „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego” nigdy nie doczekała się realizacji. Komunistyczne „od każdego według jego możliwości dla wszystkich według ich potrzeb” można również określić jako utopię — choć miliony ludzi zginęły w imię tego hasła, nie ma nadziei by było zrealizowane. Za ten *epiteton ornans* daruję Panu Ledóchowskiemu jego zwrot o majaczeniu i inne stwierdzenia pod moim adresem. Przyszłość pokaże czy moje „przewiduję” czy Jego prorocтва się sprawdzą; będąc z temperamentu tragicznym optymistą widzę przyszłość o wiele jaśniej od Pana Ledóchowskiego, któremu *sarcastic witicism* nie pozwala na dostatecznie głęboką sondę.

Celem moim było poinformowanie polskiej opinii w Europie o istnieniu w Południowej Afryce drobnej, bo zaledwie 10% białej ludności liczącej, grupy idealistów, gotowej na eksperyment współpracy rasowej. Poza tym jest jeszcze grupa intelektualistów, przemysłowców, przywódców religijnych, profesorów uniwersytetów i członków wolnych zawodów, którzy gotowi są opuścić „cytadelę” Vervoerd’a z chwilą gdy przekonają się o skutecznej alternatywie na dominację białego lub o jego nieuniknionej porażce. Czarny obóz w Południowej Afryce, jeszcze w tej chwili jest pod kierunkiem ludzi wierzących w współpracę z białym.

Przyznaję że z dnia na dzień konflikt się zaostrza — ale to nie powód by zamykać się w cytadeli, do czego dążą „nieoświecone masy białych” i co równa się samobójstwu.

Wahadło zegara czasu odchylone zeszłego roku na kontynencie afrykańskim do swego maksimum, zaczyna powoli wracać w nieuniknionym rytmie. Czy mamy być biernymi obserwatorami tego ruchu rytmicznego, czy może wierni zasadzie „za naszą wolność i waszą” powinniśmy zesprząć nasze siły z „utopistami” i dać świadectwo prawdzie?

Łączę wyrazy poważania.

Stefan KOMORNICKI

Barberton, Ohio, 12 czerwca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W tym miejscu podziękować chcę panu Piotrowi Mohortyńskiemu za jego list w sprawie artykułu p. Herlinga-Grudzińskiego „Od Burgos do Barcelony”. Czytałem ten artykuł z uczuciem prawdziwego niesmaku. Nie odpowiedziałem, bo miałem egzamin. List p. Mohortyńskiego uaktualnił mi ten problem na nowo.

Artykuły o Hiszpanii czytam zawsze z zainteresowaniem. Spędziłem w niej prawie 11 lat. Wdzięczny jestem za każdą o tym kraju obiektywną pracę, tak o jego zaletach jak i wadach czy bolączkach. Czytając „Kulturę” mam jednak prawo wymagać żeby to była praca, nie zaś czepianie się. P. Herling-Grudziński przejechał całą Hiszpanię w kilka dni, od pierwszego momentu patrzył na nią przez okulary „socjalistów” z Tuluzy, rozmawiał z ludźmi, do których miał stamtąd kontakty i stworzył wizję — lekko i sugestywnie.

Czytając „Od Burgos do Barcelony” miałem wrażenie, że cały ten opis podobny jest swoim nastrojem do sytuacji, w której zbrodniarz powraca nocą, cichaczem na miejsce dawnej zbrodni, błędąc za każdym odgłosem i w każdym cieniu upatrując niebezpieczne zło i groźbę.

Zawsze czytałem książki i artykuły p. Herlinga-Grudzińskiego z zainteresowaniem. Dawałem im wiarę. Jakże mam je czytać teraz? Ostatni jego artykuł rozbił tę moją wiarę zupełnie. Zbyt dobrze znam przedmiot.

— Szkoda. — Raczej wolę wierzyć, że wszystkie tamte książki i artykuły były autentyczne, prawdziwe, sumienne, i tu sprawdziło się tylko stare polskie przysłowie, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

Zasylam serdeczne pozdrowienia.

Tadeusz MACIEJCZYK

Sao Paulo, 24 czerwca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Polacy jesteśmy niepoprawni. Pokolenie z wychowaniem przedwojennym nie odczyta się już chyba rozumowania kategoriami skrajno-maksymalistycznymi. Wyrażone to być może w sposób uproszczony przez hasło: co nie czarne to białe. Do spokrewnionego oświadczenia już tylko jeden krok: gdy nie lubię czarnego to *muszę* lubić wszystko co nie czarne. Wiemy do czego to doprowadza, W każdym stroju każdorazowy kacyk przy dokręcaniu śruby głosił hasła podobne.

Jako curiosum z tego typu rozumowania może posłużyć list p. Mohortyńskiego w nr. 5/187 „Kultury”. Autor wpada w sieci zastawione przez własne sploty myślowe aczkolwiek na początku zastrzega się, że nie ma zamiaru bronić żadnej dyktatury. Ale ciągotki za typowym naszym zamordyzmem wychodzą jak sztydło z worka: „Zdziwiło mnie wielce że zezwolił Pan na umieszczenie...” itd. W polemice innojęzycznej zwroty takie stanowią raczej wyjątki.

P. Mohortyński usiłuje wybielić „na wyrost” ustrój dzisiejszy w Hiszpanii. Trudno o jakąś rzeczową polemikę gdyż list roi się od naiwnych twierdzeń i nieprawdopodobnych wniosków. Czym np. można uzasadnić twierdzenie że Amerykanie zrozumieli kluczowe stanowisko Hiszpanii? Tym że zbudowali bazy łodzi podwodnych atomowych w Rota i Cartagenie? Leży to wyłącznie w ich interesie i kluczowe stanowisko sprowadza się wyłącznie do geograficznego.

Mowa o uzyskaniu przez robotnika dzięki Franco opieki i stopniowo wyższych płac przy pominięciu milczeniem strajku w Asturias i wynikłego z niego wstrząsu społecznego też zakrawa na uproszczenie; strajk w kraju w którym strajki są wzbronione, jest znakiem alarmowym. Nie potrzeba cytować przykładów.

P. Mohortyński wprowadza ton humorystyczny, gdy stwierdza np. że „na skutek działalności Moskwy Hiszpania musi być stale w pogotowiu i nie może przejść do normalnego stanu” lub „dzięki zwycięstwu gen. Franco Rosja... musiała krwawić się straszliwie w ciągu aż 4-letniej wojny światowej z dyktaturą niemiecką pod wodzą Hitlera”. W to nie uwierzy nawet dowódca Błękitnej Dywizji.

Kończę już by nie zostać odsądzony od czci i wiary, oskarżony o komunizm i o branie „złota z Kolimy, złota przepojonego krwią i łzami naszych rodaków”. Na Zeusa! I to w roku Pańskim 1963.

Łączę wyrazy szacunku.

Adam POLAKIEWICZ

Sao Paulo, dn. 21.VI.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Mohorłyński w liście swym zamieszczonym w majowym numerze „Kultury” atakuje Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za wyrażenie krytycznej opinii o współczesnej Hiszpanii i próbuje jednocześnie podjąć apologię gen. Franco. Pan Mohorłyński należy najwidoczniej do tej grupy „niezlomnych” antykomunistów, dla których wszelki sojusznik i wszelkie metody są dobre jeśli prowadzą do osiągnięcia celu. Nie zdaje on sobie widocznie sprawy z faktu, że w walce z systemem który systematycznie depte wolność jednostki i knebluje usta krytyce jest rzeczą najważniejszą utrzymanie i ochrona w świecie zachodnim właśnie tych podstawowych wartości demokratycznych. Hiszpania gen. Franco, oportunistyczny sprzymierzeniec Zachodu, jest najlepszą pożywką dla propagandy komunistycznej przez swój własny dyktatorski charakter. Wszelka krytyka systemu opartego na więzieniach i palkach *Guardia Civil* wzmacnia a nie osłabia sprawę demokracji.

Tezy polityczne i historyczne p. Mohorłyńskiego nie ostają się w obliczu faktów. Gen. Franco nie tyle „nie uległ” hitleryzmowi, ile raczej ostrożnie grał na zwłokę, obawiając się zaangażować w nierozstrzygniętym jeszcze konflikcie. Świadczy to raczej o jego chytrych politycznej, niż o niezłomnej postawie wobec Hitlera. Kreowanie gen. Franco na zbawcę Europy jest co najmniej śmieszne. Ani w r. 1939, ani później nie miała Rosja zamiaru, ani co istotniejsze jakichkolwiek możliwości wojskowych i ekonomicznych by napasać na hitlerowskie Niemcy. Ewentualni „satelici” na zachodzie Europy nic by w tej konstelacji decydująco nie zmienili. Wydaje się że nawet oficjalni hiszpańscy apologety gen. Franco nie doszli do tak daleko idących wniosków jak p. Mohorłyński.

Na cynizm zakrawa widoczne zadowolenie p. Mohorłyńskiego ze „straszliwego krwawienia się Rosji w ciągu aż 4-let wojennych”, a to wszystko oczywiście dzięki gen. Franco. Trudno usprawiedliwić jakimikolwiek „korzyściami” politycznymi satysfakcję ze śmierci wielu milionów ludzi. Co gorsza, nieprawdziwe jest twierdzenie p. Mohorłyńskiego, że Rosja wyszła z wojny bardzo osłabiona. Dzięki oplakanej polityce przywódców alianckich i własnym zdobyczom militarnym wyszła Rosja z wojny bardzo wzmocniona i wskutek tego była w stanie narzucić reżym komunistyczny krajom Europy wschodniej i środkowej. Gen. Franco w niczym Rosji nie zaszkodził.

Wszelkie objawy sprzeciwu i oporu wobec dyktatury Franco tłumaczy p. Mohorłyński działalnością agentur Moskwy. Jest to dokładnie ten sposób argumentacji, którego używają propagandziści i prokuratorzy w Polsce Ludowej, widząc w każdej akcji skierowanej przeciwko reżymowi działalność „imperialistycznych agentur Waszyngtonu”. Strajki w prowincji Asturias, protesty kleru, manifestacje studentów, a wszystko w tej Hiszpanii, gdzie porządku publicznego pilnuje *Guardia Civil*, o której pisał zamordowany przez popleczników gen. Franco Garcia Lorca: *Tienen, por eso no lloran, de plomo las calaveras*. (Mają czaszki z ołowiu, dlatego nie płaczą), trudno wyjaśnić wyłącznie działalnością agentur moskiewskich, i na ich barki zrzucić całą ciężką odpowiedzialność. Dyktatura w Hiszpanii musi być w pogotowiu nie na skutek działalności Moskwy, lecz obawiając się skutków swej własnej polityki opresji i duszenia opozycji. Prawdziwa jednak i najżywsza odrazę i niesmak wywołały we mnie słowa p. Mohorłyńskiego o artykułach „za które Moskwa płaciłaby na pewno złotem z Kołomy, złotem przepojonym krwią i łzami”. Pomijając tanie i wyswiechtane efekty słowne, użycie takich „argumentów” jest kranichowym nietaktem wobec G. Herlinga-Grudzińskiego, którego wstrząsająca

książka „Inny Świat” — relacja własnych jego przeżyć w łagrach sowieckich, była bodaj pierwszym faktualnym, uczciwym i obiektywnym sprawozdaniem z otchłani imperium stalinowskiego które ukazało się na Zachodzie i pozwoliło wielu odczuć istotną naturę „ojczyzny socjalizmu”. Dla wielu było to wówczas posępną rewelacją i to na szereg lat przed ujawnieniem „błędów i wypaczeń w okresie kultu jednostki” przez samego Nikitę Sergejewicza.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Stefan STOK

Londyn, 9.8. 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Przede wszystkim bardzo dziękuję za zwrócenie się do mnie za pośrednictwem mego przyjaciela p. Tadeusza Święcickiego w sprawie ostatniego zeszytu „Najnowszej historii Polski”, ogłoszonego w Polsce, w którym to zeszytynie znajduje się treść zapisków moich w Kalendarzyku na rok 1932.

Zeszytu 6-go „Najnowszej historii Polski” ani poprzednich nie czytałem i nie mam go dotychczas. Wiem jednak o który kalendarzyk chodzi, bo jest jedyny kalendarzyk jaki, niezniszczony, pozostał przypadkiem w mojej torbie oficerskiej i wraz z innymi drobiazgami i dokumentami osobistymi został skradziony z mojego bagażu w r. 1941 w Palestynie.

Stanowi on właściwie „silva rerum” przeróżnych spraw ważnych, państwowych i najbardziej codziennych i najbardziej osobistych.

Pisałem te notatki jako podówczas Szef I Oddziału Sztabu Głównego i zastępca jego Szefa. Te kalendarzyki (spisywane od 1912 roku), do druku nie przeznaczone, pisane pod wpływem najrozmaitszych, chwilowych impulsów czy afektów miały stanowić materiał do pamiętnika życia mego, który planowałem kiedyś napisać.

Życie ten mój zamiar przekreśliło, a ten właśnie jeden kalendarzyk przez złodzieja sprzedany paserowi, bez mojej wiedzy i woli ogłoszony, stanowi dziś krzywe zwierciadło, w którym reżym warszawski chce ukazać ówczesną Polskę.

O tym okresie (1933) pisać mi trudno, boć od czasu kiedy zapiski te poczyniłem upłynęło lat 30. Pragnę tylko podkreślić, że pisząc je, pisałem bez żadnego koloryzowania, prawdopodobnie w dosadnej czasem formie, tak jak ludzi i sprawy widziałem czy słyszałem, nic nie zmieniając.

Gdybym tamte czasy chciał dziś komentować, poruszyć musiałbym sprawy i ludzi, o których za nic pisać nie chcę. Niech to przysypie popiół niepamięci i niech Bóg Wszechmogący mnie osądzi!

Sam zaś fakt ogłoszenia drukiem tych moich zupełnie osobistych zapisków, stanowiących moją bezsprzeczną własność, bez mojej wiedzy i woli i prawdopodobnie z dodaniem odpowiedniego przyfryzowania przez literata z U.B. — stanowi jakże wymowny dowód panującego w Polsce prawa dzungli.

Wydaje mi się, że nic więcej o tym powiedzieć nie mogę. W każdym razie jestem w razie potrzeby do dyspozycji i służę każdej chwili dodatkowymi wyjaśnieniami.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Kordjan ZAMORSKI

Komunikaty

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE

Zapewniwszy sobie odpowiednie po temu środki, Polski Instytut Naukowy w Ameryce (59 East 66th Street, New York 21, N.Y.) przystąpił do sporządzenia rejestru naukowców pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych. Celem rejestru jest wykazanie wkładu Polaków do nauki i kultury amerykańskiej, który jest większy od ogólnie zakładanego, pomoc dla szkół wyższych poszukujących wykładowców, ułatwienie kontaktu osobistego i fachowego między nowoprzybywającymi naukowcami, oraz inne względy praktyczne.

Spis obejmie wszelkiego stopnia wykładowców po szkołach wyższych uczonych prywatnych, a także tzw. researchers po instytucjach badawczych i naukowych oraz bibliotekarzy posiadających stopnie akademickie. W rachubę wchodzi przede wszystkim imigranci do Stanów Zjednoczonych, niezależnie od ich pochodzenia etnicznego i wyznania, jeśli wyrażą na to swoją zgodę przez wypełnienie odpowiedniego kwestionariusza. To samo dotyczy osób urodzonych w Ameryce, które choćby częściowo pozostają w zasięgu kultury polskiej.

Kwestionariusz złożony z kilku tylko pozycji będzie rozesłany w październiku 1963 r., a rejestr ukaże się drukiem na wiosnę 1964 r. Instytut posiada setki nazwisk i adresów osób wchodzących w rachubę, nie ludzi się wszakże, aby mógł dojść do posiadania całkowitej ich listy bez pomocy zainteresowanych. Osoby nie mające dotychczas kontaktu z Instytutem są proszone o dostarczenie mu swych adresów, jak również adresów lub wiadomości o innych naukowcach polskiego pochodzenia, zwłaszcza jeśli pracują oni w mniej znanych kolegiach i instytutach.

POLSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE NA OBCYZNIE

przygotowuje wydanie bibliografii prac polskich emigracyjnych pracowników naukowych ogłoszonych w językach obcych (nie polskim); opracowuje ją p. Jadwiga Nowakowa, pracowniczka Polskiej Biblioteki w Londynie, a nad jej redakcją czuwa z ramienia Towarzystwa dr Maria Danilewiczowa, kierowniczka tejże Biblioteki.

Bibliografia ta opracowywana jest na podstawie zbiorów Biblioteki Polskiej w Londynie oraz ankiety rozesłanej przez Towarzystwo do poszczególnych pracowników naukowych. Dotąd zebraliśmy przeszło 3.000 tytułów prac ogłoszonych w latach 1939-1962. W przeważającej części są to rozprawy i artykuły ogłoszone w czasopiśmie naukowych.

Tą drogą zwracamy się do tych polskich pracowników naukowych, do których ze względu na brak adresów nie dotarły nasze ankiety, by zechcieli skomunikować się z Polskim Towarzystwem Naukowym na Obczyźnie (20. Princes Gate, London, S.W.7.) i przysłali nam odbitki swych prac naukowych.

Br. HELCZYŃSKI (prezes)
J. HOFFMAN (sekretarz)

NAGRODA LITERACKA ANNY GODLEWSKIEJ

Zebrany w dniu 13 lipca 1963 w Lucernie Zarząd Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii, pod przewodnictwem Kazimierza F. Vincenza, stwierdził, że w odpowiedzi na ankietę rozpisaną wśród ludzi pióra na emigracji, nagrodę literacką Anny Godlewskiej w wysokości 500 dolarów amerykańskich, ufundowaną przez syna Juliana w dziewięćdziesiąt rocznicę Jej urodzin, otrzymali, dzieląc ją między sobą: JÓZEF MACKIEWICZ (za twórczość powieściopisarską) i JERZY STEMPOWSKI — pseudonim PAWEŁ HOSTOWIEC — (za dorobek w dziedzinie eseju i krytyki literackiej).

Kiermasz Książki Polskiej zaprosił do ankiety 240 pisarzy i otrzymał 136 odpowiedzi. Każdy z uczestników ankiety głosował na dwa nazwiska. W ankiecie wzięli udział pisarze ze wszystkich krajów osiedlenia.

W wyniku głosowania, pierwszych 12 miejsc zajęli następujący pisarze: Józef Mackiewicz, Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Rostworowski, Michał Sambor, Florian Czarnyszewicz, Beata Obertyńska, Teodor Parnicki, Andrzej Chciuk, Zygmunt Haupt i Józef Łobodowski.

W czasie trwania obrad dr Julian Godlewski postanowił ufundować trzecią nagrodę w wysokości 150 dolarów amerykańskich. Zarząd KKP uchwalił nagrodę tę przyznać za twórczość poetycką. Jury pod przewodnictwem Jana Rostworowskiego nagrodę przyznało jednogłośnie ZOFII BOHDANOWICZOWEJ.

© Copyright by Institut Littéraire, 1963.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e trimestre 1963.

Nowość

TOM XC

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT CZWARTY

zawiera

WKŁADKĘ ILUSTRACYJNĄ — AKTUALNY PLAN MIASTA
LWOWA — Z OBJAŚNIENIAMIRelacje i wspomnienia z okresu Niepodległości, z czasów
drugiej wojny i Polski Ludowej:Jerzy Mond — *Nieznana dyskusja Gomułki z dziennikarzami.*W. Chocianowicz — *Sejm Wileński w 1922 r.*W.A. Zbyszewski — *Nieznane „testimonium” o Piłsudskim.*St. Fischlowitz — *Kiedy wojna rozpoczęła się naprawdę.*F. Frankowski — *Kryzysowy okres w stosunkach polsko-
francuskich.*K. Bagiński — *„Proces szesnastu” w Moskwie*W. Ładniewska-Blankenheimowa — *Z dwóch ostatnich lat
Boya*L. Nikulin — *„Pochód za Wisłę”*

oraz działy

MASONERIA W POLSCE — POLEMIKI — PRZEGLĄD
WYDAWNICTW — NOWOŚCI HISTORYCZNE — LISTY
DO REDAKCJI

Str. 240

Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,00)

UWAGA: Prenumeratory „Kultury” korzystają ze specjalnej
50% zniżki. Opłacając z góry prenumeratę ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH otrzymują dwa ZESZYTY w cenie jednego.**KULTURA**

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redackji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orcluch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiakzowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posytniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	500 liras	2.800 liras	5.000 liras

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS.LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM LXXXVII

MAREK HŁASKO

OPOWIADANIA

Ulegając stałym prośbom naszych Czytelników wydajemy zbiór najlepszych — dawnych i nowych — nowel autora „Cmentarzy”. Nowele te nigdy dotąd nie ukazały się w wydaniu książkowym. W skład zbioru wchodzi głośny „Ósmy dzień tygodnia”, tłumaczony na wiele języków i sfilmowany.

Str. 192

Cena egz. 12 F. (18 sh.; dol. 2,50)



TOM LXXXVIII

POLACY W ZSSR

(1939-1942)

ANTOLOGIA

W opracowaniu i ze wstępem Marii Czapskiej

Na książkę składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanymi, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie.

„Nie po to, żeby jątrzyć został wydana niniejsza antologia — pisze we wstępie Maria Czapska — ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie.

Nie wolno nam zapominać więzień i łagrów sowieckich, zagłady Żydów, niemieckich obozów śmierci, mordu katyńskiego i innych, nieodkrytych, mordów kulą w kark, a także gorzkiej prawdy degradacji człowieka — kłata i ofiary”.

Str. 360

Cena egz. 16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)